

KATARZYNA SZEWCZYK
JACEK SKOWRONSKI

MASKI



Katarzyna Szewczyk/ Jacek Skowroński

Maski

Maski

Maski

Kluczyłem cmentarnymi alejkami w ostro zacinającym październikowym deszczu. Powoli zapadał zmrok, chciałem tylko zapalić świeczkę i jak najszybciej wracać do domu. Dotarłem na miejsce zdyszany, przysiadłem na mokrej, oblepionej liśćmi ławeczce.

— Cześć, tato — powiedziałem i wsunąłem do ust papierosa.

Taki mieliśmy zwyczaj, że choćby waliło się i paliło, w każdą rocznicę spotykaliśmy się na cmentarzu, wypalić razem fajeczkę. Papieros zatlił się. Zaciągnąłem się głęboko i wypuściłem nosem kłęb dymu. On uczynił podobnie.

— Nie zostałeś księdzem? — zawsze pytał o to samo. Pokręciłem głową.
— Przyszła?

Znów zaprzeczyłem niemym gestem.

— Przyjdzie, synu. Ona przyjdzie w końcu, a ty zapomnisz o mnie. Odbierze ci rozum i naznaczy cię. Synu, dlaczego nie zostałeś księdzem?! Znajdzie cię i przyjdzie! Gdybyś był księdzem...

Wiatr zawodził i szarpał koronami drzew, lecz przy grobie było cicho. Wyciągnąłem z kieszeni znicz i pudełko zapalek.

— Nie słuchasz mnie. — Gasił mi jedną zapałkę po drugiej. Zawsze był trudny w kontaktach, śmierć niczego nie zmieniła. — Nigdy mnie nie słuchałeś!

— Muszę iść.

Wyprostowałem się, znicz zapłonął zimnym, błękitnym płomykiem, jednocześnie koścista dłoń zacisnęła się na moim nadgarstku.

— Synu...!

Wyszarpnąłem rękę i przejechałem się na śliskiej trawie. Gruchnąłem plecami o ziemię, ojciec nachylił się nade mną, wpatrywał się martwymi, pozbawionymi źrenic oczyma.

— Idzie po ciebie, synu. Idzie...!

Tępy ból rozsadzał mi czaszkę. Usiadłem na tapczanie, przecierając mokry od potu kark. Jeszcze kilka nocnych zmian pod rząd, a pewnego dnia obudzę się w kaftanie bezpieczeństwa. Znów ten powalony sen, niech to szlak.

Jaki dziś dzień tygodnia? Na widok przewieszonych przez oparcie krzesła spodni od garnituru i koszuli coś odemknęło się w pamięci. No tak, ślub szwagierki. Niech to, a prosto z wesela do roboty. Po prostu żyć nie umierać!

— Paweł, wstawaj wreszcie! — z salonu dobiegł głos Wiktorii.

Żona, już wystrojona i utapirowana, ślęczała nad ogromną, złotą kartą z życzeniami. Przecież nie mogła kupić standardowej, skromnej, bo nastąpiłby koniec świata, kartka od nas musiała się wyróżniać! A moja małżonka jak zwykle przesadziła z formą, zapominając o jakości. Ale ja miałem to gdzieś, przemknąłem do kuchni w nadziei, że uda mi się coś przekąsić przed wyjściem.

— Paweł, ubieraj się. — Usłyszała otwieranie lodówki. Koci słuch zawodził ją tylko, gdy próbowałem wyrazić opinię różniącą się od jej zdania.

— Głodny jestem.

— Tam się najesz, nie mamy czasu. Dopiszę życzenia od Marka, co?

A dopisuj co chcesz, pomyślałem, złapałem kawałek kiełbasy i pochłonałem dwoma kęsami.

— Paweł, dzisiaj trzydziesty pierwszy, prawda? Rany, o mały włos bym się pomyliła i kartka byłaby do wyrzucenia.

Spojrzałem na kalendarz i zamarłem. Trzydziesty pierwszy. Rocznica śmierci ojca. Zeszło mu się dzień przed Świętem Zmarłych, nie sposób było zapomnieć tej daty.

Pierwszy raz nie pójdę w ten dzień na cmentarz.

W pracy zjawiłem się wykończony po weselu szwagierki. Nie piłem wiele i zerwałem się przed oczepinami, lecz i tak czułem się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Przed hotelem wyrzuciłem do kubła na śmieci połamany parasol, obrzydliwa jesienna szaruga tylko pogłębiała podły nastrój.

Na myśl o kolejnej nieprzespanej nocy miałem ochotę schować się pod hotelową ladę i niech się świat zawali, ale beze mnie. Stary lubił wpadać znieścacka o najkoszmarniejszych porach, tyle że akurat było mi wszystko jedno. Gdyby wyrzucił mnie z roboty, miałbym przynajmniej powód, by wziąć życie we własne ręce. Jakkolwiek by to nie miało wyglądać.

Zmiennik obrzucił mnie litościwym spojrzeniem i zmył się, nie zadając pytań. Musiałem wyglądać tak, jak się czułem.

Rozejrzałem się po hallu. Szczerbate dynie, nietoperze z granatowej bibuły — głupie Halloween. Tym głupsze, że stary wspominał coś o „imprezie” dla kilkunastu nadzianych biznesmenów w konferencyjnej. Zamkniętej imprezie. Będą wywoływać duchy, później pewnie chlać, bzykać, i oczywiście uprzykrzać mi życie do białego rana. Nadziani debile wynajęli cały hotel, żeby pospółstwo im się nie szwendało. Jedyna pociecha, że może jeden przed drugim będzie chciał zaszpanować i posypią się napiwki w papierowych nominałach.

Wybiła dwudziesta trzecia, zaczęli zjeżdżać. Debile, debile, debile — powtarzałem w myślach, podczas gdy częstowałem na lewo i prawo uśmiechem w stylu: Do usług, wielmożnemu państwu, o niczym innym

nie marzę niż o podcieraniu waszych arcywielmożnych dup, srających złotówkami.

Musiałem przyznać, że sprawili sobie ekstra wdzianka — żadnej szopki z przebieraniem się za polityków czy postacie z kreskówek. Prezentowali się niczym szlachetne osoby z dawnej epoki przywołane na jedną noc z zaświatów. Mężczyźni mieli fraki i cylindry, kobiety misternie drapowane, kilkuwarstwowe suknie. I wszyscy nosili identyczne maski jak z antycznej tragedii. Robiły upiorne wrażenie w zestawieniu z eleganckimi strojami, dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że różnią się kształtem ust i nosów, jedne się śmieją, inne wyrażają smutek lub drwinę.

Przy takiej liczbie gości brak typowego zamieszania i hałasu był czymś zadziwiającym. Jeśli rozmawiali między sobą, to tylko szeptem. Przeżyłem wiele porąbanych imprez, lecz tacy mi się nie trafili jeszcze nigdy. Spokojnie odhaczyłem rezerwacje, rozdałem klucze.

Ostatni mężczyzna skinął na mnie palcem.

— Myślałem, że pani Katarzyna będzie obsługiwać, skoro to z nią wszystko było załatwiane...?

— Przyjdzie rano, taki mamy grafik. — Wyraz szyderstwa na masce gościa sprawił, że zmałałem o parę centymetrów. — Czy coś państwu nie...

— Ależ skąd, dziękujemy za przemiłą obsługę. Myślę, że może się pan

udać na spoczynek. — Wykonał gest iluzjonisty, trzy stuzłotówki zaszeleściły w palcach. — Proszę zamknąć główne drzwi i wygasić światła w hollu.

— Nie wolno mi...

— Uzgodniliśmy to z panią Katarzyną. Mamy wszystko, czego potrzebujemy. Proszę się spokojnie zdrzemnąć. — Spod nieruchomej maski patrzyły na mnie oczy z pionowymi źrenicami. Szkła kontaktowe, pomyślałem, ale i tak przeszły mnie ciarki. — Nocne zmiany to nic przyjemnego, prawda?

Wziąłem klucz od pierwszego wolnego numeru i poczłapałem korytarzem, czując się po trosze jak wartownik opuszczający posterunek. Mogłem sobie na to pozwolić, ranną zmianę miała mieć Kaśka, a ona wszystko ogarnie i mnie nie wyda, nawet gdybym przysnął. Znaliśmy się od lat i ufaliśmy sobie. Było w tym nawet coś więcej. W każdym razie mogło być, gdybym zechciał. Albo gdyby ona zdecydowała się na pierwszy krok.

Nigdy nie przypadła nam wspólna nocna zmiana. Jak choćby dziś, mimo że najazd dziwnych gości mógłby to uzasadnić. Ale układanie grafiku zmian należało do jej obowiązków...

Blask ulicznych latarni docierał przez muślinowe firanki, otulając meble mglistą poświatą. Trzeba będzie od czasu do czasu przejść się i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zdjąłem służbową kamizelkę, nie zapalając światła podszedłem do barku, notując w myślach, by jak

zwykle dopisać opróżnioną małąkę, któremuś z gości do rachunku. Zdębiałem na widok pełnej butelki Smirnoffa. Najwidoczniej ktoś zapomniał cennego bagażu, a sprzątaczką nie zdążyła przytulić fantu. Chwila wahania i po minucie siedziałem na fotelu ze szklanką w ręku i nogami na niskim stoliku. Butelkę postawiłem na dywanie w zasięgu ręki. Popiół z papierosa strącałem do spodeczka, uśmiechając się mimowolnie na myśl o całkowitym zakazie palenia w hotelu i czujniku dymu pod sufitem. Gdyby ustrojstwo reagowało na dym z fajek, nie byłoby jednej nocy bez alarmu, goście jarali w pokojach nagminnie, przysparzając tylko kłopotu obsłudze, znajdującej pety nawet w prysznicowej mydelniczce.

Na zewnątrz deszcz chłostał szyby, muzyka z sali bankietowej docierała stłumiona, miałem wrażenie, że rozbrzmiewa tylko w mojej głowie. Może tak zresztą było, nie liczyłem drinków i nie spoglądałem na zegarek. Pukanie w okno wyrwało mnie z półsnu, uniosłem głowę. Ale na zewnątrz nie było nikogo, tylko kłaniające się wichurze nagie drzewa. Sięgnąłem po szlugi, gdy coś na idealnie zasłanym łóżku przyciągnęło moją uwagę.

Jasna plama powoli nabrała kształtów, choć miałem dziwne wrażenie, że ciągle się zmienia niczym odbicie twarzy w marszczonej wiatrem wodzie. Nie byłem trzeźwy, wzrok płatał figle. Kot...?

Nie mieliśmy w hotelu kota.

Napiłem się i zaciągnąłem szlugiem. Kiedy znów spojrzałem na łóżko, plama ciągle tam była. Nabrała wypukłych konturów, skądś znajomych...

Wstałem, zakręciło mi się w głowie, ale po paru krokach pokój przestał się kołysać. Rozpoznałem maskę, taką jakie nosili dzisiejsi goście. Miała szeroko otwarte oczy i usta ułożone do krzyku. Bezmyślnie przyłożyłem ją do twarzy, naciągając gumkę na włosy. Pasowała idealnie.

Szmer za drzwiami przypominał skrobanie myszy. Klamka drgnęła, dobrze naoliwione zawiasy nawet nie skrzyknęły, tylko cień w świetlistym prostokącie wsunął się do środka i zniknął wraz z cichym trzaskiem wskazującego na miejsce skobla. Otworzyłem usta, ale nie powiedziałem słowa. Po prostu stałem dalej, czekając nie wiadomo na co.

— Tu się schowałeś... — poznałem głos, choć był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu. — Wiedziałaś że przyjdę, prawda?

Nie otworzyłem ust, bo Kaśka nie oczekiwała odpowiedzi. Są chwile, kiedy słowa tylko przeszkadzają, mężczyźni latami uczą się rozpoznawać te momenty. Niektórym nigdy to się nie udaje.

Wyłoniła się z przedsionka niczym zjawą. Przepłynęła obok w szeleście długiej, sunącej po dywanie sukni, na jej masce wyraz drwiny zdawał się walczyć z melancholią. Szczelnie zaciągnęła zasłony. Wiatr zawył wściekle, szyba drgnęła od gwałtownego podmuchu.

Zrobiło się tak ciemno, że widziałem tylko zawieszoną w powietrzu maskę. Wykonano ją z fosforyzującego delikatnie tworzywa, chłodna poświata przypominała blask księżyca. Oczy wyglądały jak dwie krople płynnego złota. Maskę poruszała się płynnie, niczym pragnąca przyjrzeć mi się ze wszystkich stron zjawą. I uśmiechała się wyraźnie, choć jeszcze

przed chwilą wyrażała niewiele prócz smutku. Przygasła parę razy, gdy postać wykonywała taneczne piruety, wreszcie zastygła. Uświadomiłem sobie, że muszę unieść głowę, żeby spojrzeć w jej złote oczy, a to przecież niemożliwe. Kaśka nie była wysoka, łóżko stało pod drugą ścianą, nie było na co się wspiąć...

Dotyk na plecach sprawił, że wciągnąłem ze świstem powietrze. Panika trwała mgnienie oka, niewidzialne ręce nie chciały uczynić mi krzywdy, pragnęły czegoś zupełnie innego. Guziki koszuli odpadały jeden po drugim, palce wędrowały niżej. Nie odrywałem spojrzenia od maski, która kołysała się równomiernie w tym samym miejscu. Złota poświata spojrzenia gasła powoli.

Ręce nie przestały poruszać się ani na moment. Czułem jak koszula zsuwa mi się z ramion, pasek spodni rozluźnił się tak delikatnie, jak sam nie umiałbym nigdy tego uczynić. Szept był cichszy od szelestu poruszanych wiatrem liści:

— Nareszcie... — oddech na karku aż parzył. Albo mroził, nie umiałem tego rozpoznać. — Mój na zawsze i na wieczność.

Już niczego na sobie nie miałem. I ona też, czułem to każdym skrawkiem ciała, każdym nerwem. Chciałem odwrócić się, odszukać usta, by zatopić się w nich i poczuć słodki smak krwi. Nie pozwoliła, przywarła mocno, objęła mnie ramionami i niespodziewanie ściągnęła mi z twarzy maskę.

Jaskrawe światło zalało pokój, wwiercając się bolesnymi igłami w czaszkę. Krzyknąłem, gdy ostre paznokcie rozorały mi skórę na plecach,

upadłem i spojrzałem za siebie.

U moich stóp leżała biała maska. Miała zamknięte usta, puste oczodoły spoglądały w sufit. Uniosłem się na czworaka i rozejrzałem. Ciepłe strumyki płynęły mi po plecach.

W pokoju była tylko Kaśka.

Kołysała się ciągle. Sznur przywiązany do żyrandola wżynał się w ciało, zdawało się że przetnie szyję. Kręciło mi się coraz mocniej w głowie, obraz rozmywał się i drgał. Czułem że za moment stracę przytomność, a pragnąłem jeszcze upewnić się, czy rozpacz na jej twarzy to znów tylko maska. Z całych sił chciałem to wiedzieć, tylko to wydawało mi się ważne...

Uderzenia w twarz i jakiś głos.

— ...tu się działo?! Coś ty z sobą zrobił?!

Świdrujący krzyk kazał mi otworzyć oczy. A raczej z wysiłkiem rozklejać zlepione czymś powieki. Ujrzałem czerwoną wykładzinę i popatrzyłem odruchowo na swoje nogi. Nie miałem na sobie niczego. Gdzie ja jestem...?

Następne uderzenie w twarz, uniosłem wzrok.

— Kaśka... ja nie wiem...

— Czego, kurwa, nie wiesz? Zbieraj się prędko, zanim goście się pobudzą!

Koszmarne bóle zdawały się rozsadzać głowę od środka, strzępy jakichś sennych majaków roily się na skraju świadomości niczym karaluchy. Poznałem pokój hotelowy. Chciałem wstać, trafiłem ręką w kałużę rzadkiej, śmierdzącej kwaśno mazi. Uniosłem się niezdarnie, przytrzymując się niskiego stolika. Kaśka nie zamierzała mi pomóc.

Obserwowała w milczeniu, jak zgarniam porozrzucone w nieładzie części garderoby. Idąc chwiejnie w stronę łazienki, potknąłem się o pustą butelkę Smirnoffa.

Zimnym prysznicem spłukiwałem wspomnienia nocnego koszmaru, aż zaczęły szcząkać mi zęby. Skóra na plecach piekła, nie miałem pojęcia jak wytłumaczyć Wiktorii krwawe bruzdy na ciele, ale nie zastanawiałem się nad tym długo. Potem coś wymyślę. Albo powiem prawdę.

O ile sam ją znam.

Skrzypnęły łazienkowe drzwi. Kaśka, nie patrząc w moją stronę, położyła na opuszczonej klapie sedesu czysty uniform hotelowy i pozbierała z podłogi wymięte ciuchy.

— Słuchaj... — sam nie wiedziałem, co jej chcę powiedzieć, ale czułem, że należy się jakieś wyjaśnienie. Pracowaliśmy razem od lat, nieznajomi brali nas za parę, ale tylko my dwoje wiedzieliśmy, jak blisko byli prawdy. Albo jak daleko. Któraś z jej przyjaciółek stwierdziła kiedyś: Oni nawet tak samo chodzą. — Ja... byłem pijany, nie pamiętam wszystkiego.

Ona przyszła w nocy...

— Ona...? — Popatrzyła wreszcie w moim kierunku.

Pod jej spojrzeniem ślady paznokci na skórze zapłonęły jak polane kwasem.

— Kurwa! — Trzasnęła drzwiami tak mocno, że mało nie wyleciała szyba.

Hotel nie obudził się jeszcze. Łyknąłem dwie tabletki przeciwbólowe i delektowałem się ciszą. Pod powiekami miałem piasek z solą, czułem pulsowanie w skroniach.

I wtedy przyszedł szef.

— Witam, witam. Cóż to, panie Pawle, odpoczywamy?

Wzruszyłem ramionami tak nieznacznie, że chyba tego nie zauważył. Nigdy mnie nie doceniał. Ani mojego czasu, ani wkładu pracy w prestiż firmy. Niby po co zapisałem się na kurs niemieckiego? Inni objali się, ile wlezie. Zakichane małolaty. Praca to praca, trzeba ją szanować. Przepraszam, że nie jestem słodką blondynką, która w zeszłym miesiącu skończyła szkołę hotelarską. Niech pan wybaczy, że nie można mnie obmacać nawet wzrokiem. Proszę nie mieć mi za złe, że jestem najlepszym pracownikiem i marzy mi się podwyżka. Pański uniżony sługa.

— Ostatni goście wyszli przed chwilą. Kaśka sprząta salę bankietową. Pościel wyjechała do pralni wczoraj — wyrecytowałem.

— I co, naprawdę nie ma pan co robić? Niemożliwe.

Opanowało mnie dziwne uczucie, jakbym stał się metalową konstrukcją, z której odpadają kolejne części. Słyszałem zgrzyt metalu, huk roztrzaskujących się o ziemię odłamków.

Odetchnąłem głęboko i zacząłem liczyć w myślach. Dawno zorientowałem się, że ten podstarzały lowelas tylko próbuje takim zachowaniem dodać sobie prestiżu, udając że nie zauważa kpiących uśmieszków za plecami. Kiedy się ma tyle kasy, można zwabić i posiadać kobietę, która wyglądała na jego wnuczkę. I ożenić się z nią, licząc że natura przymknie oczy na swoje prawa. Początkowo pieniądze i prestiż wystarczają, by inne niedostatki zeszły na dalszy plan. Lecz kobiety też pragną fizycznego spełnienia, a gdy go nie znajdują...

Czekałem na pytanie, które ostatnio padało coraz częściej.

— Noc minęła spokojnie? Ona nie...? — Lustrował wzrokiem sufit, jakby pragnął upewnić się, że nie zarysował go porożem.

Doskonale wiedziałem, o co mu chodzi. Jego rozkapryszona małżonka o ciele nimfy wpadała często wieczorem do hotelu. Przeglądała listę gości i szła do baru. Albo prosiła o zapasowy klucz do wskazanego pokoju. Najczęściej robiła jedno i drugie.

— Nie, wszystko w porządku.

— Dobrze. — Jego wzrok świadczył o braku złudzeń, że ona nie potrafi zapewnić sobie milczenia personelu. Niekoniecznie używając do tego kasy. — Panie Pawle, pamięta pan o naszej umowie?

Zrobiło mi się niedobrze, miałem ochotę rąbnąć go w pysk i wykrzyknąć, co naprawdę myślę.

Znów chyba nie zauważył niczego, powiódł wzrokiem po tablicy z kluczami i zamknął się w kanciapie. Mijały minuty, chciało mi się palić, ale lepiej było teraz nie opuszczać posterunku. Zdusiłem pomysł strzelenia sobie klina na rachunek jego połowicy. Robiłem tak niekiedy, pewien że przyjmie to bez komentarzy. Miłość jest ślepa. A raczej dostrzega tylko maskę...

Telefon na ladzie wygrał smętną melodyjkę. Wolałbym tradycyjny dzwonek, który wyciągnąłby mnie nawet z kibla, lecz stary upierał się, żeby sygnał brzmiał dyskretnie.

— Chodź tutaj — słuchawka kliknęła, nim zdążyłem odpowiedzieć.

Popatrzyłem na drzwi pakamery. Zawsze, gdy chciał mnie widzieć, upewniał się najpierw, czy nie obsługuję akurat klienta. To musiało być coś ważnego. Przebiegając w myślach listę grzechów nacisnąłem klamkę.

Siedział tyłem do mnie, znad fotela wystawał mu tylko czubek głowy. Pomyślałem przelotnie, że wiek i zaniedbanie wynikające z braku ruchu

pozbawiły go zwracających uwagę atrybutów męskości, jedynie włosy miał jeszcze w doskonałym stanie. Gęste i zawsze idealnie ułożone.

Drzwi nie wydały odgłosu, więc trzasnąłem nimi lekko, by zasygnalizować przybycie. Jediną reakcją stanowiło mocniejsze zaciśnięcie dłoni na oparciach. Skóra zatrzeszczała nieprzyjemnie.

Cztery monitory ustawione naprzeciw fotela były włączone. Trzy przedstawiały widok na parking, hall i korytarz na parterze. Czwarty powinien ukazywać korytarz na piętrze, lecz było na nim coś zupełnie innego. W pierwszej chwili pomyślałem, że stary puścił sobie dla relaksu film. Otworzyłem usta, żeby spytać, po co mnie wezwał i... tak już zostałem. Film przedstawiał wnętrze hotelowego pokoju. Sceny wydawały się rwane, jakby reżyser zamierzał dopiero zmontować całość.

A ja natychmiast poznałem aktorów. Mimo że nosili maski.

Umieszczona pod sufitem kamera obejmowała całe pomieszczenie. W blasku dnia do środka weszła na palcach kobieta. Wyraźnie starała się zachowywać cicho, choć najwyraźniej nie była świadoma obecności elektronicznego szpiega. Wyjęła zza pazuchy butelkę Smirnoffa i wstawiła do barku. Znajdująca się tam uprzednio małpka wódki zniknęła w jej kieszeni. Ogarnęła wnętrze wzrokiem, zanim wyszła zdjęła z twarzy i położyła na środku łóżka białą maskę. Kaśka bardzo cicho zamknęła za sobą drzwi.

Kamera musiała być włączana czujnikiem ruchu, bo następne ujęcie zaczynało się wieczorem. I nawet nie przeszkadzał brak światła,

posiadała noktowizor, dzięki któremu przedmioty i postacie emanowały zimnym, srebrzystym blaskiem. W pokoju pojawił się mężczyzna w hotelowym uniformie. Mimo ciemności poruszał się pewnie, choć początkowo sprawiał wrażenie, że zapomniał, po co tu przyszedł. Wreszcie zajrzał do barku, pomedytował chwilę, wyciągnął butelkę i zagłębił się w fotelu. Kamera wyłączała się, gdy przez dłuższą chwilę pozostawał w bezruchu i znów zaczynała nagrywać, kiedy sięgał po szklankę. Mogły minąć całe godziny, które skurczyły się do minut odmierzanych ubywaniem Smirnoffa i gaszeniem na spodeczku kolejnych papierosów.

Patrząc w monitor wydawało mi się, że przypominam sobie niedawny sen.

Głowa postaci w fotelu kołysała się coraz mocniej i opadła na pierś. Wszystko odbywało się w absolutnej ciszy, widać tego, kto zainstalował szpiega, nie interesowały dźwięki. Na skraju obrazu pojawił się jasny wydłużony prostokąt świadczący o otwarciu drzwi. Nim zgasł, nieregularny cień przeplątał przez plamę światła.

Długa szata kobiety w masce przywodziła na myśl zjawę, wrażenie potęgowały zamglone kontury sukni. Podeszła do śpiącego mężczyzny, podnosząc po drodze łóżka maskę i wolno nasunęła na jego twarz. Drgnął, wyprostował głowę i uniośł ręce, lecz natrafił dłońmi na jej dłonie. Pochyliła się i zastygła, jakby szeptała mu coś do ucha.

Cofnęła się o dwa kroki, mężczyzna nie wykonał żadnego ruchu, nie odwrócił nawet głowy. Zaciągnęła zasłony, obraz przygasł na moment,

potem stał się jeszcze wyraźniejszy, jak gdyby wszystko emanowało własnym blaskiem. Zsunęła materiał z ramion i pozwoliła spłynąć mu na ziemię. Nie miała niczego pod spodem. Jej nagość nie kłuła w oczy, nasuwając na myśl dzieło sztuki. Tak idealne, że nie sposób sprofanować go fizycznym pożądaniem. Chyba coś powiedziała, ponieważ drgnął i uniosł się z fotela. Obrócił głowę w jej stronę i przekrzywił lekko, potem wyciągnął ręce i niepewnie postąpił pół kroku.

Najwyraźniej nie widział jej w mroku nocy, dostrzegał tylko fosforyzującą maskę.

Za to ona zdawała się widzieć go doskonale. Usunęła mu się z drogi, po chwili stała na łóżku. Odwrócił się w tamtym kierunku, zeskoczyła zwinnie, zatoczyła łuk i znalazła się za jego plecami. Dziwna, milcząca ciuciubabka trwała, jego ruchy stawały się coraz bardziej nerwowe. Ona bawiła się świetnie, podchodząc coraz bliżej, lecz zawsze umykając w ostatniej chwili. To, że całkowicie panuje nad sytuacją zdawało się ją podniecać, posuwała się coraz dalej. Musnęła piersi, uniosła ręce nad głowę i wykonała zgrabny piruet. Zbliżyła się niemal w zasięg jego ramion i dotknęła łona, ruchem tak śmiałym i perwersyjnym, że przyprawiłby o zawrót głowy każdego mężczyznę. Sięgnął ku masce, ale w tej samej chwili okrążyła go zwinnie, przywarła do jego pleców i objęła rękoma. Poddał się całkowicie. Guziki koszuli odpadały jeden po drugim.

Nie mogłem oderwać wzroku od monitora, przestałem oddychać. Coraz mocniej piekły ślady paznokci na ciele. Było inaczej niż w moim śnie, ona nie zamierzała zadowolić się odgrywaną pantomimą. Przenieśli się na łóżko, scena zdawała się nie mieć końca...

Nagle ostre światło żyrandola zalało pokój. Siedziała na nim okrakiem, poruszając coraz szybciej biodrami. Nie zwolniła, odwróciła tylko na sekundę głowę, dziury w masce zalśniły złotem. Kaśka stała wpatrzona w złączone postacie. Mężczyzna wyprężył się konwulsyjnie, przesunął dłonie w dół pleców kochanki i ścisnął mocno. Wytatuowane na pośladkach nietoperze zdawały się poruszać skrzydłami, jakby chciały umknąć spod jego palców.

Zamknąłem powieki, lecz obraz nie zniknął.

— Nie wiedziałem, że kazała je sobie wytatuować. Nawet tego nie wiedziałem...

Otworzyłem oczy. Szef siedział odwrócony w moją stronę, celując do mnie z pistoletu. Cofałem się krok za krokiem, aż dotknąłem plecami drzwi. Na trzech monitorach zastygły nieruchome obrazy, czwarty był ciemny.

Błyskawicznie uniósł broń i wypalił. Huk zatrzęsł ścianami. Głowa poleciała mu na bok, z dziury w skroni popłynął strumień krwi jak z urwanego kranu. Coś upadło na dywan.

Tupecik wyglądał jak włochata szmata.

Wymacałem klamkę, jakoś znalazłem się na korytarzu. Szedłem w stronę wyjścia niczym zombie, oczekując że lada moment ktoś mnie zatrzyma. Ale hotelowi goście to nie wścibscy sąsiedzi z naprzeciwka, wystawiający głowy na byle hałas. Zmiennik miał pojawić się dopiero za godzinę, a

Kaśka lubiła sprzątać ze słuchawkami na uszach i jeśli akurat odkurzała, mogła w ogóle niczego nie usłyszeć. Na ulicy wyjąłem papierosa. Pierwszy wypadł mi z dłoni prosto w kałużę, drugiego przypaliłem z niewłaściwej strony. Rozkasłałem się i zwymiotowałem na chodnik.

Lazłem przed siebie, zaciągając się głęboko szlugami odpalanymi jeden od drugiego. Zauważyłem, że mam na sobie kurtkę, choć nie pamiętałem, żebym ją zabierał. Powinienem być zostać, poczekać na policję. Raczej wezwać samemu, teraz pomyślą, że miałem z tym coś wspólnego! E tam, pieprzenie, nie takie rzeczy robi się w szoku. Mogą mnie badać, nawet wysłać do psychiatryka. I to mogłoby być dla mnie najlepsze...

Nie myśl, człowieku, nie myśl... O, księgarnia. Miałem zajrzeć już dawno, kupić nowego Cobena. Wszedłem, poszperałem trochę na półkach, jednak nie znalazłem niczego ciekawego. Pośliniłem się przed wystawą sklepu komputerowego. Kiedyś kupię ten płaski monitor. Ta, na pewno, wiecznie nie będę bezrobotny... O, radiowa myszka! Pięćdziesiąt zeta? Wiktoria mnie zakatrupi, ale lepiej za to, niż za krwawe bruzdy na plecach... Nie myśl, człowieku, nie myśl!

Postanowiłem połączyć trochę po mieście, kapryśna jesień wyżywszy się wczoraj, dziś serwowała całkiem przyjemne słońeczko. Powłóczyć się, tak bez celu, wymyślając po drodze bajeczkę dla żony. Bajeczkę? Kurwa, ona rejestruje wszystko jak wariograf, wyśpiewasz prawdę, zanim pomyślisz o kłamstwie! Ale nie całą, o nie, to by oznaczało koniec... Pomilczy trochę, potem się zacznie. I co będziesz teraz robił?! Przez siedemnaście lat wydawałeś klucze i zamawiałeś taksówki. Zresztą, kto przyjmie do pracy czterdziestolatka, który zna się tylko na hotelarstwie?

Pomyślałeś o nas?!

Przecież to nie moja wina! Był Halloween, trochę wypilem, taką mam... miałem pracę. Tyle że Wiktoria nie należała do kobiet łatwo godzących się z losem. Nieszczęścia nie przydarzają się porządnyom ludziom, więc kogoś należało obarczyć winą. Nie musi daleko szukać.

Człapałem pustawymi jeszcze ulicami jak lunatyk, mechanicznie kopiąc starannie zagrabione sterty liści. Nie miałem pojęcia co z sobą począć. Po prostu odwlekałem nieuniknione. Nie liczyłem na cud, w takim dniu nie miał prawa się zdarzyć. Nieszczęścia chodzą parami, bo jedno prowokuje kolejne, a los lubi rozdawać karty w tym samym kolorze. Straciłem robotę, a gdy żona dowie się od policji o szczegółach poprzedzających tragedię, będę gadał już tylko z adwokatem. Z jej, bo na własnego mnie nie stać. Tamta umieści mnie w szufladce z niepotrzebnymi wspomnieniami, przybije szpilką jak motyla i zapomni prędzej, niż zaczniesz trwonić kasę po mężu. Chyba że... że spróbuję zagrać va bank!

Na przedmieście dotarłem piechotą, żeby mieć czas jeszcze raz wszystko przemyśleć. Płatałem się zagubiony nieco wśród niezliczonej masy domków bliźniaków, szeregowców i burżujskich willi. W domu szefa byłem tylko raz, odwiozłem mu naćpaną czymś małżonkę i wtedy właśnie poprosił, żebym dokładnie informował go o jej wszystkich ekscesach. Obiecał premię za każdy donos, jednak niewiele zarobiłem. Bynajmniej nie dlatego, że nie miałbym, o czym mówić. Jakby mi zależało, mogłem mu nawet fotek napstrykać. Jednak zwyczajnie nie potrafiłem się do tego zmusić, tym bardziej, że w przeciwieństwie do niego, ona nigdy nie okazywała mi wyniosłości. Nawet przeciwnie, tyle że zawsze

był w hotelu jakiś atrakcyjniejszy gość. A może po prostu nie pociągało jej coś, co mogła mieć na skinienie małego palca.

Przy odrobinie szczęścia powinienem być u niej wcześniej niż gliny. To stwarzało wiele możliwości. Tym bardziej, że nie miałem już niczego do stracenia!

Minąłem posesję z pomarańczowym tynkiem i krasnalami w ogrodzie, chałupa starego powinna być następna. Przez pręty z kutego żelaza zobaczyłem drobną młodą kobietę próbującą wtaszczyć na ganek wózek inwalidzki. Dziwne, ktoś z rodziny? Miała do pokonania raptem kilka schodków, lecz nie bardzo jej szło. Nikomu by nie szło, gdyby musiał odłożyć kule, żeby mieć wolne ręce. Nie zginała nóg w kolanach, stawiała kroki jakby szła na krótkich szczudłach.

Ale coś mi się nie zgadzało. Drzwi rzeźbione dłutem jakiegoś cierpliwego artysty, obrośnięte bluszczem kolumny na ganku, strzeliste okna i drewniane okiennice. Wysoka trawa przypominała majową łąkę. Niby świeciło słońce i było dość ciepło, ale mieliśmy już listopad! Do tego stary mieszkał w zwyczajnej willi, a to był to bardziej dwór niż cokolwiek innego. Może zrobił kapitalny remont?

Kobieta stała tyłem do mnie, więc zawołałem, żeby zwrócić jej uwagę. Nie byłem pewien, czy mnie usłyszała, pchnąłem furkę z kutego żelaza, zawiasy jęknęły nieprzyjemnie. Zesztywniała, chwyciła kule i zaczęła pokonywać niskie stopnie. Wyłożona płaskimi kamieniami ścieżka zdawała się dziwnie długa, idąc w stronę ganku, słyszałem tylko własne kroki i stukot kul nieznajomej. Zamilkł świergot ptaków, ucichł wiatr,

który jeszcze przed chwilą targał mi włosy.

Była już przed drzwiami i kładła rękę na klamce w kształcie łapy jakiegoś mitycznego potwora. Złapałem za obręcze wielkich kółek i uniosłem przedmiot jej wysiłków. Odwróciła głowę w moim kierunku, krzyknąłem i zamarłem.

Na twarzy miała białą maskę.

Złośliwy grymas i dziury, przez które nie widać było oczu kontrastowały przerażająco z jej nieporadną sylwetką. Wózek wypadł mi z rąk, rąbnął o kamienne płyty i odtoczył się daleko na bok niczym pchany niewidzialną siłą. Bez słowa zniknęła w mrocznym wnętrzu. Drzwi zostawiła szeroko otwarte.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego wszedłem do środka. Może czułem, że jeśli stamtąd zwieję, upiorne przedstawienie, w którym kazano mi wziąć udział będzie trwało. Ogarnął mnie znajomy z dzieciństwa zapach staroci, kurzu i naftaliny. Krocząc po skrzypiących lekko deskach mimowolnie spodziewałem się poczuć na twarzy dotyk zrywanych pajęczyn. Ze ścian długiego korytarza spoglądały stare fotografie w skromnych ramkach. Nasłuchiwałem odgłosu kul, lecz tylko moje kroki mąciły ciszę. Zatrzymałem się w progu salonu, niepewny, czy nie lepiej byłoby wycofać się po prostu, zamiast wdzierać się bez zaproszenia w czyjś zastygły w czasie świat. Zbyt dokładnie odwzorowany, by zrobiono to wyłącznie na mój użytek.

Ogromny pokój tchnął urokiem bajkowej komnaty. Każdy przedmiot

zdawał się idealnie wkomponowany w nastrój miejsca. Najmniejsza szafeczka, obraz czy przepiękny zegar ścienny zdawały się wykonane specjalnie dla tego miejsca.

— Ooo... gościa mam. Gościa mam, jak to miło.

Drobna starowinka w sukni z koronkami, jaką można zobaczyć już tylko w teatrze, tak bardzo wtapiała się w otoczenie, że zauważyłem ją dopiero, kiedy się odezwała. Siedziała na sofie, zgarbiona nad rozłożonym na stoliku pasjensem

— Kochanieńki, Piaf nie mogę włączyć — pożałowała się. Wskazała stary patefon na komodzie pod ścianą.

— Przepraszam, pomogłem tylko tej pani wnieść wózek...

— Tej pani...? — staruszka zadawała się mówić do siebie. Odkryła kolejną kartę. — Mieszkam tu sama, kochanieńki, od wieków nie miałam gości.

— Ale ona... — nie wiedziałem jak się zachować, poszukałem wzrokiem młodej kobiety. W salonie nie było nikogo więcej, ale gdyby wyszła, musiałyby przejść korytarzem obok mnie. — Była o kulach.

— Magdalena Tyszkiewicz. Nie, nie z tych Tyszkiewiczów, pradziad się zapatrzył w hrabiankę — starowinka zachichotała, najwyraźniej nie zwracając uwagi na moje słowa. — A może to ona w niego? Tak, prędezej ona, bo porzuciła dla niego majątek, ale nazwisko zostało — dodała z

szelmowskim grymasem na pobrużdżonej twarzy i niespodziewanie zmieniła temat: — Pan mi na porządnego wygląda, nie to co te dziewczuchy, co u mnie ostatnio służyły. Ladaco, ta ostatnia. Pelargonie mi przelała. Pogniją mi moje pelargonie!

Staralem się na oko ocenić jej wiek. Osiemdziesiąt parę na pewno, może więcej. Pociągła twarz, obwisłe policzki, mnóstwo zmarszczek. I coś, od czego nie mogłem oderwać wzroku, coś co po prostu hipnotyzowało. Jej oczy. Błyszczące jak dwie krople świeżej żywicy, jak bursztyny pieczołowicie polerowane przez jubilera z zatopionymi wewnątrz czarnymi perełkami.

— Zna się pan na kwiatach, panie Pawle?

Myśli rozpierzchły się niczym stado myszy. Skąd znała moje imię?! Nie przedstawiałem się przecież. Zgadła?

— Kwiaty? Nie wiem, no trochę... — myślałem już tylko, jak się stamtąd wycofać, nie sprawiając starszej pani przykrości. — Ja już może pójdę...

— Nie wiem, ile pan ze mną wytrzyma, panie Pawle, ale tak pana nie wypuszczę — nie pozwoliła mi dokończyć. — Musi pan wypić ze mną lampeczkę pysznego winka. Domowej roboty!

Bezwiednie dałem kilka kroków i usiadłem w przepastnym fotelu. Uniosła się zwawo i płynnym ruchem nastawiła gramofon — przypomniałem sobie, że ponoć miał być zepsuty — niczym baletnica zakreśliła się przy dębowej witrynie, z której wyciągnęła dwa

kryształowe kieliszki. Ciszę gwałtownie przerwał dobrze znany głos:

Allez venez! Milord

Vous asseoir a ma table

Il fait si froid dehors

Ici, c'est confortable

Laissez-vous faire, Milord...

Stara dama, której dziad zapatrzył się na hrabiankę, nalała nam wina ze zgrabnej karafki.

Było mocne jak wszyscy diabli i naprawdę pyszne.

Wracałem do domu jak na skrzydłach. Chciałem wszystko opowiedzieć Wiktorii. Prawie wszystko. Nie musi wiedzieć, że przekimałem nocną zmianę i dlatego stary wyrzucił mnie z roboty. Powiem, że poprosiłem, jak mi kazała, o podwyżkę, a kiedy mnie wyśmiał strzeliłem go w zęby! I że najsympatyczniejsza staruszka, jaką kiedykolwiek spotkałem, poczęstowała mnie najwspanialszym winem, jakiego kiedykolwiek próbowałem. Potem wsunęła mi do kieszeni marynarki stówkę. Świeżutką, sztywną jak po krochmalu, pachnącą jeszcze farbą. Za dobry uczynek, wybranie wody z pelargonii i parę chwil rozmowy, a raczej ciepłego słuchania. Następnie porosiła mnie, żebym zaglądał codziennie, a już ona nie zapomni mi się odwdzińczyć. Chciałem to wszystko powiedzieć, dosłownie wyśpiewać. Żonka może sobie być chodzącym wykrywaczem kłamstw, ale szelest papierków odbiera

pewność siebie bardziej, niż ścielenie łóżka przed nocą poślubną. Może nawet opowiem jej ten powalony sen? Swoją drogą, trochę szkoda, że to tylko sen, byłoby co wspominać.

Kiedy tylko stanąłem w progu własnego mieszkania, zobaczyłem bladą twarz Wiki. No tak, cholera, późno się zrobiło, doskonale wiedziała kiedy kończę zmianę.

— Jesteś kompletnie narąbany — stwierdziła, po czym trzasnęła drzwiami sypialni.

Akurat nie miała racji. Trochę szumiało mi we łbie, to wszystko. Ale to nie był najważniejszy moment na zwierzenia. Kimnąłem się, bez rozbierania, na sofie w dużym pokoju. Śniło mi się, że Kaśka wyznaczyła nam wreszcie wspólną nocną zmianę...

Nazajutrz przy porannej kawie przedstawiłem Wiktorii swoją wersję wydarzeń.

— Zakładając, że to prawda... — ostrożnie podjęła rozmowę.

— To jest prawda. Zresztą, po co miałbym zmyślać? Mówię jak było, jak nie chcesz mi wierzyć, to skończmy rozmowę.

— A jak mam wierzyć? No jak? Starsza pani chce płacić ci pięć stów tygodniowo, za to, że sobie z nią posiedzisz? Jako pan do towarzystwa, gosposia? Może trzeba jej pampersy zmieniać, albo karmić przecieraną zupką?

— A co, nie nadaję się? Może lubi młodych chłopców — rzuciłem niefrasobliwie, chcąc rozluźnić trochę atmosferę.

Za cholerę mi się nie udało, Wiktoria przewiercała mnie wzrokiem.

— To wygląda tak — zacząłem, całkiem poważnym już głosem. — Pani płaci za pomoc w drobnych czynnościach, za dotrzymanie jej towarzystwa. Chce mieć z kim porozmawiać, wypić herbatkę, pooglądać telewizję. Siedzi tam, sama jak palec. Jest przesympatyczna, na pewno byś ją polubiła.

— Paweł, to naprawdę dziwnie wygląda.

Położyłem na kuchennym stole banknot.

— A to jak twoim zdaniem wygląda? Na ulicy go nie znalazłem.

Zamilkła. Przez chwilę przyglądała mi się uważnie, wreszcie wyraz jej twarzy złagodniał, wzruszyła ramionami.

— Naprawdę dałeś staremu po mordzie? — Uśmiechnęła się, teraz już całkiem promiennie. Konflikt zażegnany.

— Nakrył się nogami!

Uśmialiśmy się równo. Sięgnąłem do szuflady, nazywanej przez nas „śmietniczką”. Wiktoria podczas sprzeczek tysiące razy wygrażała, że mebel wyrzuci przez balkon z całą zawartością. A było tam wszystko,

czego nie powinno się trzymać w domu. Wszelkiego rodzaju klamoty, wyschnięte mazaki, stare wizytówki, ulotki, otwieracze do butelek, kapsle po piwie. Znalazłem działający jakimś cudem długopis i tekturkę z opakowania rajstop.

— Masz, napiszę ci adres tej babki. Sama sobie zobaczysz dworek. A jeśli tylko będzie okazja, to ci go pokażę. Może za jakiś czas, jak babcia się do mnie przyzwyczai, zaprosi i ciebie na winko?

Wiktoria kiwnęła głową, schowała kartonik do tylnej kieszeni spodni i zaczęła szykować się do wyjścia. Była pielęgniarką w hospicjum.

— Bardzo się spieszysz? — Wkładała do torby kanapki, gdy zaszedłem ją od tyłu, objąłem i pocałowałem za uchem. — Pacjenci zaczekają, zresztą, im już nigdzie się nie spie...

Nie dokończyłem, ale i tak widziałem w jej wzroku, że moja bezmyślna uwaga zakończyła definitywnie grę wstępną, nim się w ogóle zaczęła. Dowcipne to nie było, zwłaszcza że nie traktowała swojej pracy jak posady na poczcie. Jej pacjenci gaśli powoli i odchodzili, a ja zawsze wiedziałem, kiedy to się stało, bo przez parę dni zachowywała się jak robot. Sypialnia stawała się wtedy miejscem do przetrwania nocy. Jak poczekalnia dworcowa.

Wiktoria wyślizgnęła się z moich objęć i zmarszczyła nos.

— Weź prysznic.

Miałem ochotę przedrzemać cały dzień, ale sam czułem, że lepiej zastosować się do jej rady. Wrzuciłem zmięte ciuchy do kosza z brudną bielizną i wszedłem do brodzika.

Spływająca woda powoli nabrała czerwonego odcienia. Przyglądałem się tępyim wzrokiem, nie rozumiejąc zjawiska, póki nie zapiekły mnie plecy. Próbowałem okłamać Wiktorię, jednak bardziej siebie.

Bo senne mary nie zostawiają krwawych bruzd na ciele.

Dni płynęły spokojnym rytmem. Odwiedzałem panią Magdalenę od poniedziałku do piątku, mniej więcej po cztery godziny dziennie. Moja praca polegała przede wszystkim na słuchaniu jej dziwnych, acz barwnych i wciągających opowieści. Często oglądaliśmy zdjęcia. Nawet nie musiałem udawać zainteresowania, kobieta miała prawdziwy talent do bajdurzenia, sam w końcu dopytywałem się, kto jest kim. Byłem przekonany, że większość historii zmyślała. Szczególnie te z czasów drugiej wojny światowej. Opowiadała o Jedwabnem, o ukrywaniu żydowskiego nastolatka w piwnicy. O wymarzonym rejsie na Steubenie, do którego cudem nie doszło. Niby uratował ją upojny wieczór z niemieckim żołnierzem. Miała wyblakłe czarnobiałe zdjęcie na tle zacumowanego statku. Przeglądałem setki fotografii, do każdej z nich staruszka dokładała opowieść. Zawsze częstowała mnie lampeczką wina, były ciastka własnego wypieku i herbata z oryginalnego, blaszanego samowara.

Nigdy nie zapomniała wsunąć mi do kieszeni kurtki banknotu. Ale robiła

to tak dyskretnie, że ani razu nie udało mi się jej na tym przyłapać. Banknot po prostu tam był, gdy wychodziłem.

Policja nie zapomniała o mnie, ale obeszło się bez większych przykrości. Złożyłem zeznania, które nie wniosły niczego istotnego do sprawy samobójstwa właściciela hotelu. Nie wspominałem, że byłem w jego pakamerze, kiedy to się stało. Przyszedł rano i, nie wiedzieć czemu, kazał mi się wynosić. Najwyraźniej im to pasowało, gliny też nie lubią utrudniać sobie życia. Obawiałem się, że spytają o film nagrany ukrytą kamerą, ale nie zrobili tego, a ja wolałem nie dociekać, czemu.

Mijały tygodnie, potem miesiące. Coś się zmieniało we mnie i w otoczeniu, stopniowo, nieuchwytnie jak na płowiejącej w słońcu fotografii. Im lepiej czułem się w starym dworku, tym trudniej było mi wytrzymać w domu. Wiktoria wracała z pracy coraz bardziej zdenerwowana. Zamykała się w pokoju lub w kuchni. Na każdą próbę nawiązania rozmowy reagowała machnięciem ręki. Mamrotała jedynie coś pod nosem, oczywiście tak, żebym niczego nie zrozumiał. Już tak miała, fochy okazywała nad wyraz dobitnie i umiała czekać w nieskończoność, aż sam się domyślę. W końcu straciłem cierpliwość.

— Dowiem się, o co chodzi? — złapałem ją za rękę, kiedy znów zamierzała schować się w kuchni.

— A może ja się dowiem, na cholerę Marek się wykosztował, skoro ty przez cały dzień nie odbierałeś telefonu?! Ani wczoraj, ani tydzień temu.

Spojrzałem na komórkę, którą dostałem od syna. Chłopak zaszalał z

prezenterem, połowy bajerów, w które została zaopatrzona, nawet nie umiałem odpalić. Pewnie chciał pokazać starym, jak świetnie sobie radzi w tym cholernym Londynie.

— Jakbyś dzwoniła, bym odebrał. Mam go cały czas na szyi! — Szarpnąłem smyczą.

— Pokaż. — Złapała dyndający na plastikowym pasku telefon, po czym zaczęła błyskawicznie przyciskać klawiszki. Szło jej to całkiem nieźle w tych szpiczastych pazurach. — Co, wykasowałeś? Uważasz mnie za idiotkę?!

Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Sięgnęła po swój telefon, po czym z tą samą precyzją przez moment dusiła klawiaturę. Przystawiła mi wyświetlacz do twarzy. Chwyciłem jej dłoń i odsunąłem na taką odległość, żeby przyjrzeć się obrazkowi na ekranie.

— I co to niby jest?

— To ty mi powiedz! — krzyknęła. — Co się z tobą dzieje, Paweł?!

— A co ma się dziać? Czego histeryzujesz?

Traciłem cierpliwość, czułem, że znów się dąsa o jakąś bzdurę. Kochałem tę kobietę, ale zdarzały się chwile, kiedy żałowałem, że... jak pradziad zapatrzyłem się w hrabiankę. Pańciusię, cholera!

Gówniane problemy kosmicznej rangi, życie pod linijkę! Awantura o

bzdurę. A ja na koniec będę się korzył i przepraszał, choćbym niczym nie zawinił.

— Paweł, pojechałam tam. Pod adres, który mi podałeś. Myślałeś, że tego nie zrobię? Czułam, że coś kręcisz!

Parsknąłem śmiechem.

— Czemu nie weszłaś, dostałabyś winka.

— Może gdybym sama przyniosła. Wytlumacz, co jest na zdjęciu!

Spojrzałem jeszcze raz na obrazek. Rudera. Jakaś rozwalająca się, przegniła rudera. Marta pochrzaniła adres a teraz pretensje do garbatego, że ma dzieci proste. Zaraz rozpocznie się przemowa, a jakże.

— Nie dość że mnie okłamałeś...

— Taaak?

— Przestań się do mnie odzywać w ten sposób!

— Tak, jaśnie pani.

Oddychała coraz prędezej, nie dałem jej dojść do siebie.

— Co ci znowu nie pasuje, co? Pracowałem w hotelu, to narzekałaś. Zmieniłem pracę, źle. Może mam się powiesić i nareszcie ci ulży?!

Przeginałem specjalnie, bo niczego nie chciałem tak bardzo jak doprowadzić ją do hysterii.

— Posłuchaj mnie! — wrzasnęła.

— No słucham. Co znów zrobiłem źle?

— Ciebie już w ogóle nie ma w domu! Śmierdzisz wódką, wyglądasz jak obwieś. Spójrz na siebie, kiedy ty ostatnio się myłeś? Paweł, powinieneś iść do lekarza. Nie chcę ci przypominać, co się stało z twoim tatą. Boję się... — Szarpnęła mnie za rękę, pozwoliłem poprowadzić się do lustra.
— Zobacz tylko.

Spojrzałem w odbicie i aż cofnąłem się o krok. Wyglądałem jak upiór. Dokładnie jak mój ojciec na kilka dni przed śmiercią. Ale przecież takie rzeczy nie dzieją się nagle, codziennie spoglądałem w lustro. Przetarłem dłonią zarośniętą twarz, jakbym tym gestem mógł zmienić obraz i rzeczywistość.

— Rozmawiałam z twoją mamą, bardzo się o ciebie martwimy. Nie masz żadnej pracy, prawda, kochanie? I nie ma żadnej pani Magdaleny?

Struchlałem. Chciałem zaprzeczyć, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Kręciłem tylko głową, na próżno szukając jakiejś normalnej myśli.

Sięgnąłem do kieszeni marynarki i wyjąłem stuzłotowy banknot.

— Jest...

— Przyjrzyj się, to jest tylko wycięty z gazety papierek. Od dłuższego czasu nie dawałeś mi pieniędzy, początkowo myślałam, że straciłeś i tę pracę, ale nie chcesz się przyznać.

Popatrzyłem dokładniej. Miała rację, trzymałem w dłoni wyciętą z gazety karykaturę pieniądza. Lęk przepelzył mi po karku.

Rozmawialiśmy bardzo długo. We trójkę. Ja, moja żona i strach. Czaił się między starannie dobieranymi słowami, drżał w urywanych zdaniach, bawił się w chowanego z naszymi spojrzeniami. Świat za oknem poszarzał, mijały godziny wypełnione najczystsza szczerością i chwilami niewymuszonego milczenia, mówiącego więcej niż słowa, miłością płynącą przez splecione dłonie. Może położylibyśmy się spać, razem stuleni w miękkiej kołdrze. Może wszystko byłoby inne...

— Nie wracaj tam już nigdy. — Wiktoria patrzyła na mnie w taki sposób tylko jeden raz w życiu. Gdy powiedziała, że będziemy mieli dziecko i pełna wiary czekała na reakcję mężczyzny, który ją wybrał, a ona zawierzyła mu siebie i całą przyszłość. — Proszę, obiecaj mi to.

Czekała, a ja nie potrafiłem wydusić słowa, choć bardzo chciałem.

Nagle jej rysy zmieniły się, kontury twarzy zadrgały, poczęły blednąć i oddalać się. Pragnąłem ją chwycić i zamknąć w objęciach tak mocno, by usłyszeć jej krzyk, żeby przytrzymać ulatującą duszę. Na dnie szeroko otwartych, wpatrzonych we mnie oczu pojawiły się złote iskry. To nie była Wiktoria. Upiór wyciągał do mnie ręce, tęczę zapłonęły płynnym złotem.

Biegłem, odnajdując w ciemnościach drogę jak szczur, co chwilę oglądając się przez ramię. Dzikie szaleństwo, maraton przez nieświadome niczego śpiące miasto, w samych skarpetkach i spodniach od dresu. Nie czułem chłodu.

Mijałem kamieniczki, gnałem na oślep przez trzypasmowe, puste o tej porze ulice, ślizgałem się na gnijących liściach. Już blisko, już niedaleko. Już zaraz... Dotarłem na miejsce, spocony jak mysz. Przerdzewiała furтка zaskrzypiała żałośnie. Księżyc w pełni zalewał wszystko srebrzystą poświatą, wzrok miałem dziwnie wyostrzony. Czy ten dach zawsze był porośnięty mchem? Wczoraj bluszcz, pnący się wokół kolumn ganku, na pewno nie przypominał powykręcanych, suchych badyli. Na ścianie widniały pęknięcia, gdzieniegdzie wyrwy aż do litej cegły. Gdzieś widziałem ten obraz... jakieś niewyraźne zdjęcie... zdjęcie Wiktorii. Jakiej Wiktorii? Nie znam żadnej...

Pchnąłem odrapane drzwi bez klamki.

Po omacku przedzierałem się długim korytarzem, pajęczyny lepiły mi się do twarzy. Ściana była obrzydliwie śliska. Gęsty fetor zgnilizny wręcz obezwładniał, zdawał się spowalniać ruchy, o mało nie wymiotowałem. Pod stopami czułem coś ruchliwego, jakbym stąpał po wijących się żelkach.

Salon tonął w mroku przecinanym smugami księżycowej poświaty.

— Jesteś wreszcie — głos nie dochodził z żadnego określonego kierunku, wibrował i przenikał całe ciało.

Usłyszałem dziwny dźwięk, podobny to tego, kiedy wyłącza się stary telewizor. Ciemności zaczęły się rozrzedzać, złote iskierki tańczyły pośród mroku. Na środku pomieszczenia zwolna koncentrowała się chmura mieniących się drobinek, wirujących wokół niewidzialnej osi.

Padłem na kolana i zamknąłem oczy.

Trwałem tak może minutę albo godzinę, czas przestał mieć realny wymiar. Wreszcie poczułem, że nie jestem sam. Uchyliłem powieki.

Widok zapierał dech w piersiach. Kobięca postać, unosząca się kilka centymetrów nad ziemią, wyciągnęła do mnie rękę. Była całkiem naga. Boskie ciało, nieziemskiej urody. Nie mogłem oderwać wzroku, nie umiałem i nie chciałem. Zachwyt przeplatał się z obezwładniającym lękiem. Znałem ją, pamiętałem. Dawała rozkosz, za którą trzeba było płacić jak hotelowej dziwce. Wciąż więcej i więcej, aż nie było już czym.

— Niełatwo było nad tobą zapanować.

Dostrzegłem pod ścianą dziwny kształt, po którym tańczyły nasze cienie. Pani Magdalena leżała skulona przy kaflowym piecu. Była tak krucha, malutka, puste oczodoły ziały niemą skargą.

— Siedziałam w tym ścierwie dostatecznie długo. Miło się słuchało moich opowieści, prawda? Ona w swoim marnym życiu nie doświadczyła niczego ciekawego. Pranie, sprzątanie i pilnowanie głupiej córki.

Złotooka piękność podpłynęła do mnie. Bijący od niej blask rozświetlał

gnijący salon. Obskurne, pokryte pleśnią fotele z przebijającymi obicie, niczym żebra skórę nieboszczyka, sprężynami. Obie wskazówki zegara bezwładnie wskazywały zardzewiałą szóstkę. Poczułem jak moje mięśnie sztywnieją. Kolana dotknęły spróchniałej podłogi.

Naga postać była coraz bliżej, mogłem dotknąć jej skóry, osiąść ją i na zawsze zatracić w ostatecznym spełnieniu. W rogu pokoju leżała martwa kobieta, ale ona się nie liczyła, niczego nie mogła już zobaczyć, nikomu powiedzieć. Salon zaczął ponownie nabierać barw. Ohydna pleśń stopniowo zniknęła ze ścian. Gdzieś zaróżowiły się fragmenty kwiecistej tapety. Zasuszone badyle w doniczkach poczęły delikatnie trzeszczeć i rozwijać się, ponownie przybierając formę liści.

Powoli wyciągnąłem rękę.

— Paweeeł... Paweł, jesteś tu...? — to był głos mojej żony. Daleki i stłumiony, ale na pewno jej.

Zjawa poczęła się zmieniać. Złota powłoka spływała gęstym strumieniem z twarzy i ciała, odsłaniając gnijące truchło. Oczy wypłynęły krwawymi strumieniami.

Rzuciłem się w stronę hallu, odbiłem od futryny i upadłem na podłogę. Niezdarnie czołgałem się przed siebie. Czułem, że idzie za mną, zbliża się. Nie spieszyła się. Najgorsza była cisza. Za chwilę dotkną mnie zimne palce, szpony zagłębią się w ciało, sięgając serca...

Na czworakach dotarłem, do końca korytarza.

— Otwórz drzwi! — krzyknąłem.

— Paweł...?

— Otwórz drzwi. Szybko, błagam cię!

Wstałem z podłogi, obmacując ściany. Strąciłem jakiś obrazek. Klamka, gdzie ta cholerna klamka? Szarpnąłem do siebie, za drzwiami ujrzałem tylko ciemność. Dałem krok do przodu...

Szarpnąłem się panicznie, rozchyliłem powieki i usiadłem na kanapie. Od nagłej zmiany pozycji zakręciło mi się w głowie. Wiki dreptała w kółko po pokoju z telefonem przy uchu. Czułem się obolały i słaby jak po długiej chorobie. Z ledwością odwracałem głowę, obserwując żonę.

— Nie trzeba, mam, poradzę sobie... Muszę kończyć, obudził się. — Zerknęła na mnie, jej oczy błysnęły złotem. Pięknym światłem, hipnotyzującym blaskiem. — Tak, na pewno.

Położyła telefon na stoliku i podeszła do mnie. Powoli, jak w mętным śnie, klękła przy mnie i pogładziła po twarzy.

— Wszystko już będzie dobrze. Paweł, nie musisz nigdzie chodzić. Zostaniesz ze mną, prawda?

Coś kołatało się na dnie duszy, coś przemawiało głosem ojca: Uciekaj, uciekaj, to znowu ona! Nie patrz na nic, uciekaj.

Lecz ja uparcie wpatrywałem się w złote oczy Wiktorii.

— Pamiętasz, opowiedziałeś mi kiedyś bajkę o rycerzu, który pokonał wiedźmę — przemawiała słodkim, łagodnym głosem.

Znałem tę opowieść doskonale, była to moja ulubiona bajka z dzieciństwa. Ojciec ją wymyślił i opowiadał z takim przekonaniem, jakby to była prawda. Chyba w nią wierzył, i ja też wtedy wierzyłem.

— O tym, jak dzielny rycerz podstępnie zdobył serce czarownicy, by zbliżyć się do niej i uśpić jej czujność. Ale wiedźma...

— Wiedźma o bursztynowym spojrzeniu, wydając ostatnie tchnienie, przeklęła go, a klątwa miała trwać wiecznie — dokończyłem. — Każda kobieta w jego życiu miała być pasją i przekleństwem. Nigdy nie miał zaznać prawdziwego szczęścia.

— To tylko bajka, najdroższy. Ze mną poznasz piękniejsze bajki...

Ledwo kontaktowałem. Wiktorii szeptała mi do ucha kołysankę, jakiś głos z daleka pytał, dlaczego nie zostałem księdzem. Zasnąłem w końcu, śniąc o złotoookiej czarownicy.

Obudziłem się po trzeciej. Księżycowe światło wpadało do sypialni przez szczelinę w zasłonach. Na palcach, cicho jak złodziej, wymknąłem się z mieszkania. Noc była bezchmurna, a gwiazdy prowadziły mnie na północ, w dobrze znane miejsce. Z daleka zobaczyłem pokryty mchem dach, i powybijane okna ziejące smolistą czernią.

Doskonale wiedziałem, że nie zastanę pani Magdaleny, bo nigdy nie istniała takowa. Za to czekała na mnie butelka czystej, schowana pod schodkami.

— Panie Pawle, czy to tak wypada? — głos staruszki dobiegał gdzieś ze środka rudery. Przyzwyczaiałem się do niej. To była najsympatyczniejsza ze zjaw, które widywałem. Pokochałem ją na swój sposób, mógłbym u niej zamieszkać i służyć aż do śmierci. Było mi tu dobrze jak nigdzie indziej, tu znalazłem dom. Pociągnąłem mały łyk z gwinta. — Panie Pawle, porządni ludzie śpią o tej porze...

Tak, tak, bywała nieco upierdliwa. Siedziałem na spróchniałych schodkach, wpatrując się w niemalże biały, ogromny księżyc. Wódka była tania i parszywa w smaku, ale był to smak zwycięstwa.

Przepęniało mnie błogie szczęście. Chciałem podnieść butelkę ku górze i wznieść kolejny toast, jednak coś powstrzymywało moją dłoń. Bardzo mocno.

Szarpnąłem się raz, drugi, coś krępowало nadgarstki. A byłem już tak blisko... Noc przemieniła się w upiorną biel, księżyc pożółkł i rozbił się na mniejsze.

Wielki anioł nachylił się nade mną, przemawiając ochrypłym głosem:

— Widzi pani sama, że stan męża wymaga długotrwałej hospitalizacji. Przeprowadzimy wszelkie możliwe badania, ale na ten moment i mąż, i pani potrzebujecie odpoczynku. Proszę się nie martwić, tylko iść do

domu i porządnie się wyspać. Zaopiekujemy się nim.

— Panie doktorze...

— Porozmawiamy jutro, niech pani się nie martwi, tu nie stanowi dla nikogo zagrożenia — zrobił ledwie dostrzegalną pauzę. — A przede wszystkim dla siebie...

*

Moja żona wciąż wierzy, że życie zawdzięczam farmaceutynom. Ojciec ma inne zdanie i ja też. Towarzyszył mi przez te wszystkie miesiące przymusowej izolacji w szpitalu, ale to zostanie naszą tajemnicą. Tak jak i to, że Magdalena Tyszkiewicz istniała naprawdę, tata kochał ją przez całe życie, i przez całe życie ukrywał przed matką jej istnienie. Wyzdrowiałem, ale swoje wiem. Od tamtej pory nie spotkałem kobiety o bursztynowych oczach, nie miewam ataków przywidzeń. Nowy właściciel hotelu miał kłopot z personelem, i po kilku odmowach, zdecydował się wreszcie mnie zatrudnić. Pewnie i Kaśka miała w tym swój udział, choć nigdy się do tego nie przyznała. Długo zbierałem się, żeby spytać ją o tamtą noc. O podmienioną butelkę Smirnoffa i resztę... Ale nie spytałem. Akurat wtedy, gdy w rocznicę pamiętnego Halloween zdecydowałem się poprosić ją o wyznaczenie wspólnej nocnej zmiany, oznajmiła mi, że wychodzi za mąż. Za nowego właściciela hotelu. Gdy to mówiła, jakiś zbłąkany refleks światła zapalił w zielonkawych tęczówkach jej oczu złote nitki, które zgasły niemal natychmiast. Potem wręczyła mi płaską paczuszkę.

Była w niej kasetka z filmem.

Toczy się dzień za dniem, znów stoję za recepcją i szastam uprzejmościami, ale po tym wszystkim to więcej niż mógłbym marzyć. Jestem dumny z syna, który wrócił do kraju i studiuje teologię. Chce zostać księdzem. On ma wiarę, a ja pakiet leków, jesteśmy bezpieczni.

Gdy nic się nie dzieje na nocnej zmianie, biorę klucz od pierwszego wolnego pokoju, zaciągam zasłony, włączam wideo i siadam w fotelu. Film nosi tytuł „Maski”, sam go wymyśliłem. Kaśka kiedyś przyjdzie. Usłyszę skrobanie za drzwiami i w jasnym prostokącie pojawi się kobieta cień. I nikt już nam nie przeszkodzi. Bo tamta zapijaczona nimfomanka łatwo dała się zwabić do opuszczonego domu. Jej ciało zakopałem głęboko w ogródku. Na wierzchu posadziłem pelargonie.

Jedno tylko nie daje mi spokoju. Zapomniałem sprawdzić, czy miała wytatuowane na pośladkach nietoperze. Oczywiście dowiem się, kiedy Kaśka wreszcie się zdecyduje. Bo któraś z nich miała.

A ja koniecznie muszę wiedzieć, która...

Pod krzyżem świętego Andrzeja

Stary, rozklekotany ikarus zatrzymał się przed krzyżem świętego Andrzeja.

— Panie kierowco, chcę wysiąść! — krzyknął facet, siedzący na samym końcu.

— Tu nie ma przystanku.

Autokar dawno powinien był ruszyć, jednak włókł się tyko, powoli, pomalutku mijając koślawy znak. Zatrzymał się na środku torów, silnik zgasł. Pasażerowie zaczęli wymieniać szept.

— Otwórz pan drzwi!

— Tu nie ma przystanku.

— Tu nie ma przystanku — szeptali podróżni.

— Nie! — wrzasnął.

Choć tak bardzo się starał, choć obiecywał sobie, że tego nie zrobi, zerknął za okno. Tory wiły się jak węże, zdawały falować i wybrzuszać. Maleńki punkcik na horyzoncie zaczął się przybliżać.

— To on, ludzie, uciekajcie, to on! — Chłopak upuścił plecak na ziemię, rzucił się do drzwi.

Były zamknięte.

Mógł zamknąć oczy lub patrzeć przez szybę. I tak widziałby to samo. Niebo pociemniało, kształt na horyzoncie zbliżał się z niepokojącą prędkością. Całkiem zaszło słońce, za nadchodzącym kształtem kroczyła czerń.

Tłukł łokciem w szybę, jednak ta nie ustępowała.

— Otwórz! Wypuść, ja...

Znał ten kształt. Oglądał go milion razy. W snach, na jawie, siedząc w szkolnej ławce i przez sen, i kiedy kochał się z żoną...

— Wypuść mnie! Po mnie idzie, po mnie!

Wierzgnął nogami i usiadł na łóżku. Pościel była mokra od potu.

*

Ulica świeciła pustkami. Dochodziło południe, lipcowe słońce prażyło, a ponemieckie kamieniczki rzucały cień tylko na skrawek krzywego chodnika. Drzwi jednej z klatek otworzyły się z łoskotem, drobna dziewczyna wybiegła na ulicę.

— Paweł! — krzyknęła, biegnąc przez pustą jezdnię. Wielkim susem przeskoczyła trawnik, o mały włos się nie przewróciła. Od chłopaka w czarnym swetrze dzieliło ją kilkanaście metrów, najwyraźniej nie usłyszał.

— Paweł! — zawołała jeszcze raz, głośniej, ile sił w płucach. Nie panowała nad uśmiechem, promieniała cała, choć oddech się urywał, a za bok łapała kolka.

Wysoki, dobrze zbudowany chłopak przystanął, zdjął słuchawki z głowy i rozejrzał się zdezorientowany.

Wpadła na niego z impetem, gdy zaczął się odwracać.

— Wypatrzyłam cię... z kuchni... — wysapała, nie mogąc złapać tchu. — O Boże... przepraszam. Pomyliłam pana z kimś.

Zmieszana cofnęła się o krok, ściskając w dłoniach zatłuszczony pakunek. Słodki zapach sprawił, że chłopak przełknął ślinę.

— Nic nie szkodzi, bardzo lubię... — śmiało popatrzył w zielone oczy — pączki.

— Zobaczyłam z kuchni... — W oczach stanęły jej łzy. — Przepraszam... Pan jest taki podobny...

— Też mam na imię Paweł. — Nie spuszczał z niej wzroku, dziwnie zadrgały mu kąciki ust. — Pewnie dawno się nie widzieliście?

— Trzy lata — odpowiedziała i wyraźnie chciała się odwrócić.

— Proszę poczekać! Może powie mi pani, jak znaleźć ulicę Franciszkańską?

— To... — Potarła nos, jakby usiłowała zetrzeć z niego piegi. — To trochę skomplikowane.

— Zaprowadziłaby mnie pani? Jestem tu pierwszy raz.

— Nie, nie mogę. Zostawiłam gary na ogniu, muszę wracać. — Zawahała się. — Proszę iść cały czas prosto do krzyżówki, potem pan kogoś spyta.

— Szkoda... — Zrobił grymas udawanej rozpacz. — Muszę kogoś odwiedzić, ale po południu może... — zająknął się, widząc wyraz jej twarzy. — Nie miałem na myśli nic złego.

Odwróciła się na pięcie, zrobiła kilka kroków i niespodziewanie zerknęła za siebie.

— Jest taki nieduży bar „U Rafała”, znajdzie pan. Zresztą nie, nie mogę... Przepraszam.

— Będę czekał. A te pączki...

Rzuciła w jego stronę tłusty pakunek, złapał go, wykonując niezdarne ruchy. Roześmiała się na widok zdziwionej miny, pomachała jeszcze i pobiegła w stronę domu.

Odrapana klatka schodowa, szare drzwi. Weszła do kuchni, zbliżyła się do okna. Uśmiech znikł z jej twarzy. Przez firankę obserwowała, jak chłopak przykucnął, żeby zawiązać sznurowadło. Przekręcił głowę, zerkając w jej stronę. Prosta czynność zajęła mu znacznie więcej czasu, niż to ma zwykle miejsce. Czy to mogło coś oznaczać? Jest taki podobny, pomyślała, ma nawet ten sam uśmiech, trochę cyniczny a trochę zawadiacki... Zdążyła mu się dokładnie przyjrzeć. Kiedy mówił, zdarzało mu się odwracać wzrok, jakby nie był pewien własnych słów. Albo jakby kłamał. I zauważyła coś jeszcze. Nosił zwyczajne płócienne pantofle bez sznurowadeł.

Spojrzała na miskę pełną surowego ciasta na pączki.

Włączyła radio.

Niech mówią, że to nie jest miłość...

— O nie, tylko nie to. — Błyskawicznym ruchem zmieniła stację.

Gdy ciebie zabraknie... Niebo rozstąpi się, w nicości trwam

— Tak, dobij mnie, kurwa!

Zbyt gwałtownie sięgnęła do wyłącznika, odbiornik spadł z kuchennego stołu i roztrzaskał się o terakotę.

Wiedziała, że teraz przyjdą złe myśli. Nie wiadomo skąd, w głowie pojawiła się melodia, usta poruszyły się bezdźwięcznie.

Wszystko byłoby inne, gdybyś tu była, ja wiem... nie tak trudne i dziwne...

Odsunęła szufladę i wyjęła fiolkę z lekami.

— I co z tego, masz lepszy pomysł? — wyszeptała do swego odbicia w lustrze.

Lustrzana Anna pokiwała głową...

Chłopak udawał, że zawiązuje nieistniejące sznurowadło, obserwując okna kamienicy. Czekał, aż w jednym pojawi się twarz dziewczyny, może tylko mignie przez chwilę za firanką, ale to wystarczy. Jest. Zaśmiał się w duchu na myśl, że zapewne bez trudu przejrzała jego malutką, z pozoru nieporadną, gierkę — nawet z okna musiała widzieć, co ma na nogach. Żadna kobieta nie pozostaje obojętna na oznaki fascynacji. Przyjdzie. A nawet jeśli nie, jeśli okaże się zbyt nieśmiała, to on zapuka do niej...

Wiem, że to tylko marzenia, wiem, że nie do spełnienia...

Muzyka sączyła się z zawieszzonego pod sufitem głośnika. Nieliczne towarzystwo przy okrągłych stolikach prowadziło zwyczajowe rozmowy, ktoś czknął o wiele za głośno, automat w rogu wygrał bzdurną

melodyjkę, oznajmiając podchmielonemu delikwentowi, że i tym razem nie miał szczęścia.

Zauważył ją od progu, siedziała na wysokim stołku przy barze, bawiąc się słomką zanurzoną w pękatej szklance. Ten sam uśmiech zadrgał mu w kącikach ust. Podszedł, rzucił plecak na podłogę i usiadł obok. Zamówił piwo, spojrzał pytająco na dziewczynę, lecz ta pokręciła tylko głową. Począł, aż barman przyniesie kufel i wróci na swoje miejsce, pociągnął długi łyk i już otwierał usta, gdy dziewczyna odezwała się pierwsza:

— U nas nie ma ulicy Franciszkańskiej.

— Nie wiedziałem... Ta mi pierwsza przyszła do głowy. Mieszkałem kiedyś na Franciszkańskiej, całe życie właściwie, póki... Tam był nasz dom dziecka.

— Był?

— No jest. Tylko to już nie jest mój dom.

— Nie jest — powtórzyła mechanicznie. — A gdzie mieszkasz?

— Trochę tu, trochę tam. Nigdzie właściwie.

— I pewnie nie masz na imię Paweł?

— Tak naprawdę nie wiem, jak mam na imię. Ktoś mnie porzucił w

kościelnie. Rodzice... — zająknął się, widać z trudem przychodziło mu wymówić to słowo — nieznani. W domu dziecka dali mi Władysław, nie lubię go. A ty, jak masz na imię?

— Anna. Przepraszam.

— Nie musisz, skąd miałaś wiedzieć? Nawet wolę, jak mówisz mi Paweł. Opowiesz mi o nim?

— Dlaczego?

— Bo musi być kimś wyjątkowym, jeśli taka dziewczyna czeka trzy lata. Zresztą, nie mów, jeśli nie masz ochoty...

Zakołysała szklanką, drobne bąbelki oderwały się od ścianek, kostki lodu był już tylko wspomnieniem. Jakiś podchmielony gość otarł się o jej plecy w drodze do toalety. Wyjęła słomkę, napiła się bezpośrednio ze szklanki i powolnym ruchem odstawiła ją na blat, jakby nie chciała wywołać najmniejszego dźwięku.

— Mija trzeci rok, odkąd widziałam go po raz ostatni. Wyjechał do Gdańska, jakiś znajomy załatwił mu świetną robotę. I tak... I tak już został. Poznał kogoś, szybko ślub, rok temu urodził im się synek. Nie, nie mam żalu. Zawsze pamięta o kartce na święta...

Dopiła drinka. Barman pojawił się jak duch, poprosiła o to samo.

— Wychowaliśmy się razem. Jak brat i siostra. Wszystko, absolutnie

wszystko chcieliśmy robić wspólnie. Starzy kompletnie nie wiedzieli, co z nami począć. Rozumiesz, lizak na pół, guma do żucia na pół, nawet chorowaliśmy w tym samym czasie. Nie było na nas sposobu...

Mówiła cichym, melodyjnym głosem. Łokcie oparła na barze, zapatrzona w nieokreślony punkt wśród rzędów butelek z kolorowymi etykietami. Luźno rozpuszczone włosy spływały na ramiona. Zamilkła, gdy ktoś wdał się w głośną sprzeczkę z barmanem, kwestionując jakość piwa. Wyprostowała plecy, jakby znużona trwaniem w bezruchu, lecz zaraz wróciła do poprzedniej pozycji. Nie potrafił się powstrzymać przed zerkaniami w miejsce, gdzie między guzikami cienkiej bluzki utworzył się maleńki prześwit.

— Mieliśmy swój świat, do którego nikt nie miał wstępu. — Podjęła po chwili. Prędko odwrócił wzrok. — Uwielbialiśmy tajemnice i zagadki, zakopywanie skarbów na polu. A kiedy kazali nam bawić się tylko na podwórku, trzepak był nasz. Skakaliśmy z niego na stos skoszonej trawy, albo godzinami wisieliśmy głową w dół. Ale charakterki mieliśmy przewrotne, gdy tylko nadarzyła się okazja, zapuszczaliśmy się byle dalej od domu. Aż do torów kolejowych...

Spokojny głos załamał się. Chłopak uważnie obserwował wyraz jej twarzy, zmieniający się podczas opowiadania. Od błogiego uśmiechu po rozbawienie. Nagle przygryzła wargi, przetarła spocone dłonie. Dopiero teraz historia naprawdę go zaciekała.

— I? Mów, mów, cały czas słucham.

Kiwnęła głową. Znów sięgnęła po drinka, lecz tym razem wypita więcej. Nie odstawiła szklanki na blat. Przytuliła ją do ramienia.

— Uwielbialiśmy łązić po torach, ciągnęło nas tam, jak w żadne inne miejsce. Najfajniej było wieczorem, o dziewiętnastej przejeżdżał pociąg, a my wcześniej kładliśmy na szynach różne drobiazgi. Wiesz, monety, plastikowe żołnierzyki, kamyczki. I kiedyś... To było lato, kiedyś wybraliśmy się tam po zmroku. Z latarkami. Szukaliśmy tych wszystkich pierdół, bo wcześniej nie mogliśmy wyjść z domu. Potknęłam się o jakąś ułamaną wiatrem gałąź i przewróciłam. Paweł mignął latarką. To nie była gałąź, tylko nogi w spodniach. Pijany facet gibał się na czworaka i próbował wstać. Jak mnie zobaczył, zaczął coś krzyczeć, szarpał za ubranie i przeklinał. To było straszne, wialiśmy, aż się za nami kurzyło! Nazajutrz podsłuchałam, jak ojciec opowiada o pijaku, który zginął pod kołami pociągu. — Zadygotała cała. — Obcięło mu nogi i głowę...

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Wyciągnął rękę, by objąć dziewczynę, jednak nie zrobił tego. Znów zagryzła usta, miała jeszcze coś do powiedzenia.

— Ja, my... mieliśmy wtedy dziesięć lat. Wiesz, jak wtedy działa wyobraźnia? Jakie podsuwa obrazy? — Patrzyła mu prosto w oczy. Choć ani razu nie załkała, po policzkach ciekły strumyki łez. — To była nasza wina. I nigdy już nie poszliśmy na tory. Nigdy, baliśmy się. I ten strach. To jak opętanie. Coraz gorzej, coraz gorzej. — Zaciśnięte kurczowo na szklance palce zbieleły. Wyobraźnia podsunęła mu obraz pękającego szkła i kapiącej krwi, ale nie uczynił najmniejszego ruchu. — Do dziś truchleję, słysząc gwizd lokomotywy. Boję się. W najgorszych snach

widzę nasyp kolejowy i czołgającego się po nim człowieka. Korpus. Bez nóg, bez... Bez głowy.

Zakryła dłońmi twarz.

— Pijana jestem. Zmieńmy temat, przepraszam — jęknęła, odstawiając na blat któregoś z kolei drinka.

— Więc chodźmy stąd. Pokażesz mi miasteczko?

Powoli spacerowali wąskimi ulicami. Świeże powietrze zamiast trzeźwić, zdawało się jeszcze bardziej oszołamiać dziewczynę. Potykali się o nierówne krawężniki, śmiali się, jakby nic się nie stało, jakby Anna wcale nie opowiedziała swojej historii.

W pewnej chwili zerknęła na zegarek, poruszyła bezgłośnie ustami i zmarszczyła brwi. Wydawała się dziwnie rozkojarzona, nieostroźnie wsadziła stopę w jakąś szczelinę i padłaby jak długa, gdyby nie złapał jej za ramiona. Potem objął ją i łagodnie przygarnął do siebie.

— Nawet nie wiem — wciągnął powietrze przez jej miękkie, pachnące owocowym szamponem włosy — jak masz na imię.

— Nie pytałeś... — Policzki ją piekły, a w brzuchu zawirował rój motyli.
— Anna.

Pytałem, a ty odpowiedziałaś, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Zamiast tego szepnął łagodnym, niemal obojętnym tonem:

— Zaprowadź mnie tam.

Nie spytała, gdzie ma go zaprowadzić. Po tym wszystkim, z czego się zwierzyła, mogło być tylko jedno „tam”.

Poczuł, jak jej małe dłonie kurczowo zaciskają mu się na plecach, oddychała płytko, wciągając powietrze urywanymi haustami.

— Nie bój się, będę cały czas obok. Nie wolno tak się zadręczać, wystarczy raz się przełamać, jeden raz nie zamknąć oczu, gdy przychodzą upiory, żeby je przegnać. Więcej się nie pojawią, bo one żywią się twoim strachem, potrzebują twojego lęku.

Chciała mu powiedzieć, że nie boi się, że mu ufa i jest gotowa na wszystko. Ale nie musiała. Blask zielonych oczu wyrażał więcej, niż jakiegokolwiek słowa.

Delikatnie wyswobodziła się z jego objęć i, uśmiechając się, wyjęła z torebki zatłuszczony pakunek.

— To dla ciebie. Pomyślałam, że pewnie będziesz głodny. Jeśli przyjdiesz...

Był głodny. Kupując w barze kolejne piwa, liczył w myślach pieniądze i starał się odsuwać wizje ociekających tłuszczem frytek. Odwracał wzrok, kiedy klienci odbierali zamówione porcje, ale sam zapach wystarczał. Pewnie coś zauważyła, gdy przyszło płacić rachunek, prędko podsunęła barmanowi banknot, ucinając wiszące w powietrzu pytanie: Liczyć

razem, czy...?

— A ty? — Rozerwał niezręcznie papier i podsunął w jej stronę.

— Dzięki, mam dość, cały dzień jadłam tylko pączki.

Ja też, chciał powiedzieć, ale tylko głośno przełknął ślinę.

Patrzyła z wyraźną przyjemnością, jak pochłania pachnące wypieki, brudząc sobie lukrem palce. Wzięła go pod rękę i poprowadziła w sobie tylko znanym kierunku. Szybko skończył jeść, pomachał rozcapierzoną dłonią, strzepując resztki słodkości, wykonał gest, jakby chciał wytrzeć o sweter i w końcu zwyczajnie oblizał palce.

— A wiesz, że stąd nie da się wyjechać? — zaczęła — każdą wylotówkę przecinają tory. Każ... — czknęła, bez przejawów najmniejszego zakłopotania. — Każdą. Jemu się udało.

— Pawłowi?

— Tak. Zawziął się i... Ech, miałam już o tym nie mówić. Lukier masz na brodzie...

Zabudowania stały się coraz rzadsze, asfaltowa szosa zmieniła się w wąską polną drogę. W pewnym momencie Anna skręciła w ledwie widoczną ścieżkę, wiodącą się wśród krzewów i rachitycznych drzewek. Zatrzymała się nagle, gdy przez gałęzie ukazał się stary nasyp.

— Nie mogę, nie potrafię... — Kurczowo zacisnęła palce na jego ramieniu.

— Chodź, trzymaj mnie mocno i chodź — wyszeptał i objął ją w tali.

— Nie, Paweł. Nie... proszę. — załkała.

— Chodź, powiedziałem! — Wykręcił jej boleśnie rękę i zatkał usta, nim zdążyła krzyknąć. — I nie szarp się, kurwa, dobrze ci radzę!

Brutalnie prowadził potykającą się dziewczynę, ignorując stłumione jęki. Gdy znaleźli się na torach, odwrócił ją do siebie, zdjął rękę z ust i zacisnął na szyi.

— Coś ci powiem, a ty będziesz grzeczna i zrobisz, co każę. I nie próbuj krzyczeć, bo będzie bolało. Rozumiesz?!

Skinęła głową, wpatrując się w niego z przerażeniem.

— Nie myśl nawet, żeby uciekać, bo ci połamię ręce i nogi! — Puścił ją i obserwował przez chwilę, czy dobrze go zrozumiała. Anna stała w miejscu, drżąc i łapiąc nierówny oddech. Wyciągnął rękę i jednym szarpnięciem zerwał jej z ramienia torebkę.

— Ania ma pieniądze i odda je Pawełkowi... — Bezceremonialnie wyrzucił zawartość na ziemię. — Klucze Pawełek sobie zabierze, bo wie, że Ania mieszka sama, rozmowni sąsiedzi to prawdziwy skarb. Po wszystkim zostaniesz tu dwie godziny, potem możesz wracać. Klucze znajdziesz pod wycieraczką. Dotarło? — Znów tylko skinęła głową.

Znalazł portmonetkę. Rozchylił przegródki. — O, karta do bankomatu! Teraz powiesz mi cztery magiczne cyferki. Prawda, że powiesz?

— Po... powiem. — Nabrała powietrza i przymknęła oczy, jakby usilnie starając się coś sobie przypomnieć. — Dwa...

— Czekaj! — Podszedł tak blisko, że poczuła na twarzy jego oddech. — Małe dziewczynki potrafią być sprytne. Więc się nie pomył. Gdy już zrobię z tobą to, na co od początku miałaś ochotę, powtórzysz numerek. Mam dobrą pamięć, jeśli coś nie będzie się zgadzało... — Musnął palcem guzik jej bluzki. — Przywiążę cię do torów i zaczekamy na pociąg. Wtedy raz dwa sobie przypomnisz. Tylko nie wiem, czy ja nie zapomnę cię rozwiązać.

Drżącym głosem wyszeptała cztery cyfry kodu. Nie zaczynał się od dwójki.

— Coś takiego, naprawdę chciałaś oszukać Pawełka? Zanim randka zaczęła się na dobre? — Pokiwał głową z udawanym niesmakiem i wyjął z plecaka aparat. — Zrobimy parę zdjęć, żebyś potem nie latała z jeźdźcem, gdzie nie trzeba. Jakby coś, będzie je podziwiać całe miasteczko. Nie zależy ci chyba? Pozowałaś kiedyś? No, prędszej!

Nie zrozumiała. Zielone oczy wpatrywały się w niego z niemym błaganiem.

— Rozbieraj się, kurwa! — Strzyknął śliną przez zęby. Odczekał kilka sekund i dodał, cedząc wyraz po wyrazie: — Bo jak ci pomogę, to nie

będziesz miała, w co się ubrać!

Dziewczyna zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego — powędrowała wzrokiem, gdzieś ponad jego ramieniem, uśmiechnęła się radośnie i zawołała:

— Paweł!

Miał dobry refleks, natychmiast odwrócił się, przybierając postawę boksera. Ale za nim nikogo nie było. Za plecami usłyszał tłumiony chichot.

— Stary numer, ale każdy się daje nabrać.

— Co ty kombinujesz?!

Anna stała dokładnie w tym samym miejscu, była dziwnie rozluźniona.

— Jak się bawić, to na całego. Nie musiałeś mi grozić i odstawiać tego całego cyrku. — Przejechała końcem języka po ustach. — Prawdę mówiąc, jesteś znacznie przystojniejszy od Pawła.

Obserwował ją, próbując doszukać się fałszu w słodkim głosie. Dziewczyna przybrała pozę modelki i dotknęła guzika obcisłych dżinsów.

— Co mam zdjąć najpierw, górę, czy dół?

Nie odpowiedział.

— Mnie wszystko jedno, i tak nie mam nic pod spodem.

— Z tym strachem przed pociągami, to był kit...?

— Niezupełnie. Ale znalazłam na niego sposób, kiedy to robię tutaj, lęk ustępuje. I nie wraca przez dłuższy czas. A kiedy znów się pojawia, przychodzę tu z kimś nowym. Gdybyś nie okazał się taki... uczynny, sama bym cię tu przyciągnęła.

— Góra...

— Tradycjonalista. — Rozpięła pierwszy guzik. — Mężczyźni są tacy przewidywalni, tylko jeden poprosił o dół.

— Jeden? Dużo ich było?

— Nie, nie tak znów wielu. — Rozpięła kolejny guzik. — Muszę uważać, gdyby to działo się zbyt często, byłoby podejrzane...

Chłopak zachwiał się nagle i zamrugał oczyma, jakby usiłował skupić wzrok.

— Rozumiesz, jeden czy dwa nieszczęśliwe wypadki rocznie jeszcze ujdą.

— Dotknęła następnego guzika, ale go nie odpinała. — Chyba wystarczy.

— Co się... dzie... zije?

— Ostrożnie, kochany, bo się potłuczysz. — Pomogła mu usiąść,

przytrzymała głowę, gdy przewrócił się na bok. — Tak, bardzo ładnie, szyjka na jednej szynie, nóżki na drugiej.

— Ty mi... co... coś... Jak?

— Łasuch z ciebie. Wiesz, że łakomstwo jest grzechem?

— Pącz...

— ...ki — dokończyła słodkim głosem. — To środek do rozluźniania mięśni, przedawkowałaś trochę. Najzabawniejsze jest to, że pacjent jest przytomny, wszystko słyszy i rozumie. — Zerknęła na mały, damski zegarek. — Pospieszny do Gdańska przejeżdża za siedemnaście minut.

— Dla... czego?

Posłała mu zagadkowy uśmiech i wyjęła z torebki płaski aparat.

— Paweł będzie ze mnie bardzo dumny...

Jej obraz

Staął pośrodku wielkiego salonu i rozpostarł ręce, jakby tym gestem chciał ocenić wielkość pomieszczenia. Drewniana podłoga skrzypiała przy każdym kroku, podobał mu się ten dźwięk. Wciągnął głęboko powietrze, delektując się zapachem kurzu i starości. Miał ochotę zapłakać. Właśnie kupił dom. Piękny, solidny dom o ceglanych ścianach, stromym dachu, z pięterkiem i wieżyczką. Był najszczęśliwszym facetem na świecie. I najbardziej samotnym.

W biurze nieruchomości traktowali go jak udzielnego księcia, pewnie dlatego, że nie targował się o cenę. Kupił dom po jednej tylko wizycie, nie wchodząc nawet do środka. Nie uznał za stosowne wyjaśnić, że nonszalancja w szastaniu forszą wynikała z prostego faktu, iż przed tygodniem trafił główną wygraną w totka. I zwyczajnie nie docierało do niego, że jest bogaty, nie potrafił w to uwierzyć, więc kupił dom jak kupuje się parówki na kolację. Dokonując przelewu w banku, czekał tylko chwili, gdy urzędniczka parsknie śmiechem, a dookoła zaroi się od ludzi wołających, że jest w ukrytej kamerze! Jednak nic podobnego nie nastąpiło, otrzymał potwierdzenie przelewu, potem jeszcze wizyta u notariusza i było po wszystkim. Po drodze do samochodu zmiął w palcach karteczkę z numerem telefonu do poprzedniego właściciela nieruchomości i upuścił na chodnik. Nie chciał słyszeć historii domu, żadnych rodzinnych anegdotek, żadnych porad. Pytań, tym bardziej.

Wyszedł na ganek i usiadł na drewnianych schodach. Dwa kilometry do asfaltowej drogi, cisza jak makiem zasiał. Przypalił papierosa, obserwując korowód czerwonych mrówek, pnący się w górę jednej z kolumn.

Niebo przybrało amarantowy odcień, słońce chowało się z wolna po drugiej stronie domu. Wszystko wokół tonęło w pomarańczowej poświacie, świerszcze grały w wysokiej trawie. Zapatrzył się w dal i przez chwilę nie był w stanie uchwycić żadnej myśli.

Zapalił kolejnego papierosa, o dziwo smakował równie dobrze jak poprzedni. Sięgnął do kieszeni po telefon. Cztery nieodebrane połączenia od „Anka”. Skasował wszystko. Potem wyjął z bagażnika śpiwór.

Noc była cicha i spokojna. Wstał wypoczęty i pełen energii. Trzeba kupić mnóstwo rzeczy. Pooglądać meble, zabrać z domu ubrania i jakieś przybory toaletowe, o których na śmierć zapomniał. Zjadł liche śniadanie, marząc o jajecznicy z kiełbasą. O ile wczoraj nie był w stanie kiwnąć palcem, dziś miał wielką ochotę robić wszystko na raz. Był już gotowy do wyjścia, kiedy zaskoczyło go pukanie do drzwi.

— Pan Krzysztof Majewski? — W progu stała niewysoka dziewczyna.

Przytaknął, dokonując szybkiej lustracji. Zrobiona, jak mawiał jego kumpel. Skórzana kurtka, obcisłe džinsy, sfatygowane adidasy, pewnie kiedyś białe. Na głowie miała delikatne loczki. Uśmiechała się tak, że nie był w stanie odgadnąć, czy to przejaw zainteresowania, kpiny. Może zaczepki...

— Cieszę się, że pana zastałam — wyciągnęła rękę. — Przyjechałam po rzeczy, parę rupieci ze strychu.

— Czyli to od pani kupiłem dom? — Zdziwił się przelotnie, że jest taka młoda, jakby właściciele nieruchomości musieli być leciwi i dostojni.

— Ma pan teraz czas? — Zauważyła, że przez ramię miał przewieszony plecak. — To nie potrwa długo...

Uchylił szerzej drzwi i gestem zaprosił do środka. Pewnym siebie krokiem przeszła przez próg.

— Ten strych to można by nawet nieźle urządzić, zobaczy pan. A w ogóle to mam na imię Magda.

Pokonali trzeszczące schody. Na poddaszu pachniało kurzem i butwiejącym drewnem. Spodziewał się niewiadomo jakiego bałaganu, mebli, krzeseł, lamp, kartonów. Prawdę mówiąc, okropnie się rozczarował. Pomieszczenie było kompletnie puste.

Dziewczyna weszła powoli na środek strychu, spomiędzy trzeszczących desek unosiły się drobinki kurzu. Stała w jasnej smudze wpadającej przez okrągłe okienko w dachu. Promienie słońca obrysowały jej postać, wyobraził sobie ją w zwiewnej sukience. Przez materiał widać koronkową bieliznę. Najpierw jedno ramiączko...

— ...się rozbierać — głos dobiegał jakby zza ściany. Zamrugał oczami i spojrzał na wpatrującą się w niego dziewczynę.

— Tak...? W sensie, słucham? Zamyśliłem się, miewam tak czasem.

— Powiedziałaś, że będę się zbierać.

— Niczego tu nie ma.

Odwróciła się prędko, jakby chciała przyłapać go na robieniu głupiej miny.

— Nie ma — minęła go, nie patrząc. — Przepraszam za kłopot...

— Czekał.

Zatrzymała się w pół kroku. Krzysiek potarł ręką czoło. Kawy nie zaproponuje, bo ma tylko jeden kubek. Lampki wina nie zaproponuje, bo nie ma wina, o lampkach nie wspominając. Szlak by to trafił.

— Umówimy się na popołudnie? — wypalił.

Po wyrazie twarzy odgadł, że wprowadził ją w zakłopotanie.

— Chwilowo mam zajazd w pracy... Ale zadzwonię, dobrze? — uśmiechnęła się przepaszająco, a on poczuł się jak krety. Spławiła go dość łagodnie, dobrze, że nie wyjechała z jakimś tekstem o chłopaku czy mężu.

Stał na ganku, odprowadzając ją wzrokiem. Szła ubitą dróżką, wzniecając z każdym krokiem maleńkie obłoczki kurzu. Po niewczasie przyszło mu

do głowy, że mógłby zaproponować jej podwiezienie, ale może zostawiła samochód gdzieś niedaleko. Pewnie tak, skoro miała coś zabrać ze strychu. Więc czemu nie podjechała bliżej? Dziwne...

Zrobiło się cicho, a cały poranny entuzjazm uszedł z niego jak z przekłutego materaca. W kieszeni zabuczał telefon.

— Pan Krzysztof Majewski?

— Tak.

— Nazywam się Magdalena Kęcińska, to ode mnie kupił pan dom. Czy moglibyśmy się umówić? Chciałabym, zabrać rzeczy ze strychu.

— Ale pani...

— Halo, halo? Coś przerywa. Chciałam sprawdzić, czy pan jest w domu, przyjadę za godzinę.

Krzysiek przez dłuższą chwilę stał, wpatrując się w wygasły ekranik telefonu.

Magdalena Kęcińska okazała się być jedną z tych nieznośnych bab w garsonkach, które nadużywają zwrotów: powinno być, nie do pomyslenia i powinni coś z tym zrobić. Była dość przystojną kobietą, mimo to miała w sobie coś odpychającego. Może ton głosu, może wyniosła mina, może ta cholerna komórka, którą trzymała non stop przy uchu. Bez pytania wyjaśniła mu, że była żoną świętej pamięci Radosława, właściciela

posesji, jakby miało to usprawiedliwić jej panoszenie się.

Kobieta pewnym krokiem weszła na trzeszczące schody. Miał cholerną ochotę poprosić ją o pokazanie dowodu osobistego, zamiast tego zapytał:

— Ma pani córkę?

Zatrzymała się tak gwałtownie, że rąbnął nosem w jej plecy.

— Miałam... — w jej spojrzeniu nie było już wyniosłości. — Skąd pan wie?

— Nie wiem... — gorączkowo szukał w myślach sensownej odpowiedzi. Sam dokładnie nie rozumiał, czemu zadał pytanie. I dlaczego nie zająknął się nawet o wizycie Magdy. — W agencji mówili, że dom stał długo niesprzedany, bo były jakieś komplikacje spadkowe.

— Niewiarygodne, jakich tępaków zatrudniają do dysponowania cudzym majątkiem — skwitowała sytuację i nie ciągnęła tematu. Krzysiek marzył tylko, by wsiadła do samochodu i odjechała. Skoczy potem do sklepiku we wsi, kupi coś na ząb i flaszkę. Trzeba spłukać z siebie tę przygodę.

— Ktoś tu był?!

Kobieta stała w wejściu na strych. Nie weszła dalej.

— Przyjechałem ledwie wczoraj, nawet nie zdążyłem dobrze rozejrzeć się po domu.

Chyba nie zauważyła, że właściwie nie odpowiedział na pytanie. Pokręciła się jeszcze po domu, nie pytając go nawet o zgodę. Usiadł na ganku, zapalił papierosa. Uznał, że wizyta potrwa tym krócej, im mniej się będzie angażował. Opuściła go wreszcie, gdy wyciągał ostatniego szluga z paczki.

Upał doskwierał, mimo to wybrał się na piechotę do wiejskiego sklepiku. Szedł polną dróżką, po obu stronach złociło się pole obsiane zbożem. Szumiało przepięknie. W połowie drogi zdjął koszulkę i przewiesił przez ramię. Gdy dotarł na miejsce, był nieprzytomny z pragnienia. Kupił najpierw małą oranżadę w zielonej butelce. Osuszył butelczynę jednym haustem, uśmieł się w duchu, przysięgłby na wszystko, że już dawno nie produkują tego specyfiku. Chleb, kiełbasa, cebula — zamarzyło mu się wieczorne ognisko. Kilka puszek piwa, papierosy. Gdy wracał, miał wrażenie, że plecak waży tonę.

Popołudnie zeszło na drzemce, wewnątrz domu było chłodno i przyjemnie. Delektował się słodkim nieróbstwem. Bez pośpiechu zbierał w ogrodzie wyschnięte na wiór gałęzie. Zorganizował miejsce na ognisko przed gankiem — tak by mógł usiąść na schodach i piec kiełbasę na badyłu. Ułożył krąg ze znalezionych cegłówek i rozpałił ognisko. Drewno błyskawicznie się zajęło, przypomniał sobie o zarobaczonym tapczanie na piętrze, który zamierzał spalić. Oczywiście nie było mowy, by miał go teraz rozbierać. Po czwartym piwie zmienił zdanie.

Zapadał zmierzch, okolica pozbawiona elektryczności roztapiała się w mroku. Pod granatowe niebo strzelały snopy iskier, mężczyzna tańczył wokół ogniska, w jednej dłoni trzymając siekierę, w drugiej puszkę z

piwem. Czy to nie jest najwspanialsza rzecz na tym popieprzonym świecie? Odchylił głowę i spojrzał w gwiazdy, inne niż te miastowe, pełniejsze, jaśniejsze, na wyciągnięcie ręki. Odstawił piwo na schodki, przewrócił tapczan materacem do dołu i zabrał się za rąbanie skrzyni. Odłupał boczną deskę, płomienie ogniska strzeliły wyżej, oświetlając krawędź płaskiego pakunku.

Wyciągnął coś owiniętego w szary papier. Po kształcie i wypukłym obramowaniu poznał, że trzyma w rękach obraz. Rozdarł papier, płótno przedstawiało wiejski dworek. Ganek z kolumnami, wieżyczka, w oknie na piętrze postać kobiety. Uniósł mimowolnie głowę ku ciemnemu oknu. Wydało mu się, że za szybą mignęła jaśniejsza plama, lecz to musiało być złudzenie, refleks ognia na szkle...

— Przepraszam.

Odruchowo cisnął obraz w krzaki, jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku i odwrócił się błyskawicznie. Na ganku stała Magda numer jeden.

Podniósł siekierę. Dziewczyna cofnęła się o krok.

— Chciałam ci wytłumaczyć, bo to tak głupio wyszło...

W milczeniu zabrał się za rąbanie skrzyni. Był cholernie ciekaw, czy wiedziała o obrazie. Ale nie zapytał głośno.

— Wyszedłem przez ciebie na kretyna — odezwał się w końcu.

— Głupio mi, naprawdę. Przyjechałam, bo nie chciałam tego tak zostawić. A to w ramach przeprosin. — Wyjęła z płóciennej torby butelkę bez etykiety. — Własnej roboty, jeszcze tutaj się robiło. Takiego nie piłeś.

— Dzięki. — Pomyślał, że pora jest co najmniej dziwna na odwiedzin. Musiała być bardzo odważna albo głupia. Jednak na głupią nie wyglądała. — Wiesz... mam tylko jeden kubek.

— Mogę pić z butelki.

Ponieważ nie mieli korkociągu, Krzysiek musiał wbić kawałkiem drutu korek do środka. Wino chlupnęło na schodki, wsiąkło w przesuszone drewno.

— Mogłam powiedzieć ci prawdę, ale nawet nie wpuściłbyś mnie za próg.

Trzeba było sprawdzić, pomyślał, ale znów nie powiedział tego głośno.

Posmakował wina. Było gęste i słodkie. I diablo mocne, choć poczuł to dopiero po chwili.

— Matka wcześniej taka nie była. Kasa zrobiła jej wodę z mózgu. Ojciec był artystą. Malował, rzeźbił i dorobił się na tym grubych pieniędzy. Zresztą, jakby to powiedzieć, ten dom przyciąga fortunę, powinieneś zagrać w totka. Serio. Mój dziadek znalazł w stodole dwie sztabki złota, wyobrażasz sobie?

— Zalewasz.

— W gazetach o tym pisali, to było jakieś pięćdziesiąt lat temu. Ktoś to ukrył, pewnie w czasie wojny. A mój ojciec doczekał się wystawy w domu kultury. I co? Trafił się jakiś popieprzeniec i wykupił wszystko. Nie wiem, co on w tym widział. Ojciec pięknie malował, ale na litość boską, ten facet płacił jak za jakiegoś Picassa. A w ogóle to był Francuz. I załatwił mu wystawę w Paryżu. Ojciec został tam, matka tutaj. Nie kochał jej...

— I co się z nim stało?

— Z ojcem? Miał wypadek. — Dziewczyna powoli uniosła głowę. Zorientował się, że spogląda w ciemne okno na piętrze. — Przyjechał tu na trochę, pił dużo. Bał się czegoś, był chyba chory, całymi nocami krążył po domu, słysząc było jego kroki. Pewnego ranka macocha narobiła krzyku, kiedy wyjrzałam, zobaczyłam ojca na ziemi w takiej pozycji... Musiał wypaść z okna, żył jeszcze... — Zakryła dłońmi twarz. — Jeszcze trzymali go w szpitalu, kiedy matka wycygała ubezpieczenie. Nie wiem jak, nie znam się na tym, ale stało się. Jak wcześniej była żoną popularnego artysty, tak nagle stała się niemożliwie bogatą wdową. Wiesz... nie sądzę, by pominął mnie w testamencie. Pisał do mnie listy z Paryża. Wspominał w nich, że gdy odejdzie, wszystko będzie moje.

— Przecież dzieci dziedziczą chyba automatycznie?

— Byłam... Jestem jego córką z pierwszego małżeństwa, mama zmarła przy porodzie. Gdy zostałyśmy tu same, ona próbowała się mnie pozbyć...

— Dziewczyna zadrżała, Krzysiek sam poczuł chłód na karku. — Opłaciła

prawników i zgarnęła wszystko. On by mnie tak nie zostawił.

Choć schodki były szerokie na dwa metry, siedzieli przy sobie blisko. Ramię w ramię, kolano przy kolanie. Myśli plątały się, topniały w oparach magicznej chemii. Słowa nie były potrzebne, właściwie mogłyby tylko przeszkadzać. I z każdą chwilą utwierdzało się w nim przekonanie, że tylko z nią, z nikim innym chciałby dzielić życie. Wiedział, jak wielki to absurd, biorąc pod uwagę, że poznał ją kilka godzin temu. Czy to ważne? Żadne znane mu słowa nie były odpowiednie, by opisać to, co się z nim dzieje. Zakochał się, bo spotkał bratnią duszę? Leci na nią zwyczajnie? Nie, to wszystko nie tak. To działo się w tym miejscu i czasie, przy ognisku pod rozgwieżdżonym niebem.

— Dlaczego nie spotkałem cię wcześniej? — usłyszał swój głos.

— To wszystko trochę dziwne, prawda?

— Dziwne... — powtórzył mechanicznie.

Zbliżył głowę do jej twarzy, przymknęła powieki, gdy w zaroślach rozległ się głośny trzask. Magda drgnęła całym ciałem, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczyma.

— Tak ktoś jest!

— Nie, nie bój się, pewnie jakiś bezpański pies poczuł wędlinę.

— Masz rację — objęła rękoma kolana — głupia jestem.

Jedli pieczone na patykach kiełbaski, popijali piwem. I to się nazywa romantyczna kolacja. Zamiast świec płonący tapczan, a lokal otwarty do rana. Dawno nie czuł się tak bezgranicznie wolny. I szczęśliwy.

Magda spoglądała w mrok. Zbliżył twarz do jej włosów pachnących ziołami. Poczowała muśnięcie, odwróciła głowę i nagle ich usta spotkały się. Przymknęła powieki. Całowali się delikatnie i jakoś tak nieśmiało, jakby dla każdego z nich był to pierwszy raz. Nie dotykali się, choć dłonie mrowiły, jakby najpierw chcieli się upewnić, że to drugie też tego pragnie. Albo bali się przedwczesnym gestem obudzić rozsądek. Zrobił to pierwszy, przesunął palcami w dół jej pleców, aż trafił na skrawek odsłoniętej skóry. Westchnęła i przyłgnęła mocniej, lecz tylko na chwilę. Gdy rozpinał jej bluzkę, Magda szarpnęła pasek jego spodni. Rozbierali się wzajemnie, przeszkadzając sobie mimowolnie, co tylko wzmagало niecierpliwość. Płomienie ogniska strzelały wysoko, sypiąc iskrami w rozgwieżdżone niebo.

Nie wiedział, kiedy znaleźli się na trawie, spleceni i nieobecni dla świata. Słyszał jej oddech, czuł paznokcie wbijające się w skórę. Leżał na plecach, dziewczyna przyłgnęła do niego mocno. Dłońmi przesunął w dół, objął pośladki, palce zsunęły się niżej. Jakiś ptak zatrzepotał skrzydłami...

W zaroślach głośno trzasnęła gałąź. Magda zeszywniała w jego ramionach.

— Tam naprawdę ktoś jest!

— Nie, to jakiś... — chciał przytrzymać ją na sobie, lecz Magda już unosiła

się na czworaka.

— Jest ktoś, ja wiem! — Wstała, wbiegła po trzeszczących schodkach na ganek. — Sprawdź, proszę, proszę...

Zdezorientowany Krzysiek uświadomił sobie nagle, że stoi kompletnie nagi z siekierą w ręku. Popatrzył na dom, potem omiótł wzrokiem zarośla. Odblask ogniska nie sięgał daleko, panowała cisza. Jakiś zbłąkany kundel wszystko zepsuł... Nie, noc jeszcze długa, ale musi go przepłoszyć.

Ostrożnie stawiając stopy, odszedł w przeciwną stronę, okrążył parę krzaków, skręcił, zrobił duży łuk i zbliżył się od tyłu do gęstwiny, z której dobiegły tajemnicze odgłosy. Jakiś kształt zdawał się rysować na skraju zarośli. Był duży, cholera, co za bydlę zaczął się nocą. Trawa tłumiła kroki, dym z ogniska wiercił w nozdrzach, Krzysiek miał nadzieję, że zwierzę go nie wyczuje, z napiętymi nerwami zbliżał się powoli. Był o metr, gdy kształt niespodziewanie i zaczął się unosić. W panice uniósł siekierę i rąbnął z całej siły. Głuchy odgłos zmieszał się z ohydny rzężeniem. Po paru sekundach ciało potwora znieruchomiało. Chłopak przedarł się przez zarośla, drapiąc do krwi skórę. Uspokoił oddech, chwycił płonącą gałąź i zbliżył się do krzaków. Na ziemi leżała postać kobiety. Krew z rozłupanej siekierą głowy zdawała się być czarna jak smoła. Widać było ledwie kawałek twarzy, włosy i sukienkę. Ale poznał ją natychmiast.

Wypuścił z ręki gałąź i cofnął się jak zombie. Na ganku stała butelka. Przytknął trzęsącą się dłonią szyjkę do ust. Wino spływało do żołądka,

nie czuł smaku, kręciło mu się tylko coraz mocniej w głowie.

Wciągnął spodnie i buty, potem wszedł do domu poszukać Magdy. Nie było jej na górze, pomyślał o strychu. Zawołał ją głośno i podszedł do okna. Zobaczył ją znikającą na końcu ubitej drogi. Musiała widzieć wszystko z okna, uciekała w panice, nie ubrała się nawet.

Zbiegł po schodach i dopadł samochodu. Jechał bez świateł, żeby jej nie spłoszyć. Czuł się mocno pijany, ale nie myślał o tym, skupiając z wysiłkiem wzrok na drodze. Gdy znalazł się na asfalcie docisnął gaz, w tym samym momencie przed maską pojawiła się jasna plama. Głuche uderzenie i krzyk. Wcisnął hamulec, wóz podskoczył jak na kłodzie drzewa i znieruchomiał. Chwiejnym krokiem obszedł samochód i popatrzył na szosę.

Magda leżała jak szmaciana kukła, księżyc oświetlał zimnym blaskiem nagie ciało. Padł na kolana, chciał poszukać pulsu, lecz nie wiedział jak się do tego zabrać. Objął jej głowę i uniósł, dłonie natrafiły na coś lepkiego i mokrego. Zakręciło mu się w głowie...

Obudził się na swoim materacu, w ciuchach i butach. Łeb bolał upiornie. Potrząsnął głową, przeganiając resztki koszmarnego snu. Popatrzył na bure plamy i smugi na džinsach. Czym je tak upieprzył? Jeszcze chwiejnym krokiem wyszedł przed dom. Spojrzał na ceglany krąg po ognisku i rozbebeszony tapczan. Butelka po winie, puszki, mnóstwo niedopałków. Więc nie wszystko było snem.

A bure plamy na spodniach to ślady krwi.

Obok szczątków tapczanu leżał but. Drugi, nadpalony wyglądał spod resztek ogniska. Nieco dalej zobaczył bluzkę. Zaczął przeszukiwać zarośla, ale nie mógł przypomnieć sobie miejsca, w którym zarząbał siekierą macochę. Chyba że mu się to przyśniło... Tak, na pewno, nie było żadnego ciała ani śladów krwi na ziemi. Siekiera leżała obok schodków, ubrudzona jedynie żywicą i drobinkami kory. Podbiegł do stojącego na podjeździe samochodu.

Maska była wgnieciona, czerwone smugi wyglądały jak namalowane farbą w sprayu. Nie wiedząc, co robi dotknął śladu. To nie była farba.

Znajdą ją! Znajdą i trafią prędko do niego, musi coś zrobić... Popatrzył w niebo, chmury zdawały się wisieć nieruchomo, czekając na sygnał. Jeśli spadnie deszcz, zmyje ślady i zapach, może do niego nie dotrą. Ale musi się spieszyć.

Pozbierał jej ciuchy i położył w ognisku. Potem naznosił gałęzi. Pierwsze krople spadły na ziemię. Polał gałęzie benzyną, gdy buchnęły płomienie, zdjął poplamione spodnie i rzucił w ogień. Znajdionym w szopie szpadlem wykopał dół, do którego wrzucił puszki po piwie, pękata butelkę i resztę śmieci z podwórza. Deszcz rozpadał się na dobre, gdy ognisko prawie się dopaliło.

Przypomniał sobie o obrazie, ale nigdzie nie mógł go znaleźć.

W kieszeni zabuczał telefon. Odebrał machinalnie, nie wiedząc, co robi.

— Krzysiu, dlaczego nie odbierasz? Martwiłam się, byłam u ciebie, a na drzwiach kartka z ogłoszeniem... Dlaczego sprzedajesz kawalerkę, co się stało?

Anka. Cholerna Anka. Całkiem o niej zapomniał.

— Tak się martwiłam, ja nie mówiłam wszystkiego na poważnie, miałam kiepski dzień. Wszystko w porządku, porozmawiamy...?

— Tak — westchnął. — Nic się przecież nie zmieniło.

Znów był najbardziej samotnym facetem na świecie. Pozwolił sobie na chwilę spazmatycznego płaczu. Mógł, nikt na niego nie patrzył. Nikt na całym świecie nie powinien go oglądać w takim stanie, ani pocieszać. Rozpacz ciągnęła w dół jak bagno, wiedział, że nie może tu zostać ani chwili dłużej. Musi wyrzucić to ze świadomości, uwierzyć w zły sen. Inaczej zwariuje.

Podjechał pod dom Anki. Nie chciał odwlekać tego w czasie. Gdy przemykał oczy, widział sylwetkę Magdy. Jakby oglądał niemy film nagrany przez podglądacza. Siedział przez chwilę w aucie, zastanawiając się nad tym, co powie Ance. Małe kłamstewko, jakoby zniknął by kupić dom załatwi sprawę. Tak naprawdę miała rację, mówiąc, że nie był w stanie zagwarantować im pewnego jutra. Uparł się, by utrzymywać się tylko i wyłącznie z pisania. Może i jemu samemu by wystarczyło. On nie potrzebuje modnych butów co sezon, torebek i dodatków. Może mieli inne spojrzenie świat, ale w jakiś dobry sposób się uzupełniali. Anka była po prostu zwykłą, dobroduszną dziewczyną, która miała nieco inne

oczekiwania od życia. A teraz może zapewnić jej wszystko na co zasługiwała.

I spróbować żyć, jakby nic się nie stało.

Upalne lato odeszło w niepamięć, nastąpiła kapryśna jesień. Remont domu szedł pełną parą, spędzali z Anką całe dni, zwyczajnie łapiąc szczęście za nogi. Nauczył się wydawać pieniądze. Odkrył, że nie dość, że to bezbolesne, to całkiem przyjemne.

Dużo w tym czasie napisał. Trzy powieści i kilka opowiadań. Wieczorami, kiedy Anka pławała się w wannie lub urzędowała z przyjaciółkami, on za zamkniętymi drzwiami przepadał na kilka godzin. Seria powieści fantastyczno-przygodowych o poszukiwacze skarbów okazała się być strzałem w dziesiątkę. Zapełnił lukę na rynku wydawniczym, wstrzelił się idealnie w moment, gdy czytelnicy byli znudzeni historyjkami o wampirach i kryminałami retro. Wydawca zacierał ręce, a Krzysiek nie był w stanie otrząsnąć się z wrażenia, że to nie dzieje się naprawdę. Napisał się sporo, naprawdę sporo, mógłby śmiało wygłaszać teorię o tym, jak to praktyka czyni mistrza. W głębi duszy wierzył jednak w prawdziwość starego porzekadła — biednym wiatr w oczy, a bogatym diabeł dzieci kołysze.

Anka w pełni zaakceptowała pomysł, by wygraną do końca życia trzymać w wielkiej tajemnicy. Niech znajomi wierzą, że zaciskali pasa, albo wzięli kredyt w odpowiednim czasie. Powieści sprzedawały się rewelacyjnie, po jakimś czasie przyzwyczał się nawet do swojego nazwiska na listach

bestsellerów. Znajomi szybko skojarzyli ten fakt z podwyższonym standardem życia Krzyśka, a on nie miał zamiaru wyprowadzać ich z błędu.

Zima przebiegła nad wyraz łagodnie, ledwo co poproszył śnieg, o mrozach nie wspominając. Na wiosnę dom był gotowy.

Urządzanie pokoi pochłonęło Ankę całkowicie. Tu fiolet, tam beż, takie i takie firany. Tam gdzie był strych Krzysiek urządził sobie kąt do pisania. Zawsze marzył o ciężkim, masywnym biurku z rzeźbionymi szufladami. Wyremontowane pomieszczenie w niczym nie przypominało miejsca, które ujrzał pierwszego dnia. Ściany obite boazerią, ciepły chodnik na wylakierowanej podłodze, nowe okno i misternie udrapowane firanki. Podobało mu się, ale przez cały czas inaczej to sobie wyobrażał. Gdzie ta surowość, spartańskie warunki, na które nastawił się, podejmując decyzję o kupnie domu na wsi? Anka oszalała na punkcie domu. Cenił sobie jej gust, cieszył się też, że znalazła sobie zajęcie. Bał się z początku, że będzie się nudziła bez swoich koleżanek i wycieczek po sklepach, jednak to nie nastąpiło. Całymi godzinami przepadała w ogrodzie, okazało się, że grzebanie w ziemi sprawia jej dużo frajdy. Róże, przeogromna rabata najwymyślniejszych tulipanów, do tego okazałe oczko wodne, a raczej maleńki staw z drewnianym mosteczkiem, w którym ku uciesze Anki zalęgły się żaby.

Czasem obserwował ją przy pracy. Cieszył się jej radością, czuł jednak że jemu do takiej euforii cholernie daleko. Miał wrażenie, że zafundował bardzo dużej dziewczynce bardzo duży domek dla lalek. On sam długie godziny spędzał przy klawiaturze, niekiedy całe noce. Nie miał zamiaru

oszukiwać się, że postać, której zawdzięcza sławę i uznanie czytelników jest wyłącznie tworem wyobraźni. Wskrzesił swoją Magdę. Ubierał, rozbierał, podróżował z nią. Pili z tej samej szklanki, oszukiwali w pokera, gdy stawka dawno przestała być rozsądna. Biwakowali, ratowali sobie życie. Na potrzeby fabuły zgłębiał swoją wiedzę historyczną, planował nawet podróż w kilka miejsc. Łapał się na tym, że traci kontakt z rzeczywistością. Kochał ją, tak bardzo ją kochał. Dziewczyne, z którą się upił na drewnianych schodkach, a potem...

Siedzieli w czwórce we włoskiej knajpce. Rafał, redaktor jednego z literackich miesięczników, Krzysiek, i dwie rozchichrane panie, które nie doceniły mocy Martini. W restauracji panował lekki gwar, niemal wszystkie stoliki były zajęte. Obsługa w białych koszulkach i czarnych kamizelkach dyskretnie zbierała zamówienia. Zobaczył Magdę, gdy odstawiła tacę do kuchennego okienka. Miała na sobie strój kelnerki. Podniosła wzrok znad notesu i przeszyła Krzyśka spojrzeniem. Miała na skroni nieregularną bliznę, wyraźnie odznaczającą się na tle śniadej karnacji. Jakiś podchmielony gość zasłonił ją na moment, Krzysiek poczuł szarpnięcie za ramię.

— Stary, dobrze się czujesz?

Błady, rozdygotany Krzysiek pokręcił przecząco głową.

— Duszno. — Włożył palec za rozpięty kołnierzyk, spojrzał w kierunku kuchni, ale już jej tam nie było. — Przepraszam na chwilę.

Wyszedł z restauracji, głębokimi haustami łapiąc rześkie powietrze.

Oparł się o ścianę budynku, czuł jak świat kołysze mu się pod stopami. To przecież nie mogła być ona...

— Co z tobą? — Anka zmaterializowała się przed nim. Potarła odsłonięte ramiona, dając do zrozumienia, że chciałyby jak najszybciej wrócić do środka. Miała lekko przeszklone oczy, wyglądała trochę jak cocker spaniel.

— W porządku, kochanie, jakieś babsko wylało na siebie litr wody konwaliowej. Wiesz, że nie lubię takich śmierdziuchów.

Anka parsknęła i zakryła dłonią usta.

— Śmierdziuchów... — powtórzyła i roześmiała się.

Niejeden raz wyobraźnia płatała mu takie figle, ale zwykle umiał nad sobą zapanować. Do tej chwili. Obawiał się jednak, że istnieje jakaś magiczna granica, zza której nie ma już powrotu. Czuł pod skórą, że coś się zmieniło. Wrócili do knajpy, akurat przyniesiono ich dania.

Nawijał sprężyste nitki spaghetti na widelec, nagle zdając sobie sprawę, jak blisko znalazł się krawędzi szaleństwa. I myśl ta tym razem spowodowała przyjemny dreszcz. Do cholery, jest pisarzem! Otrzymał od życia dar, a szaleństwo wpisywało się w jego cenę. Łącznie z nieprzespanymi nocami i setkami wypalonych papierosów.

Anka zaciągnęła go na starówkę pooglądać wystawy. Słońce oblało rumieńcem stare kamienice, pomarańczowy blask bił z każdego okna, z

każdej blaszanej rynienki. Zmierzchało nieśpiesznie, cienie kładły się na brukowanym deptaku i wydłużały, by powoli rozpuścić się w mrocznych zakamarkach.

Zadzwoił po taksówkę, na którą czekali w milczeniu. Delektował się papierosem. Znowu palił nieprzyzwoicie dużo.

Przejeżdżali obok miejsca, gdzie zginęła Magda. Nie sprawdzał nekrologów...

— Krzysiek, daj jeszcze dychę.

— Co...?

— Dychę, bo pan nie ma jak wydać.

Weszli do domu, Anka zniknęła w salonie. Stał przed schodami na górę.

Spod drzwi jego gabinetu sączyło się światło.

Pokonał kilka stopni, gdy z tyłu usłyszał tupot, czułe dłonie objęły go w pasie.

— Kochany jesteś, wiedziałeś że mi się spodoba.

Nie powiedział słowa, bo zupełnie nie rozumiał, o co jej chodzi. Anka przekrzywiła głowę z wyrazem twarzy świadczącym, że przejrzała go i

nie musi już udawać zaskoczenia. Pociągnęła go za rękę do salonu.

Obraz wisiał na ścianie obok kominka. Wiejski dworek z kolumnami. Pamiętał go dobrze, każde pociągnięcie pędzla wryło się w pamięć, jakby sam go namalował. I pamiętał postać w oknie. Teraz okno na obrazie było ciemne i puste.

Zostawił Ankę podziwiającą widok i wspiął się na schody. W szczelinie pod drzwiami gabinetu widział jasną smugę. Zapomniał wyłączyć światło. Zamknąć okno też zapomniał. Wywiało cały papierosowy smród, chłodne świeże powietrze aż kręciło w nosie. Przez chwilę spoglądał w dół na ogród, fantastycznie oświetlony solarnymi lampami imitującymi pochodnie. Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Odwrócił się gwałtownie.

Magda położyła palec na ustach.

— Ciii... Twoja narzeczona właśnie wchodzi do wanny. Pożyczyłam od niej koszulkę, ładnie? — Była boso, koronkowa koszulka na ramiączkach odsłoniła pośladki, gdy wykonała zgrabny piruet na pięcie.

Krzysiek oparł się o parapet, krzyk uwiązł mu w gardle.

— Boisz się mnie? — zapytała, podchodząc powoli.

— Odejdź — wycharczał, z nosa trysnęła mu fontanna krwi.

— Nie chcesz mnie? — stanęła tuż przed nim, blisko. Tchnęło od niej

chłodem, ale w spojrzeniu migdałowych źrenic tańczyły płomienie.

Osunął się na podłogę.

— Krzysiek, słyszysz mnie...? Słyszysz?! — Anka szarpała go za ramiona. Otworzył powieki, próbował wesprzeć się na łokciach.

— Leż spokojnie, już dzwonię po karetkę.

— Nie dzwoń...

— Może to udar, albo... — Drżały jej dłonie, nie była w stanie poprawnie wystukać trzech dziewiątek.

— Ania, proszę, odłóż ten telefon. Błagam.

Usiadła ciężko na podłodze, położyła jej głowę na kolanach.

— Co się stało...?

— Zasłabłem. Nie spałem kilka dni, nie ma co się dziwić. Wiesz, ci wszyscy ludzie, którzy niewiadomo kogo we mnie widzą. Nie wiedziałem, że to tak będzie wyglądać. Muszę odpocząć, nie chcę iść do szpitala.

— A jeśli to coś poważnego, a my teraz zlekceważymy? Ostatnio zachowujesz się dziwnie, wcale nie wyglądałeś na zmęczonego.

Wyglądałeś... — przez chwilę szukała odpowiednich słów. — Ja wiem, że przeżywasz to swoje pisanie, ja też się przejmuję. I robię dobrą minę do złej gry, bo co ja poradzę, że mnie te książki tak nie wciągają? Taka jestem, nie chcę oszukiwać, że jest inaczej. Ci ludzie, którym podpisujesz książki, gapią się jak na świętą ikonę. Może oboje potrzebujemy, żebyś na chwilę przestał?

— Ania, masz rację. Ja... ja nie chciałem, żeby to tak wszystko wyglądało. Jutro pozamykam wszystkie ważne sprawy, daj mi dzień na zorganizowanie się. Kupię wino, siądziemy przed kominkiem i coś sobie wybierzemy z katalogów. Co tylko nam się spodoba. Jak powiesz: Madagaskar, to pojedziemy na Madagaskar.

— No to chodźmy spać, powinieneś się położyć i spać do południa.

Tuż przed progiem Anka zahaczyła o coś stopą.

— Moja koszulka. Skąd się tu wzięła na podłodze?

Gwar na starówce dawał poczucie bezpieczeństwa i realności. Wszedł do galerii sztuki, dziwnie pachnącej mieszaniną chemikaliów. Przywitała go blondynka o czarującym uśmiechu, ubrana w prostą czarną sukienkę.

— W czym mogę panu pomóc?

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o obrazach Kęcińskiego.

— Modny się ostatnio zrobił. — Spojrzała na niego dziwnie i nieco prowokacyjnie, jakby szacowała możliwości flirtu. — Zwłaszcza po tej kradzieży.

— Jakiej kradzieży?

— Pan rzeczywiście nic nie wie? To głośna historia. Kęciński mieszkał jakiś czas w Paryżu, wieść niesie, że nie był całkiem... zrównoważony. Wśród kolekcjonerów rozeszła się pogłoska, że posiadał nieznany obraz Picassa. Nikomu go nie pokazywał, strzegł go i ciągle obawiał się kradzieży, więc zamalował płótno jakimś własnym dziełem. Po jego śmierci z mieszkania zniknął tylko jeden obraz, krewni oskarżali się wzajemnie o kradzież, wynajmowali prawników, ale ślad po płótnie zaginął. Eksperti spierają się, czy w historii może tkwić ziarno prawdy.

— A co przedstawiał zaginiony obraz? — Krzysiek przerwał wyraźnie zafascynowanej sprzedawczynie. Nim padła odpowiedź, pożałował, że spytał.

— Podobno stary dworek, w którym przedtem mieszkał.

Wrócił do samochodu, oparł głowę na kierownicy i zamknął oczy.

— Co tu się, kurwa, dzieje? — wyszeptał.

— Jeszcze nie rozumiesz?

W pierwszej chwili zdawało mu się, że słowa pojawiły się znikąd w jego

głowie.

— Czy nie chcesz zrozumieć?

Uniósł głowę i spojrzał w lusterko. Magda siedziała na tylnym fotelu.

Przeciągnęła się, jakby dopiero wstała z łóżka po upojnej nocy. Tym razem miała na sobie letnią sukienkę.

Nie boję się ciebie — pomyślał.

— Oszukujesz. Ale masz rację, nie musisz się mnie bać. Jesteś dla mnie kimś ważnym, nie potrafiłabym cię skrzywdzić.

Umarłaś... Zginęłaś w wypadku. To mi się śni tylko.

— Tyle sobie obiecaliśmy, coś się zaczęło... Cały czas jestem z tobą, tak jak ci obiecałam. Ty mi też wiele obiecałeś... Musisz się jej pozbyć. Dla naszego dobra, musisz... Zrób tak, żeby było dobrze. Bo to i tak nie potrwa długo. Nie znoszę się dzielić. Mam dla ciebie prezent...

Zamknął na chwilę oczy, a zanim je otworzył wiedział, że odeszła. Na siedzeniu leżała butelka wina. Bez etykiety.

Wszedł do kuchni i zatrzymał się w pół kroku. Półki dębowego regału były pełne potrzaskanego szkła. Jakby ktoś kijem potłukł kieliszki i zastawy. Postawił butelkę na stole i zawołał:

— Ania, wszystko w porządku?!

— Nie! — płaczliwy krzyk dobiegł z góry.

Siedziała na brzegu wanny, próbując owinąć ręce bandażem.

— Boże święty! Coś ty zrobiła?!

Płakała tak bardzo, że aż się dusiła. Nie był w stanie jej uspokoić, ani tym bardziej dowiedzieć się czegokolwiek. Pomógł opłukać ręce z krwi. Nie tylko dłonie, ale całe przedramiona poprzecinane były we wszelkich możliwych kierunkach. Rany nie były głębokie, jednak bardzo gęste. Zużył ostatnie rolki opatrunku, kilka rozwiniętych i przesiąkniętych krwią walało się po całej podłodze.

— Ty to sobie zrobiłaś?

Potrząsnęła tylko głową.

— Same popękały. — wydusiła. Oczy miała tak napuchnięte, że ledwo było widać źrenice. — Chciałam wytrzeć szkło i kieliszek pękł mi w rękach. A... A później zaczęły strzelać jeden po drugim. Boję się, Krzysiek...

Zaprowadził ją do salonu, przyłgnęła do niego i nie chciała puścić na krok. Nawet do łazienki musiał z nią iść, bo za nic w świecie nie chciała zostać sama.

Gdy w końcu zasnęła, sięgnął po przywiezioną butelkę wina, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. W lodówce był ledwie napoczęty smirnoff, a on miał ochotę skuć się na amen. Żeby niczego nie pamiętać, jak tamtego wieczoru z Magdą. Gdyby tylko potrafił zapomnieć, wyrzucić ją z pamięci tak, by przestała istnieć. Gdyby nie prowadził z nią długich rozmów w wyobraźni, nie słyszał tak dokładnie brzmienia głosu, nie odtwarzał w myślach tysiące razy jej postaci...

Pozbyć się Anki i pogrążyć się w szaleństwie? Im dłużej pił, tym dziwniejsze rzeczy przychodziły mu do głowy. W końcu, na czworaka pokonał schody na górę. Odbił się od drzwi łazienki, nogi splątały się i gruchnął wprost do wanny. Kilkakrotnie próbował usiąść, za każdym razem opadał na plecy, boleśnie uderzając o krawędź. Stracił buteleczki z kosmetykami, słoik pełen perlistych kuleczek do kąpieli pękł z trzaskiem. Perełki turlały się przez chwilę po terakotowej podłodze, nie był w stanie skupić na nich wzroku.

Jakaś postać pojawiła się w drzwiach.

Niemal bezwiednie chwycił kawałek szkła, bez namysłu przeciął nadgarstki.

— To nawet, kurwa, nie boli...

Półprzeźroczysta postać wyciągała do niego dłonie.

— Już nie zrobisz nikomu krzywdy — wyszeptał.

Anka odsunęła dolną szufladę masywnego biurka i pod papierami umieściła fiolkę bez etykiety z błękitnymi kapsułkami. Zeszła do kuchni, wylała resztę smirnoffa do zlewu i starannie wypłukała butelkę. Powie że pił gdzieś poza domem, jak mu się to często zdarzało, spała, kiedy wrócił. Sekcja zwłok wykaże obecność narkotyku, dla policji wszystko będzie jasne.

Stanąła przed lustrem i na zawołanie rozplakała się. Nieźle — czas dokończyć przedstawienie. Nie mogła przecież spędzić reszty życia u boku tej ofiary losu. Była zbyt piękna i młoda, a on tak naprawdę był żalospną pomyłką na liście jej mężczyzn. Siedział tylko w kanciapie, pisał bajki i kopał papierochy. A teraz życie stanęło przed nią otworem. Wszystko się uda. Czy o niczym nie zapomniała?

Na stole stała butelka wina. No, no — uśmiechnęła się w duchu — pomyślałaś o romantycznym wieczorze. Akurat się przyda, przedstawienie będzie bardziej wiarygodne, nikogo nie zdziwi, że po tym co zobaczyłam w łazience musiałam się napić. Wyjęła z kredensu ocalały kieliszek, napełniła — twoje zdrowie Krzysiu — wypła do dna i zaczęła wciskać klawisze telefonu, lecz ekran pozostał ciemny. Szlak, bateria rozładowana, akurat teraz?!

— Smaczne?

W progu kuchni stała dziewczyna z mnóstwem loczków na głowie. Uśmiechała się wyzywająco.

— Co tu... — Anka chciała zerwać się z za stołu, lecz nogi odmówiły jej

posłuszeństwa. Obraz dziewczyny zaczął rozmywać się jakby dzieliła je kurtyna wody.

— Mocne, uderza do głowy, prawda? Takiego jeszcze nie piłaś. Jeszcze w tym domu się robiło. A teraz pójdziesz ze mną.

— Ja... — Anka bezwiednie przebierała nogami, dziewczyna poprowadziła ją do regału z rozbitym szkłem. Mebel drgnął i odsunął się od ściany, wtedy Anka zauważyła wyrwę w ścianie. Ziejącą czernią paszczę o ceglanych zębach. Owiał ją chłód, zapach stęchlizny i ciężki, dławiący fetor.

— Idź, tak, ładnie, krok po krocisku. Uwaga stopień...

Były w połowie schodów, gdy z góry dobiegł rumor.

— To ty, Krzysiu? — zawołała Magda słodkim głosem.

— Zostaw ją... Ja sam... — Ukazał się na górze cały umazany krwią.

Magda pchnęła dziewczynę, która upadła na coś obrzydliwie śliskiego, smród był nie do wytrzymania.

— Mamo, poznaj nową koleżankę.

Nachyliła się nad półprzytomną Anką. Wodziła sztyletem po jej szyi, od ucha do ucha, powolutku, bez pośpiechu.

— Jak się czujesz, Krzysiu...? — zawołała, wycierając ostrze w brzeg sukienki. Zmarszczyła brwi, nie słysząc odpowiedzi.

Krzysiek z pewnym zniechęceniem odpowiadał na maila z wywiadem.

— Skarbie, co mu napisać? Skąd państwo czerpią inspirację?

— Napisz... że z piwnicy.

Z dworu dobiegł warkot silnika i chrzęst kół na podjeździe.

Podeszła do okna i wyjrzała ostrożnie.

— To musi być on, przyjechał taryfą, jak było umówione. — Dziewczyna powoli oblizwała usta, dawno nie widział jej tak podekscytowanej. — Marynarka od Armaniego, neseserek i walizka. Prawdziwy dżentelmen, jeszcze mu laseczki brakuje.

— Zajmiesz się nim odpowiednio?

— Bez obaw, kochanie, dżentelmeni to moja specjalność.

Kołatanie do drzwi zastało ją w połowie schodów. Nie spieszyła się, to by nie było w dobrym guście. Przejrzała się w lustrze na dole, przesunęła odrobinę ramiączko, by sprawiało wrażenie, że mógłby je zsunąć silniejszy podmuch wiatru, ujęła klamkę i zaczęła na powtórne pukanie.

— Dzień dobry, czy podróż minęła spokojnie? — Nie starała się przywoływać nienagannego akcentu, wiedząc z doświadczenia, że drobne potknięcia językowe tylko dodają jej uroku.

Anglik odpowiedział uprzejmie, zatrzymując wzrok na jej sylwetce nieco dłużej niż było to powszechnie przyjęte. Poprowadziła go do salonu, wyjaśniając po drodze, że mąż musiał wyjechać na kilka dni, więc będą musieli załatwić wszystko sami.

Gość zatrzymał się przed obrazem. Nie potrafił ukryć podniecenia, przyglądał mu się dłuższą chwilę bez słowa, wreszcie odwrócił głowę.

— To on, nie może być wątpliwości! — Uniósł trzymany w dłoni neseser.
— Jestem przygotowany do dokonania transakcji. Gotówka, zgodnie z umową.

Dziewczyna doskonale wiedziała, gdzie stanąć, by wpadające oknem światło obrysowało jej sylwetkę, przenikając zwiewny materiał sukienki. Delikatny jedwab zdawał się więcej odsłaniać niż skrywać.

— Czy mogę zaproponować lampeczkę wina? — Gdy zmierzała tanecznym krokiem w stronę barku, gość nie odrywał od niej wzroku. Magda musnęła końcami palców niesforne ramię. — Własnej roboty, takiego jeszcze pan nie pił...

Krople lodu

W piekielnie upalne letnie popołudnie postanowił złamać zakaz. Starał się nie myśleć o tym w taki sposób, w końcu normalni faceci mają kumpli i pijają piwo w podrzędnych barach. Jeszcze uważał się za normalnego faceta. A raczej w desperacki sposób próbował to sobie udowodnić.

Gruby i Rysiu czekali w umówionym miejscu. Strasznie się zmienili, postarzeli. Stęsknił się za tymi gębami. Wyściskali się serdecznie, zamówili piwo. Tomek nonszalancko rozsiadł się w plastikowym krześle i o mały włos nie wywinął koziołka do tyłu. Krzesło było chybotliwe, a chodnik nierówny. Zdążył zapomnieć o takich drobiazgach. Kolorowy parasol dawał liche schronienie przed bezlitosnym słońcem, rozgrzane powietrze stało w miejscu.

Gadało się po prostu świetnie. Żadnych skarg, żadnych pretensji do losu. Rysiu dorobił się własnego warsztatu samochodowego i ledwo wiązał koniec z końcem. Trójka dzieci, żona anioł. Szczęśliwy za pięciu.

Gruby został cukiernikiem. A kim inny mógł zostać Gruby? Już w podstawówce potrafił wyczarować cuda, wystarczyło wpuścić go do kuchni. Wpędzał w kompleksy co ambitniejsze gospodynie domowe — zieleniały z zazdrości, gdy mały pulchny chłopiec przynosił na klasowe wigilie lukrowane domki z piernika, karpátky przypominające prawdziwe górskie krajobrazy, pączki z różą, których smaku nie dało się zapomnieć.

Tomek słyszał o małym sklepiku ze słodkościami, ale nigdy nie zajrzał. Bo Beata nie jada słodyczy. Słodyczy, białego pieczywa, nie pija coli ani innych farbowanych świństw. Nie ruszy alkoholu, którego butelka kosztuje mniej niż stówę.

Piwo smakowało jak marzenie. Sięgnął po papierosa z ryśkowej paczki i obracał go chwilę w palcach. Beata nienawidzi palaczy.

— Częstuj się, stary — zachęcił właściciel warsztatu. — Mam jeszcze pół wagonu, styknie.

— Dzięki, wiesz, nie paliłem jakiś czas...

— Rzuciłeś?! — Rysiek patrzył z mieszaniną podziwu i niedowierzania.
— Ej, nie ma co się czaić, stary. Drogie cholerstwo, ale jakieś nałogi trzeba mieć. Pal, na zdrowie!

Tomek roześmiał się. Cały Rysiek, nic się nie zmienił. Szczera dupa, podzieliliby się ostatnią koszulą. Prawdziwy do bólu. Zaciągnął się dymem, aż zakręciło mu się w głowie.

— Srebrna obrączka? — zauważył kumpel. — My też na początku mieliśmy srebrne, nie wyrobiłem z kasą. Ale to się nie liczy, ważne że są, nie? A jak się dorobicie, to się kupi złote. O, zobacz — rozczapierzył dłoń — ja swoje kupiłem dopiero dwa lata temu. Ale jaka mi fucha wpadła, stary!

Tomek nie uznał za stosowne tłumaczyć, że to białe złoto. Podobała mu

się wersja Ryśka. Mógł przez chwilę wyobrażać sobie, że jest taki jak oni. Że czas cofnął do momentu, gdy dorabiał sobie w piętrowym antykwariacie, romansował z córką szefa, pisał po nocach pierwsze powieści. I nie ożenił się z Królową Śniegu...

Gruby dmuchnął w pustą butelkę, wstając z krzesła potrącił brzuchem stolik.

— Nic człowieka nie upiększa, jak słonina coraz większa — zanucił, głaszcząc się po okazałym bębnie i zniknął w czeluściach zakopconej knajpy.

Tomek grzeszył właśnie po raz piąty, śmiali się już z byle czego. Wcisnął im bajkę, że pisuje opowiadanka fantastyczne do jakiś gazet. Uwierzyli i obiecali wypatrywać w kioskach. Uwierzyli też, że jego Beatka pracuje w księgowości i zarabia „akurat”. Gwizdnęli z zachwytu, gdy pokazał im fotografię z portfela, żartowali, że wyciął laskę z jakiegoś świerszczyka. Czuł się jak w raju. Rozwodnione piwo, tanie szlugi, ogródek piwny. Błat stolika śmierdział stęchlizną, po tym jak barman przetaił go podejrzenie wyglądającą ścierą. Falujące od gorąca powietrze zdawało się zniekształcać sylwetki przechodniów.

Któryś opowiadał kolejny świński kawał, kiedy obok baru przejechał kremowy mercedes. Samochód zwolnił i zatrzymał się kawałek dalej. Tomek zbladł. Czemu tu i teraz, na tysiąc możliwych dróg musiała przejeżdżać właśnie tędy?! Dlaczego najmniejszy wybryk nigdy nie mógł mu ujść na sucho, czemu ona zawsze musiała się dowiedzieć...

Wysiadła z samochodu. Chłopaki nie mogli oderwać od niej wzroku, Tomek skulił się i przymknął powieki.

— Stary... — Gruby przetarł oczy. — To kobita z twojego zdjęcia. Ja pierdolę, ty fuksiarzu!

Rysiek zachłysnął się piwem.

— Myślałem, że zalewasz. Takie dziewczyny nie istnieją...

Ona istniała. Podeszła do stolika, nierealnie piękna, zaborcza i zimna jak powiew arktycznego wiatru. Zsunęła z nosa przeciwsłoneczne okulary.

— Jedziesz ze mną.

Zadrżał i wstał z plastikowego krzesła. Nie podniósł wzroku, nie mógł spojrzeć na kumpli. Wiedział, co sobie pomyślą. Ale Królowej Śniegu się nie odmawia.

— Tomek, buraku, nie przedstawisz nas? — Rysiek odzyskał rezon.

— Sorry, chłopaki... Muszę iść.

— Ej! No co ty? Młoda godzina.

— Naprawdę muszę.

— Niech pani usiądzie z nami na chwilę. Zaraz po Baśkę zadzwonię, takie

rodzinne spotkanie. — Rysiek nie dawał za wygraną.

Beata nie zaszczyciła ich jednym słowem.

— Zdzwonimy się... — obiecał Tomek, choć ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że to ich ostateczne spotkanie.

Miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Samochód sunął pustymi ulicami. Beata zacisnęła dłonie na kierownicy.

— Wiesz, że nie możesz sam wychodzić.

— Wiem.

— Ani, że nie możesz pić alkoholu. — Nie musiała włączać klimatyzacji, wystarczyło lodowate spojrzenie. — Jak teraz weźmiesz lekarstwa?!

— Przepraszam. — Tomek wbijał palce w kolana. Było mu niedobrze, naprawdę nie powinien pić piwa ani palić papierosów. Królowa miała rację. Zawsze miała rację. Położy się grzecznie do łóżka i wszystko będzie dobrze. Był tylko troszkę chory. Tylko troszkę. Przecież po tabletkach czuł się na tyle dobrze, że Królowa nie złościła się, po tabletkach był dobrym, posłusznym mężem.

Ale po piwie też czuł się dobrze...

Zadzwoił telefon, Beata wpięła słuchawkę w ucho, nie odrywając

wzroku od drogi, odebrała połączenie.

— Znalazłam go, możecie wracać do domu. Co...? Siedział z jakimiś menelami w knajpie. Nie wiem, jak będę potrzebowała pomocy, zadzwonię.

Słuchał uważnie. Królowa Śniegu obmyśla karę. Ech, dlaczego ona go zwyczajnie nie wymieni na inną zabawkę? Już tęsknił za Ryśkiem i Grubym, przecież od razu go poznali, gdy przysiadł się na ich ławkę. W pierwszej chwili nie miał zamiaru iść z chłopakami na piwo. I wtedy zobaczył na chodniku monetę. Lśniła złotem i srebrem, była stara i na pewno bardzo cenna. Ryśkowi zaświeciły się oczy... Więc mu ją podarował. Bez namysłu, bez chwili wahania. Kumpel natychmiast powiedział, że to trzeba uczcić, on stawia!

Ależ to była przygoda...

Kremowy mercedes zatrzymał się przed pałacem. Beata pomogła mu wysiąść z samochodu. Trzymając ją za ramię, wspiął się po stromych schodach. Trzeszczących i spróchniałych. Dzięki Bogu, właściciel kamienicy był wyrozumiały kiedy spóźniała się z opłatami. A spóźniała się często. Nim odpowiednie specyfiki pojawiły się na liście leków refundowanych, zapożyczyła się, gdzie tylko mogła. Teraz z trudem spłaca długi. I często mu o tym przypomina.

Mieszkali skromnie, bardzo skromnie. Prawie wszystko kupiła w komisie. Meble, naczynia, wykładziny. Jakieś drobiazgi, żeby było przytulniej. Nikt by nie uwierzył, że tak można zagospodarować

mieszkanie przy pomocy rupieci. Tych niechcianych, zużytych, wzgardzonych. Nikt by nie uwierzył, jakie cudeńka walają się na pchlich targach, jakie bajery ludzie wyrzucają na śmietnik. Nie było też nikogo, kto mógłby pochwalić dzieło Beaty, chory psychicznie mąż skutecznie zniechęcił najwierniejszych znajomych. Ludzie bali się go zupełnie bez powodu, a on bardzo potrzebował ciepła. Nie był agresywny, nie zachowywał się skandalicznie, nie krzyczał. Tylko rozum płatał mu figle. Czasem wspominał coś o lodowym pałacu, snuł swoje opowieści. Gdy mu się pogarszało, wpadał w stany lękowe. Patrzył wzrokiem skopanego psa, kulił się i chował po kątach.

Miała wrażenie, że jej się boi.

Położyła go spać. Zwinął się w kłębek i przykrył głowę poduszką. Delikatnie spuściła zasłonę z koralików, prowizoryczne przepierzenie „sypialni”. Klapnęła ciężko na podłodze, była wykończona. Szukała go ponad trzy godziny. Dobrze, że sąsiad pożyczył samochód. Ważne, że się udało. Zapomniała oddać kluczyki. Podniosła się, zerknęła na śpiącego Tomka i po cichutku wyszła z mieszkania. Nie było jej raptem kwadrans.

Wystarczyło, by ze sznurków z koralikami zmajstrował sobie stryczek.

Szlochały sąsiadki, jacyś obcy ludzie przekazywali Beacie wyrazy współczucia. Choć czuła się z tym okropnie, nie mogła się doczekać, kiedy grabarze domkną wieko trumny. Żar lał się z nieba, ziemia była sucha jak pieprz. Za lekka, myślała, przerażona abstrakcją tej myśli. Ziemia jest za lekka. Mężczyźni z łopatami ruszali się jak muchy w smole,

czarna sukienka chłoneła słoneczne promienie. Pot spływał ciurkiem po plecach, ceremonia zdawała się trwać wieki. Miała ochotę wyrwać łopatę z dłoni grabarza, zasypać go szybko, najszybciej jak się da. Nie zorganizowała stypy, nie było dla kogo. Nie skorzystała z wolnego, nie miałyby co z sobą zrobić. Wróciwszy z pogrzebu weszła pod zimny prysznic, spłukała siebie pot i poczucie winy. Niech się dzieje co chce, była już wolna.

Odkuła się zaskakująco szybko. Wiele nie potrzebowała. Nie jadła dużo, nie imprezowała. Zatraciła się w pracy. W końcu stabilizacja finansowa przestała jej wystarczać, potrzebowała zmian. Przeprowadziła się do centrum. Sąsiedzi żegnali ją wylewnie, mocno już podstarzała para biedaków traktowała ją jak córkę, ale Beata chciała zapomnieć o nich, jak najszybciej. Powiedziała, że z rzeczami w mieszkaniu mogą zrobić co chcą. Tylko niech nie ruszają gratów w piwnicy. Czuła do nich sentyment, przejrzy je kiedyś... Obiecali, że nie będą tam szperać.

Nie liczyła mijających miesięcy, przeszłość blakła powoli. Zdążyła wiele zapomnieć i całkiem się zmienić. Z premedytacją robiła wszystko, by nawet w lustrze nie przypominać tamtej Beaty. Nienawidziła dawnej siebie, tamtego życia w ubóstwie, poświęcania każdej cząstki siebie dla człowieka, który wierzył, że mieszka w lodowym pałacu. Należy jej się życie, należą jej się przyjemności. Mężczyźni na skinienie palca, nieprzyzwoicie drogie buty, hebanowy stół w jadalni i mahoniowe biurko w kancelarii. Brała bez opamiętania, po trupach wspinała się po szczeblach kariery. Była bezwzględna i uparta. I niewiarygodnie skuteczna.

Telefony w środku nocy nie zdarzały się często. Pracownicy nie mieli śmiałości, a znajomi byli zbyt dobrze wychowani. Ktoś jednak dzwonił. Z początku nie miała zamiaru odebrać, jednak gdy skończyła się seria dźwięków, po niecałej minucie zaczęła się następna. Nie miała bliskich, nie miała już, o kogo się bać. Dzwonek odbijał się echem od ścian mieszkania. W końcu odebrała.

— Dziunia! Dziunia, to ty, kochanie? — Odsunęła słuchawkę, skrzeczący głos omal nie przewiercił jej mózgu na wylot.

Dziunia? Tylko jedna osoba zwracała się do niej w ten sposób. Stara sąsiadka z rozsypującej się kamienicy, z lodowego pałacu. Beata w pierwszej chwili chciała rzucić słuchawką.

— To ja, pani Trzeciakowa.

— Dziunia, kochana, ja przepraszam, że tak późno — kobiecina musiała całkiem ogłuchnąć. Darła się tak, że Beata co raz odsuwała słuchawkę.

— Dziunia, tu taki pan wynajął chałupę, te rzeczy z piwnicy musimy zabrać. Ja mówiłam, że to twoje, ale on już pieniądze dał.

— Jutro, pani Trzeciakowa — starała się mówić kojącym tonem. Widać demencja starcza mocno się posunęła, że babina budzi ją w takiej sprawie. — Jutro, dobrze?

— Przyjedź jutro, dziecko — najwyraźniej nie dosłyszała — bo on jakiś dziwny.

— Przyjadę...

Głos kobieciny jeszcze skrzeczał, gdy delikatnie odkładała słuchawkę na widełki.

Nie mogła już zasnąć. Blask księżycy odbijał się od lśniącej podłogi. Wstała, rozkopując satynową pościel. Wspomnienia uderzyły z nadzwyczajną siłą. Tomek, zwinięty w kłębek na materacu, za błękitnymi koralikami. Jego rozedrgane spojrzenie, strach w tym niewinnym, cielęcym spojrzeniu. Przeszła bosą do kuchni, w lodówce znalazła mleko, w barku, jakby specjalnie na tę okazję, czekała butelka Malibu.

— Kto to napisał, proszę pani? — zapytał, opierając się o poręcz zdezelowanej klatki schodowej. Trzymał pod pachą spuchnięte zeszyty.

Mężczyzna istotnie wyglądał ekstrawagancko. Biała koszula, dzinsy i trampki, strzecha siwych włosów, równie siwe wąsy jak u jakiegoś barona z minionej epoki. Małe okulary, za nimi świdrujące błękitne oczy. Niższy od Beaty o głowę, pewny siebie i w jakiś dziwny sposób urzekający.

— To, zdaje się, moja własność. — Splotła ręce na piersiach, od piwnicy ciągnęło chłodem i wilgocią.

— Tyle to ja wiem, dlatego kazałem dzwonić do pani, nie do Dalajlamy.

— Ile pan za to da? Nie mam czasu, naprawdę. Dogadamy się i będą

pańskie — zaryzykowała pytanie. Dziwak najwyraźniej widział w tomkowych bazgrołach coś niezwykłego.

— A ile dla pani to jest warte? — Głaskał szare, tekturowe okładki, spięte skóropodobnym grzbietem. Dziś już nie robią takich zeszytów. — Niewiele, prawda? Nie wiedziała pani, jaki skarb tu sobie leży i niszczeje. A gdybym tak nie zadzwonił? Nie chciał się spotkać? Gdybym to sobie wziął? No, niech się pani rozchmurzy, przecież pani potrafi się uśmiechnąć. Tak, szanowna pani, możemy się dogadać.

Próbowała to sobie uporządkować. O co, do licha ciężkiego, mu chodzi. Czy po to zarwała dzień w biurze, by przekomarzać się z jakimś starym durniem? Nienawidziła sytuacji, kiedy nie była w stanie przewidzieć zamiarów rozmówcy. A ten facet wydawał się być wyrwany z jakiejś baśni, brakowało mu tylko szalonego kapelusza i kolorowej muszki pod kołnierzem. Świr.

— Wejdzie pani na herbatkę? Mam świetną, indyjską herbatę.

— Wolałabym... A, właściwie... — Machnęła ręką.

Nie rozumiała, dlaczego się zgodziła. To mieszkanie było legowiskiem dawno zapomnianych koszmarów, może tylko chciała się z nimi zmierzyć. Schody zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Zaciskała pięści, jakby to mogło dodać jej otuchy, powtarzała sobie, że to tylko miejsce, tylko kawałek podłogi i kupa starych gratów. Dziwak przekręcił klucz w drzwiach i gestem zaprosił do środka.

Wewnątrz nic się nie zmieniło. Te same sosnowe meble, kiedyś pomalowane na morski kolor. Później przetarte gruboziarnistym papierem, efekt nadal wydawał jej się kapitalny. Ręcznie tkany chodnik na nigdy nie lakierowanej podłodze. Gablotka z książkami, zniewalający zapach starego druku. Maleńka wnęka ze starą, przypalaną kuchenką.

Świr nastawił wodę na herbatę, Beata podeszła do zasłony z koralików. Przesunęła dłonią po błękitnych szklanych paciorkach, przypominały zamrożone krople. Rozpoznała jakieś odległe ukłucie smutku, zbyt odległe, by mogło spowodować prawdziwy ból. Pogodziła się z myślą, że tylko czekała aż to się stanie. Inaczej nadal tkwiła by tu, na tym zapomnianym przez Boga stryszku, odliczała dni do pierwszego, pilnowała każdej złotówki. Udało jej się przekonać sumienie, że nic lepszego nie mogło się zdarzyć. I dla niej i dla biednego Tomka, który myślał, że firany utkane są ze śnieżynek, a koraliki to prawdziwe krople lodu.

Osobliwy jegomość podał herbatę, istotnie pachniała jak marzenie.

— Nie będę się dłużej droczył. Przepraszam panią, czasem mnie poniesie.
— Uśmiechnął się ciepło i usiadł na parapecie — Mieszkanie wynająłem w zeszłym tygodniu, dostałem komplet kluczy, łącznie z tymi od piwnicy. A kiedy zszedłem zobaczyć, co tam jest, przyplątała się ta kobiecina i zaczęła lamentować, że pomyłka, że piwnica jest kogoś innego, albo jakoś tak. Cholernie ciężko ją zrozumieć. Późnym wieczorem to było...

— Resztę już znam — westchnęła Beata.

— Zanim mnie stamtąd wygoniła, znalazłem to. — Wskazał na stos zeszytów. — Pytała pani o cenę... Weź pani takiego Dostojewskiego! Ile jest warta *Zbrodnia i kara*? Tyle, ile zażąda księgarz, drukarz, antykwariusz taki jak ja? Można i tak na to patrzeć. Ale niech pani pomyśli, o ile uboższy jest człowiek, który nie miałby szans przeżyć przygody. Na ile pani wyceni człowiecze myśli i refleksje?

Beata uniosła brwi, zabawny facecik wyglądał na pasjonata z krwi i kości. Słuchała go, mimowolnie przytakując. Starła się nie patrzeć na trampki wsunięte na boscie stopy, niemiłosiernie wytarte dzinsy i wykrochmaloną koszulę, tak białą, że aż raziła w oczy. Zniszczona twarz — zaczęła wątpić, że to zasługa wieku. Za małymi okularkami błyszczała pasja graniczająca chyba już tylko z szaleństwem.

— Czytała je pani?

— Nie zaglądałam do rzeczy męża. Wiedziałam, że coś pisze i rysuje, nie... Po prostu nie miałam ochoty. On był chory, pewnie pan już wie.

— Nie zamierzam ukrywać, że się nie dopytywałem. Niech pani chociaż na to zerknie. Lubi pani czytać, tyle tu książek! Niech pani zerknie i przyzna mi rację, że to powstało spod ręki mistrza.

— To książki po mężu. — Sytuacja przestała jej się podobać. Zaczęła bawić się paskiem torebki, pośpiesznie dopiła herbatę. — Ja nie mam czasu...

— Pani kochana, niech pani tylko... — przewertował jeden z brulionów,

Beata znów poczuła nieprzyjemny dreszcz. Wstała z miejsca, kurczowo trzymając torbę z krokodylej skóry jak talizman.

— Niech pan je sobie weźmie. — Zrobiła krok do tyłu. — Niech pan je sobie w cholerę weźmie, wyda, opublikuje, wystawi w muzeum, czy co tam się robi z takimi rzeczami. Nic mnie to nie obchodzi!

— Proszę się uspokoić.

— Są pańskie, słyszy pan?! Nie moje, to nie jest moje, nie chcę tego!

Zaczęła się wycofywać, nie słyszała już, co mówi pasjonat. Wybiegła z mieszkania. Trzasnęła drzwiami, ale wysłużony mechanizm nie zaskoczył.

Była już na parterze, kiedy antykwariusz nieśpiesznie dotarł do drzwi.

— Są granice, których przekroczenie jest niebezpieczne; przekroczywszy je bowiem, wrócić już niepodobna — zacytował i ostrożnie domknął drzwi na zasuwę. — I tym razem masz rację, Fiodorze.

Usiłowała o wszystkim zapomnieć, zmieniała nawet numer telefonu. Dni wypełniła pracą, wieczory spędzała w swoim elitarnym towarzystwie. Dawało jej to poczucie bezpieczeństwa — każdy znał swoje miejsce, mówiono tylko rzeczy właściwe, pieniądze i luksus skutecznie zapełniały pustkę. Od czasu do czasu pozwalała sobie na jakiś romans. Bardziej dla rozrywki niż z potrzeby bliskości. Ale nawet coś tak spontanicznego jak

chwilowa miłośćka rządziło się swoimi prawami i nie trwało dłużej, niż planowała. Jej życie przypominało absurdalnie dokładny mechanizm zegara. Jednak bez dożywotniej gwarancji.

Nastała zima, a wraz z pierwszym śniegiem, w pierwszą pieruńsko mroźną noc, coś zaskrobało do drzwi. Kot, mizerny i wygłodniały upodobał sobie akurat jej wycieraczkę. Ledwo nacisnęła klamkę, a spryciarz przecisnął się przez wąską szparę i nim zdążyła się obejrzeć, czekał już przy lodówce.

— O, nie... — mruknęła. Złapała kota pod boki i trzymając jak najdalej od siebie, zniosła do portierni. Ciec drzemał z rękami skrzyżowanymi na piersi. Beata szturchnęła go i wręczyła mu zwierzaka.

— Panie Staszku, zabierze go pan na dwór. Wszedł mi do mieszkania.

Dozorca przeprosił, lecz nie spełnił od razu jej żądania. Posadził kota na kolanach, a z kieszeni wyjął kanapkę.

— Szkoda malucha — westchnął i zaczął karmić małego intruza kawałkami wędliny. — Na dworze minus dziesięć, wiadomo, że będą się pchały do ciepła.

Beata wzruszyła ramionami i wróciła na górę. O ile wcześniej chciało jej się spać, teraz całkiem się rozbudziła. Włączyła telewizor, bez wielkiej nadziei, że coś ją zainteresuje. Trafiły się wiadomości lokalne. Rozsiadła się na kanapie z kubeczkiem odtłuszczonego jogurtu w dłoni, bardziej skupiona na wyłowieniu marnego kawałka truskawki ukrytego w

mlecznej papce, niż tym, co opowiadał prezenter.

— .. najbardziej poruszająca, dojrzała i magiczna opowieść od czasów...

Beata sięgnęła po pilota i nagle poderwała się jak rażona piorunem — na ekranie pojawił facet w rogowych okularkach i nie kto inny, jak szalony pasjonat! Tym razem siwe włosy miał związane w kucyk, ubrał się w skromny szary garnitur. Obaj panowie siedzieli w jednej ze znanych kawiarenek, dzielący ich stolik obłożony był książkami. Kamera co chwilę zatrzymywała się na owej piramidzie. Wszystkie egzemplarze identyczne. Błękitna okładka, wielkie błękitne litery: *Królowa Śniegu*.

— Wydał to. Wydał... — szeptała.

— O autorze wiem niewiele — kontynuował antykwariusz. — Nie znam jego imienia i nazwiska. Próbowałem — zakasłał — odszukać ludzi, którzy mogli go znać, jednak okazało się, że wszyscy nie żyją.

— Co?! — Kubeczek z jogurtem wylądował na podłodze. — Ty kłamco! Ty cholerny świrze!

— Przeczytałem *Królową* jednym tchem — zaczął redaktor. — Myślałem, że po tylu latach w branży nic nie będzie w stanie wywołać we mnie takiego poruszenia. Jeśli nie przekonają państwa recenzje, jeśli oszałamiający nakład nie robi na państwu wrażenia... Proszę mi zaufać. To nie jest literatura, to czysta magia.

— Pieprzenie — syknęła Beata, wycierając z podłogi rozlany jogurt.

Tarla z taką zawziętością, że już po chwili na zgięciach palców pojawiły się bolesne ranki. Postanowiła złożyć wizytę antykwariuszowi. Najpierw pojedzie do starej kamienicy, jeśli go tam nie znajdzie, przeszuka każdą budę z książkami w mieście. Nie mogła zasnąć, przeszkadzało jej żałosne miauczenie pod oknem.

Śnieżyca sparaliżowała miasto. Pługi i piaskarki zwyczajnie nie nadały, potworzyły się ogromne korki, wszystko niknęło w gęstej zadymce. Zwykle na przedmieścia można było dojechać w kilka minut, ale tego dnia pogoda wydłużyła ten czas kilkukrotnie. Przed kamienicą nie odśnieżono. Tutaj nikt nie musi wychodzić z domu, tu nikomu się nie spieszy. Wewnątrz budynku było niewiele cieplej niż na zewnątrz. Minęła drzwi na parterze, zauważyła, że brakuje na nich tabliczki z wygrawerowanym nazwiskiem: Trzeciak. W okolicach górnego zamka tkwiła plomba.

Zmarzniętą pięścią zapukała pod szóstkę, do wrót lodowej komnaty. Długo nikt nie otwierał, jednak z wnętrza dobiegał jakiś hałas. Zastukała jeszcze raz, niepewnie nacisnęła klamkę. Poczula podmuch lodowatego powietrza. Zrobiła kilka kroków i odkryła, że okna pootwierane są na oścież. Wiatr gwizdał i trzepotał firankami.

— Jest tu ktoś? — szepnęła. Podeszła do okna w pokoju, zachrobotąło coś za plecami. Obróciła się gwałtownie. W jej dawnej sypialni antykwariusz stał na trójnogim, czerwonym taboreciku. W dłoni trzymał butelkę wódki, szyję miał oplecioną sznurkami koralików.

Zamarła. Głos uwiązł w gardle, wyciągnęła przed siebie dłonie, jakby tym

tylko gestem mogła go powstrzymać. Oczy miał mętne, miała wrażenie, że jej nie poznaje. Sine usta, włosy i brwi pokryte szronem. Wyglądał, jakby od śmierci dzieliło go niewiele mniej niż jeden desperacki krok. Cichutko grzechotały koraliki.

— Popełniłem straszny błąd, nie powinienem był tego robić... — wysapał i zachwiał się.

— Niech się pan nie rusza, ja...

— Nikt nie powinien tego czytać — wycharczał.

— .. odplączę to. Ogrzeje się pan, wszystko będzie dobrze.

Podeszła na miękkich nogach, bliska hysterii. Wyciągnęła dłoń, delikatnie chwyciła jeden ze sznurków. Taborecik i impetem uderzył ją w piszczel. Ból rozlał się aż po czubki palców, straciła równowagę i upadła do tyłu.

Szarpał się i wyciągał ręce w jej stronę. Zerwał się, nie bardzo wiedząc, co robi, próbowała objąć go w pasie i podnieść, ale był za ciężki. Szarpała tę cholerną koralikową zasłonę, jednak listwa mocno trzymała się sufitu. Przypomniała sobie, że malowanej na morski kolor komodzie kiedyś trzymała wielkie krawieckie nożyce. Nadal tam były.

Wspięła się na palce i odcinała kolejne sznurki, pękały pod stalowym ostrzem, szklane koraliki sypały się na podłogę. Udało się.

Antykwariusz upadł na podłogę, dysząc ciężko, zrywał z szyi pocięte

korale. Złapał za nożyczki, kilka sznurków splątało się na amen. Beata usiadła na podłodze i zaczęła płakać. Płakała pierwszy raz od bardzo dawna. Szalencie podczołgał się do niej i objął ramieniem. Trwali tak chwilę w uścisku, płakali oboje. Źle domknięte okno skrzypiało na wietrze, na ich głowy sypał śnieg.

Wbił nożyce w plecy Beaty. Wrzasnęła i zastygła w bezruchu.

Trafił w prosto w serce.

— Żegnaj, Królowo Śniegu.

Zamknął szczelnie wszystkie okna, poprawił firanki. Budynek już dawno przeznaczono do rozbiórki, odcięto wszelkie źródła energii. Przed jej wizytą sporo zachodu kosztowało go przywrócenie pozorów, że kamienica jest normalnie zamieszkała. I niełatwo było znaleźć staruszkę udającą głos Trzeciakowej. Zapalił świeczkę i postawił w kałuży krwi. Przytaszczył z kuchni turystyczną butlę z gazem. Starannie ubrał się i uczesał.

Popatrzył ostatni raz na Królową Śniegu. Pamiętał wieczór, gdy Tomek pojawił się u niego z rękopisami pod pachą. Dobrze trafił, pragnął jedynie, by jego teksty ukazały się drukiem, a antykwariusz zawsze marzył o odkryciu, które przyniesie mu sławę. Ale nawet dobry tekst nie obroni się sam. I nieznany nikomu autor potrzebuje legendy... Wypytał go dokładnie o wszystko, scenariusz sam się narzucał. Rysiek i Grubas łatwo dali się przekonać do numeru z monetą. Ot, zrobią kawał staremu kumplowi. Potem wystarczyło przytrzymać Tomkowi ręce, żeby nie

zerwał z szyi tej pętli z koralikami.

Przed wyjściem odkręcił kurek i szczęśliwy wrócił do swojego antykwariatu. Teraz będzie mógł spać spokojnie. Niedługo ogłosi światu, że odkrył autora. I związaną z powieścią tragiczną historię. Powieść była niezła, choć nie najwyższych lotów. Co innego związana z nią legenda.

Którą sam napisał...

Prawo ostatniej nocy

Dotarłem jakoś do roboty.

Dochodziła dwudziesta druga, nienawidziłem świata, zegarka, pracy i siebie przede wszystkim. Marta obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem — wieczór kawalerski wyszedł jak należy, w sensie, że czułem się jak przejechane walcem ścierwo. I pewnie tak wyglądałem. Dotknąłem małego pudełeczka w kieszeni marynarki. Impreza okazała się trochę na wyrost, wzrok zmienniczki mówił, że to nie jest najlepszy moment na oświadczyzny. Podsunęła mi pod nos recepcyjny zeszyt i dodała, że hotel prawie pusty. Francuzik i jakaś parka, byle już zostali w pokojach, byle mi się tu nie pałętali.

Czym prędzej zszedłem z oczu niedoszłej narzeczonej, zaszywając się w jedynym miejscu pozwalającym uniknąć niewygodnych pytań. Kiedy wylazłem z toalety, Marty już nie było. Niech to szlag, została specjalnie cztery godziny dłużej, bo obiecałem niespodziankę. I wyjątkowo jej nie oszukałem, choć lepiej by się stało, gdyby urwał mi się film. Wróci na zmianę o szóstej, może do tej pory zdązę wysmażyć jakiś bajer. Co za cholerna gnida wymyśliła dwunastogodzinne zmiany?!

Coś trzeba było zrobić z czasem, a ja lubiłem nocą powłóczyć się korytarzami. Wykładzina tłumiła kroki, stonowany blask kinkietów dodawał blichtru tapetom w pospolitych wzorach, czułem się jak gość

ekskluzywnego hotelu. Gdy wchodziłem po niskich schodach, wydało mi się, że drzwi jedynek domknęły się z cichym skrzypnięciem. Ale ten pokój nie był zajęty. Podszedłem wolno i przyłożyłem ucho do udającej drewno okleiny. Zza drzwi naprzeciwko opatrzonych wypukłą dziesiątką dochodziły słabe odgłosy, kojarzące się nieodparcie z salą tortur. Pomyślałem, że mogli chociaż włączyć telewizor i bezwiednie zacząłem naciskać kłamekę. W tej samej chwili w recepcji zadzwonił telefon. Terkot urwał się, nim dobiegłem do celu, w słuchawce panowała głucha cisza. Zdjąłem z tablicy klucz z numerem jeden i chwilę obracałem w palcach. Wreszcie wzruszyłem ramionami i odwiesiłem go z powrotem.

Zajrzałem do kuchni i sprawdziłem okna na parterze, ot tak, żeby znaleźć sobie zajęcie. Minęła ledwie północ. Zapowiadała się długa noc.

Rząd butelek na lustrzanej ścianie za barem kusił, przyciągając wzrok niczym brunetka w wieczorowej sukni, tak skrojonej, by pod spodem mogła nosić co najwyżej tatuaż. Nie opierałem się długo, wlałem do szklanki brunatnego płynu na trzy palce. Dopisze się żabojadowi.

Dzwonek u drzwi zaśpiewał delikatnie akurat, kiedy uznałem, że kilka standardów Duke'a Ellingtona zagłuszy podłe nastroje. Stałem tyłem do wejścia pochylony nad kompaktem. Zamiast odwrócić głowę, kitrając nieporadnie dowód winy, wcisnąłem klawisz i pociągnąłem długi łyk. Nie smakował tak jak powinien, ale od bardzo dawna nic nie smakowało, tak jak powinno. Jeśli to stary, za drinka przyjdzie tym razem zapłacić osobiście. I to znacznie więcej, niż był naprawdę wart.

Stukot szpilek o marmurową posadzkę brzmiał jak rytmiczne wbijanie

gwoździ. Zerknąłem w lustro. Ani stary, ani goście, jednak przetrwanie nocnej zmiany nie zapowiadało się prościej.

Miała na sobie futro z norek, kaskada kruczoczarnych włosów otulała smagłą twarz. Potrząsnęła głową, odsłaniając oczy podobne do zielonych leśnych sadzawek. Była wstawiona, lecz nie na tyle, żeby sadzawki zmętniały. Przesunęła wolno wzrokiem po mojej postaci, dostrzegła jak bieleją mi kostki dłoni zaciśniętej na szklance.

— Należysz mi? — Kąciki ust zadrgały drwiąco.

Nie poruszyłem się. To była jedynie gra, w której braliśmy udział nie pierwszy raz. Tylko że ona zawsze wygrywała.

W końcu była żoną szefa.

— Nie bój się, on nie przyjdzie — nie musiała tego mówić. Nigdy się nie pojawiał, gdy ruszała w miasto. Może i on wtedy gdzieś ruszał. — Zamknij dobrze drzwi...

Minąłem ją tak blisko, że iskry z ledwie słyszalnym trzaskiem przeskoczyły na mój rękaw. Przekręciłem klucz i schowałem do kieszeni.

Gdy odwróciłem się, futro leżało na marmurowej posadzce. Nie miała niczego pod spodem, przez sekundę zastanawiałem się, jak zapłaciła za taksówkę, skoro nie wzięła nawet torebki. Nie była przyzwyczajona, by za cokolwiek płacić. Przelotne spojrzenie odbite w lustrze za barem mówiło, że nic nie dzieje się przypadkowo. Na pośladku miała tatuaż w

kształcie nietoperza, nie widziałem go wcześniej. Upewniła się, że patrzę we właściwym kierunku, znów zadrgały jej kąciki ust. Niedbale zsunęła szpilki ze stóp i krokiem pantery weszła za kontuar. Już nie zerknęła na mnie, wiedziała że i tak zagram jej przedstawieniu.

A spektakl zawsze przebiegał podobnie. W myśl niepisanej, nigdy nie wypowiedzianej umowy, jak długo się tylko dało, udawałem, że nie zwracam na nią uwagi. Tak było łatwiej. A może po prostu bardziej podniecająco.

Rzuciłem marynarkę na podłogę, z wewnętrznej kieszeni wypadło maleńkie pudełeczko i potoczyło się jak kostka do gry. Nie podniosłem go, zapamiętałem jedynie, gdzie się zatrzymało. Moje buty skrzypiały jakbym szedł po zmarzniętym śniegu. Przypaliłem dwa papierosy, jednego włożyłem w ledwie podkreślone konturówką usta. Nie używała jaskrawych szminek. Przynajmniej nie będzie śladów na niedopałkach. Gdy napełniałem lodem smukłe szklanki, poczułem na karku oddech ciepły jak tchnienie wiatru w upalną noc. Wyjąłem spod lady naszą butelkę Smirnoff'a, nie piła niczego innego. Jej ręce powędrowały do przodu, zaczęła delikatnie, niczym złodziej trenujący na obwieszonym dzwoneczkami manekinie, rozpinać mi guziki koszuli. Najwolniej jak potrafiłem napełniałem szkło. Nie myślałem o maleńkim pudełeczku z pierścieniem zaręczynowym dla Marty. Nie zastanawiałem się, czy czegoś nie wyczyta rano w moim wzroku. Nie myślałem o niczym.

Zsunęła mi koszulę z ramion, opuściłem ręce, pozwalając, by materiał spadł na ziemię. Potem odpięła kłamrę paska spodni.

Przeźroczysty płyn przelał się przez brzeg szklanki.

Odwróciłem się z zamkniętymi oczyma, pociągnąłem ją ku sobie i odszukałem ustami wargi. To też było częścią gry, lubiła gdy na nią patrzyłem, więc nie otwierałem powiek, przeciągając chwilę pozornego triumfu. Oddychałem zapachem jej włosów, czułem ostre paznokcie ryjące mi do krwi skórę. Zostawiać pamiątki też lubiła.

Zagrzechotały kostki lodu, oszronionym szkłem dotknęła moich pleców, drgnąłem gwałtownie i otworzyłem powieki. Cofnęła się o dwa kroki, przechyliła leciutko głowę i sięgnęła po tłącego się ciągle papierosa. Kobiety doprowadzają mężczyznę na skraj szaleństwa, gdy umieją ignorować swą nagość. Dobrze o tym wiedziała, niedbałym ruchem odgarnęła włosy i wypuściła dym gdzieś ponad moją głowę. Gra dobiegła końca. Za chwilę odstawi szklankę, przejdzie wolno obok, jakbym nie istniał. Pozwoli mi się przyglądać, kiedy wsunie szpilki, potem schyli się po futro. Pragnęła tylko władzy nad moimi zmysłami. Nie zasługiwałem na nic więcej. Bo byłem tchórzem. Nie obdarzy mnie nawet spojrzeniem, przekręcając klucz w drzwiach. Do następnego razu.

Ale tym razem, nie zostawiłem klucza w drzwiach.

Ująłem napełnioną po brzegi szklankę i patrząc jej prosto w oczy, zacząłem pić. Skrzywiła się pogardliwie. Wódka paliła w przełyku, strużkami płynęła mi po brodzie, po brzuchu, czułem na nogach chłodne krople. Zmrużyła oczy, gdy szkło było prawie puste pojawiła się w nich znajoma kpina.

— Nie zapomnij posprzątać.

Wyjąłem jej papierosa z ręki i zaciągnąłem się głęboko. Chciała przejść obok, dała krok do przodu, ale zastawiłem jej drogę i chwyciłem za rękę.

— Przestań misiu. — Lek dodaje kobietom dodaje uroku, pragnąłem ujrzeć w jej pięknych oczach strach, ale ona się nie bała. — Za dużo wypiliśmy...?

Zakręciło mi się w głowie, jej rysy rozmyły się jakby dzieliła nas zalewana deszczem szyba. Opierała się mocno, ryjąc mi paznokciami skórę. Miała gorące ciało, napięte mięśnie drżały, zdawały się żyć własnym życiem. Krzyczała coś, zamknąłem jej usta dłonią i pociągnąłem za sobą na ziemię. Czułem na plecach chłód marmurowej posadzki, kaskady kruczonych włosów spłynęły mi na oczy. Wyswobodziła się łatwo, bo alkohol już robił swoje, ale nie uciekła, usiadła mi okrakiem na brzuchu i zaczęła okładać dłońmi po twarzy. Biła powoli, z jakimś nieodgadnionym wyrachowaniem. I niezbyt mocno. Przesunąłem dłońmi po jej plecach w dół. Zadzwonił telefon, ostry dźwięk sprawił, że drgnąłem całym ciałem. Zdawało się, że tylko czekała na sygnał. Przymknęła powieki, poruszyła biodrami, wygięła w łuk plecy i pozwoliła, by dopełnił się odwieczny rytuał. Znów wygrała, kolejny raz miała być górą. Narzuciła rytm i prowadziła ku ostatecznemu spełnieniu.

Gdy z całej siły wbiłem palce w jej pośladki, pragnąc usłyszeć jęk bólu, przyspieszyła jeszcze, zagryzając usta, zdecydowana udowodnić, że to ona całkowicie panuje nad sytuacją. Czerwone krople wykwitły na wargach, odemknęła szeroko powieki. Tęczówki zdawały się rosnąć,

rozpływać, zatańczyły w nich pomarańczowe iskierki, barwa zmieniała się, przechodząc w coraz intensywniejsze odcienie żółci, po chwili płonęły jak dwa jeziora płynnego złota.

Nagle jej oczy zaszyły bielmem i wypłynęły krwawą posoką. Skóra na twarzy wyblakła, ukazując pulsujące żyły, naprężyła się i poczęła odpadać zgniłymi płatami, odsłaniając kości i mięso. Wijące się białe robaki wypełzały z oczodołów, sypiąc mi się do ust, tłumili rodzący się krzyk. Trupi odór spowił mnie dławiącym jak bagno uściskiem, chciałem odepchnąć maskarę, ręce zagłębiły się w śliskich, pulsujących trzewiach. Nie przerywała, poruszała się coraz szybciej, zawodząc w takt narastającej rozkoszy. Skrzywione w upiornym uśmiechu, pozbawione warg usta zbliżyły się do mojej twarzy, drgający ohydnie i niecierpliwie, kapiący gęstą, brunatną śliną język wpełzł mi do ust. Poczułem jak pęcznieje, rozwidla się, pogrąża wciąż głębiej i głębiej, penetrując wnętrze...

Uderzenie w twarz i jakiś głos.

— Wstawaj, gnoju!

Otworzyłem oczy, świat wirował jak szalona karuzela. Leżałem nagi na podłodze, wszystko bujało się i pulsowało. Moja głowa...

Facet w kraciastej marynarce pochylał się nade mną, Marta stała tuż za nim, uśmiechała się. Wyciągnęła zza pleców gruby sznur. Wziął go i wcisnął jej w dłoń kluczyki.

— Odpal wóz i otwórz bagażnik.

Marta podrzucała chwilę kluczyki. Uśmiechała się. Wciąż się uśmiechała.

— Myślałeś, że się nie wyda? Myślałeś, że będziesz mnie robił ze mnie jelenia w moim własnym hotelu?! Wstawaj!

Usiłowałem coś powiedzieć, cokolwiek. Wydobyć z siebie choćby złamaną głoskę. Nie mogłem. Stary zacisnął pętlę na mojej szyi, szarpnął, śmiejąc się przy tym, oboje się śmiali. Napinał mięśnie powoli, coraz mocniej, jego ohydna kraciasta marynarka trzeszczała w szwach. Dusiałem się...

Uderzenia w twarz i jakiś głos.

— ...się stało? Coś ty z sobą zrobił?!

Wwiercający się pod czaszkę krzyk kazał mi otworzyć oczy. A raczej z wysiłkiem rozklejać zlepione czymś powieki. Ujrzałem poplamioną czerwono posadzkę i drewnianą ścianę, potem popatrzyłem odruchowo na swoje nogi. Nie miałem na sobie niczego. Gdzie ja...? Lada, rząd butelek na lustrzanej ścianie.

Następne uderzenie w twarz, uniosłem wzrok.

— Marta... ja nie wiem...

— Czego, kurwa, nie wiesz?! Zbieraj się prędko, zanim goście się pobudzą.

Koszmarne bóle zdawały się rozsadzać głowę od środka, strzępy jakichś sennych majaków biegały jak karaluchy na skraju świadomości. Była tu naprawdę, czy...? Chciałem wstać, trafiłem ręką w kałużę rzadkiej, śmierdzącej kwaśno mazi, wytarłem dłoń o poznaczony czerwonymi pręgami brzuch i zwymiotowałem. Wreszcie uniosłem się niezdarnie, przytrzymując się wysokiego barowego stołka.

— Ty durniu... — Nie spuszczać ze mnie wzroku, sięgnęła pod ladę. — Weź klucz do jedyńki.

Na czworaka zbierałem z podłogi zafajdane ciuchy, a Marta postawiła na ladzie szklankę i nalała smirnoffa. Z butelki, o której istnieniu nie miała prawa wiedzieć.

— Trzymaj, bo nie dojdiesz. — Wręczyła mi drinka. — Tylko nie pij po drodze, żebyś mi nie zarzygał dywanów. Co się tak gapisz?

Nie raz pokłóciliśmy się o picie na kaca. Dla niej to było niepojęte, sądziła że to jakaś forma masochizmu. Długo tłumaczyłem, że taki mały łyczek działa cuda. Nigdy jej nie przekonałem, lecz zawsze i tak stawiałem na swoim. Taki już mam spaczony charakter, czasem zastanawiam się, czemu ta dziewczyna nie rzuci mnie w diabły. Drżąca dłoń sama zacisnęła się na szklance, nie mogłem spojrzeć jej w oczy. Po omacku wydobyłem klucz z wyciągniętej dłoni. Omiotłem wzrokiem podłogę, ani śladu pudełeczka. A zdawało mi się, że pamiętałem, gdzie upadło.

Znów wszystko spieprzyłem.

Powoli, boleśnie odzyskiwałem przytomność, stojąc w strugach lodowatej wody. Ślady paznokci na skórze piekły jak polewane wrzątkiem. Kiedy zimno stało się nie do zniesienia, wylazłem spod prysznic i wytarłem się niedbale. Poczłapałem do pokoju, żeby się ubrać. Błady świt wsączał się przez okno, jedyńka była apartamentem, z wielką plazmą na ścianie i czerwoną satynową pościelą. Co ona sobie teraz myśli? Pomacałem kieszenie spodni, jakby pudełeczko mogło się tam cudownie zmaterializować. Wyczułem klucz do hotelowych drzwi. Coś mi to uświadomiło, coś było cholernie nie w porządku... Tylko nie wiedziałem, co.

Zostaliśmy sami. Ja i szklanka. Cholernie to mocne było, nie żałowała wódki. Znów czułem się pijany, choć pociągnąłem ledwie parę łyków.

Kontury mebli rozmazały się dziwnie...

Odemknąłem powieki. Pokój kołysał się jak tratwa na morzu, przedmioty to przybliżały się, to oddalały, jakby nie mogły znaleźć sobie miejsca. Starąłem się skupić spojrzenie, poruszyłem rękoma i wyczułem pod palcami czyjąś dłoń.

Leżała obok z twarzą wtuloną w poduszkę, całkiem naga. Podobnie jak ja. Zdziwiłem się, jak może oddychać w takiej pozycji, wachlarz czarnych włosów zakrywał szyję, spływał kaskadą na plecy. Dotknąłem końcami palców wytatuowanego na pośladku nietoperza. Więc została, może to

nie była tylko gra... A co niby miała zrobić? Jedyne klucze od głównych drzwi tkwiły w mojej kieszeni.

Potrząsnąłem ją za ramię.

Głowa stoczyła się z poduszki i spadła z głuchym łomotem na podłogę. Przez mgnienie zobaczyłem szeroko otwarte oczy i sine usta, zastygłe w upiornym uśmiechu. Nagie ciało spoczywało bez ruchu, groteskowo wygięta ręka dotykała mojego brzucha. Na serdecznym palcu lśnił pierścienek.

Szarpnąłem się panicznie, spadłem z łóżka, ściany zdawały się zbliżać, sufit wybrzuszał się i falował jakby zaraz miał się na mnie zwalić. Popęzłem w stronę drzwi na korytarz, szarpałem klamkę, ale nie dały się otworzyć. Waliłem pięścią, jakimś błyszczącym przedmiotem ryłem w nich głębokie bruzdy, póki nie opadłem z sił. Z łazienki doleciało głucho stuknięcie, chyba oberwała się półka, uniosłem do oczu ściskany w ręku przedmiot. Poznałem go natychmiast — nóż, miał wyszczerbiony w charakterystyczny sposób trzonek — Marta pomagała w hotelowej kuchni i używała tylko tego jednego. Zamykała go w swojej szafce, żeby nikt inny go nie dotykał. Nienawidziła dzielić się swoją własnością.

Siedziałem na podłodze i ze wszystkich sił próbowałem zrozumieć, co się stało. Daleki, jękliwy sygnał wibrował na skraju świadomości. Karetka... jedzie po nią... albo... Ale to nie ja! Nie umiałbym, nie w taki sposób. Popatrzyłem na nóż — wredna mściwa suka pomyślała o wszystkim. Wiedziała o tamtej, ale nie dała niczego po sobie poznać, planowała, czekała okazji... Tylko nie przewidziała, że nie wypiję całego drinka,

trzeźwiałem prędzej niż to sobie założyła. Wycie syreny narastało. Odciski, trzeba się pozbyć odcisków! Skierowałem chwiejne kroki do łazienki. W środku paliło się światło.

Ciało Marty wisiało pod sufitem, sznur wżynał się szyję. Z pochylonej w bok głowy patrzyły na mnie szeroko otwarte oczy. Jeszcze żyła, sine wargi poruszały się bezgłośnie, wyciągnęła do mnie dłoń.

Uniosłem nóż...

Nie dali mi się porządnie ubrać. W radiowozie działa ogrzewanie, fala gorącego powietrza wieje mi prosto w twarz, a i tak całego mnie telepie. Nie dość, że szczękam zębami, to jeszcze kajdanki wydzwaniają własną melodię. Odwracam głowę, gdy wynoszą czarne plastikowe worki. Po drugiej stronie ulicy prawie pusto. Tylko facet w ohydnej kraciatej marynarce drepcze przy samym krawężniku, przygląda się pracującym policjantom i ratownikom. Podrzuca w rękę klucz. Duży klucz. Nagle rozczapierza dłoń, klucz przelatuje między palcami, chwilę tańczy na krawędzi studzienki kanalizacyjnej i niknie w czeluści.

A Stary patrzy na mnie. I się uśmiecha...

Labirynt

Obracałam w palcach szklaną fiolkę z zielonkawymi tabletkami. Pani w aptece zapewniła, że to najlepszy uspokajacz jaki można kupić bez recepty — na bezsenność jak znalazł. Akurat, wczoraj nie podziałało. Otworzyłam butelkę z ulubionym gorzkim piwem, popiłam solidnym łykiem. Jeśli tabletka nie zadziała, chmiel powinien zrobić swoje.

Od jakiegoś czasu dokuczały mi stany lękowe. Nie, żeby to była jakaś nowość, ale ostatnio noce stawały się nie do zniesienia. Lęk przychodził nagle, pełzał i gramolił się na karku. Mogłabym przysiąc, że ktoś stoi za mną i próbuje zaczepiać, muska szyję i natychmiast cofa rękę. Próbowałam z tym walczyć, wmawiając sobie, że to tylko jesienne przesilenie, zwykła chandra. Jednak doskonale wiedziałam, że długo tak nie wytrzymam. W najgorszych momentach rozważałam możliwość wizyty u jakiegoś lekarza, choć na samą myśl robiło mi się niedobrze. Jak tylko pomyślę o białym fartuchu, robię się chora, nie znoszę przychodni i pieprzenia o higienicznym trybie życia. Nadużywam alkoholu i palę jak smok, w zasadzie nie mam prawa być zdrowa. A jednak fizycznie nic mi nie dolegało...

Kawalerka w poniemieckiej kamienicy miała to do siebie, że nigdy tam nie było cicho. Podłoga skrzypiała, w rurach bulgotało, a w kaflowym piecu trzaskał ogień. Długo trwało, nim nauczyłam się palić w piecu, w

nocy byle trzask sprawiał, że zrywałam się na równe nogi. Podłogę wyłożyłam aluminiową folią, żeby zminimalizować ryzyko zaprószenia ognia. A i tak, by po raz pierwszy podpalić kawałek gazety i wsunąć przez małe drzwiczki, musiałam porządnie się narąbać jarzębiakiem. Histerycznie boję się ognia.

Poprzedniej nocy długo męczyłam się przed zaśnięciem. Gówniane tabletki nic nie pomagały, kręciłam się z boku na bok, choć czułam już piasek pod powiekami, sen nie nadchodził. Skrzypnęła podłoga. Niby jak zawsze, niby powinnam się przyzwyczać, ale późnym wieczorem logika znaczy tyle, co encyklopedyczna formułka. Zbyt głośno skrzypnęło, a ja nagle nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy zamknęłam drzwi na patent. Kolejne skrzypnięcie, jakby głośniejsze i bliżej, byłam pewna, że tuż przed progiem. Światło nocnej lampki nawet tam nie sięgało, kąty pokoju spowijał mrok. Zamknęłam te cholerne drzwi, czy nie? A jeśli...? Jaka jest szansa, że ktoś wlaźł mi do mieszkania i teraz najostrożniej jak potrafi czai się w korytarzu? W blasku dnia takie pomysły wydają się być absurdalne, w końcu dlaczego ktoś miałby się włamać akurat do mnie? Ani ja bogata, ani znana, nikomu za skórę nie zalażłam. Ale w nocy te argumenty nie miały siły przebicia, strach był silniejszy.

Wiedziałam, że muszę wstać, zapalić światło w pokoju, przejść przez długi ciemny korytarz i szarpnąć za klamkę. Żadna nowość, kilkakrotnie zapominałam przekręcić klucz, zwykle odkrywałam to rano wychodząc do pracy. Znów skrzypnęło.

Przy łóżku stała jeszcze pusta butelka po wczorajszym piwie, chwyciłam ją za szyjkę i trzymając jak maczugę wylazłam z pościeli. Podejść do

progu było najprościej. Pstryknęłam światło i odczekałam chwilę nasłuchując, a w myślach wyzywając się od idiotek. Że też mnie pokarało taką wyobraźnią. Za rogiem rozciągał się korytarz. Był bezsensownie długi, na co komu tyle miejsca w przedpokoju? A najgorsze, że krył się za zakrętem, światło z pokoju nie docierało tam wcale, a następny włącznik był przy drzwiach wejściowych.

Już kiedyś miewałam podobne obsesje, najgorszy moment przychodził, gdy musiałam dotknąć klamki. Oczyma wyobraźni widziałam, jak w tym samym momencie ktoś naciska ją z drugiej strony. Nawet gdyby drzwi były zamknięte, umarłabym ze strachu.

Wzięłam głęboki wdech i weszłam do przedpokoju. Butelka wypadła mi z ręki, drzwi były otwarte na oścież, w progu stało jakieś dziecko.

— Nie jedź tam! — krzyknęło i rzuciło się do ucieczki.

Dopadłam drzwi, trzasnęłam nimi tak mocno, aż zadrżały framugi.

Wrzasnęłam i skopałam kołdrę.

Wykończę się — pomyślałam — jeśli tak dalej pójdzie, po prostu oszaleję. Sen był tak bardzo realistyczny, że przez chwilę naprawdę nie rozumiałam, jakim cudem znalazłam się w łóżku. Obrzuciłam nienawistnym spojrzeniem fiolkę zielonkawych tabletek. Jeśli to ma być ulga, to ja dziękuję bardzo. Ścienny zegar wskazywał drugą w nocy. Przykryłam się kołdrą po czubek głowy, zakryłam dłońmi uszy. Błagałam, żeby nic nie skrzypnęło... Kolejny sen nie nadchodził,

męczyłam się gdzieś do czwartej. Za kwadrans szósta zapiszczał budzik.

Zwlokłam się z łóżka, niewyspana i wściekła. Od jakiegoś czasu kładłam się spać zmęczona, a wstawałam w jeszcze gorszym stanie. Zaparzyłam kawy i wlałam pod prysznic, później przy pomocy kosmetyków próbowałam zatuszować napuchnięte worki pod oczami. Efekt był mizerny, przekrwione i łzawiące oczy wcale nie wyglądały lepiej, gdy podkreślałam je kredką.

Dzień zapowiadał się paskudnie, szef wymyślił sobie, że ktoś musi pojechać do Warszawy na pewną literacką imprezkę. Rozdanie nagród, ochy achy, bankiecik pod krawatami i takie inne przyjemności. Cała impreza ma potrwać pół godziny, a ja mam się tłuc pociągiem przez pół Polski, żeby trzasnąć kilka zdjęć i przeprowadzić wywiad z jego przyjacielem, autorem powieści przygodowych. Mają jakieś tam swoje konszachty, wolałam się nie dopytywać dlaczego nie da się załatwić telefonicznie, skoro tak dobrze się znają.

Z moim szefem się nie dyskutuje. Ja i tak mam dobrze, bo nie wiedzieć czemu, mnie praktycznie się nie czepia. Ani razu nie odrzucił mojego tekstu, nie skrytykował pomysłu, a zdarzało się nawet, że wylewnie coś pochwalił. Reszta koleżeństwa nie miała takich względów, ale nikt głośno nie narzekał. Gazeta miała swoją markę i prestiż, a praca u Nowaka była marzeniem każdego gryzipiórka.

Przychylność szefa miała swoją cenę — począwszy od wypełniania takich idiotycznych poleceń jak ten wyjazd — skończywszy na wrednych plotkach o naszym gorącym romansie. Do tej pory nie wiem kto to

wymyślił, ale najbardziej mnie ubodło, że prawie wszyscy uwierzyli.

Dopijałam zimną już kawę, kolejny pet wylądował w popielniczce. Śledziłam wskazówki zegara, im mniej czasu zostawało do wyjścia, tym większe ogarniało mnie rozdrażnienie. Już nie pamiętałam o koszarnej nocy, bolała mnie głowa, nagle ogarnęło mnie idiotyczne przecucie, że czegoś zapomniałam. A przecież pakowałam się dnia poprzedniego, musiałabym rozgrzebać podróżną torbę, a na to stanowczo już nie miałam czasu. Nawet bilet kupiłam wcześniej, bo znając siebie, wparuję na peron w ostatniej chwili, o ile nie wyjdę piętnaście minut za wcześnie. I to była myśl! Jeśli wyjdę teraz, na pewno się nie spóźnię.

Zerwałam się z taboretu, błyskawicznie wyłączyłam korki i sprawdziłam, czy gaz jest zakręcony. Narzuciłam płaszcz i zadzwoniłam po taryfę. Obmacałam kieszenie, portfel był, bilet też, legitymacja prasowa... klucze. Wszystko grało. Szarpnęłam za klamkę i aż mnie zmroziło. Drzwi przez całą noc były otwarte.

Stałam pod klatką schodową i paliłam jeszcze papierosa, gdy nadjechała srebrna landara marki Ford. Zaciągnęłam się głęboko i już miałam wyrzucić niedopałek do kosza, kiedy drzwi taksówki otworzyły się, a kierowca zawołał:

— Spokojnie, niech pani wsiada z dymkiem! Ja też palący...

Fajny facet, pomyślałam i z ochotą wdałam się w lekką konwersację o dyskryminowaniu palaczy. Nim dojechaliśmy pod dworzec, dwukrotnie zjechaliśmy na pobocze, by przepuścić rozpędzone karetki na sygnalach,

a na skrzyżowaniu utknęliśmy w korku. Kierowca wspaniałomyślnie wyłączył taksometr, gdy przez radiostację dowiedział się od kolegi, że korek jest nie do przebiccia z powodu wypadku. Najmniej mnie obchodziły zaoszczędzone złotówki, za kilka minut odjeżdżał mój pociąg.

— Spóźnię się... — mruknęłam i wcisnęłam taksiarzowi trzy piątki. Wsiadłam z samochodu i na złamanie karku przebiegłam między samochodami, później przez pas zieleni dotarłam na przejście dla pieszych. Biegłam do samego dworca, koło budek z kebabem przypomniałam sobie, że nie wzięłam nic do jedzenia. Wpadłam na peron i opadły mi ręce. Był całkowicie pusty.

— Cholera, pojechałam...

Zdyszana i wściekła, usiadłam na plastikowej ławeczce, ze złości jeszcze kopnęłam torbę. Nowak mnie zabije, po prostu zabije. Może jeszcze trafi się jakiś PKS, niech będzie z tysiącem przesiadek, byle bym zdążyła na tę cholerną galę.

Zapaliłam papierosa i rozejrzałam się po pustym peronie. W taki mglisty, szary poranek wyglądał wyjątkowo paskudnie. Jak kadr z horroru, wszystko szare, dziwnie posępne i odpychające. Mgła zdawała się tłumić uliczny gwar, w pewnym momencie miałam wrażenie, że panuje cisza absolutna... Wtedy poczułam na dłoni chłodny uścisk.

— Mam pusty brzuszec, kupi mi pani bułkę?

Tuż obok mnie siedział chłopczyk w brudnej i zdecydowanie za dużej

kurtce. Miał może ze cztery lata, cienkie białe włosy, drobną twarzyczkę i szare, podkrążone głodem oczy. Usta złożył w dziobek i wpatrywał się we mnie. Za to spojrzenie gotowa byłam kupić mu od razu całą piekarnię. Chwilę trwało, nim się odezwałam, widok tak zaniedbanego dziecka zwyczajnie mną wstrząsnął.

— Sam tu jesteś? Jak masz na imię?

— Nazywam się Adaś, a ty?

— Kalina. — Próbowałam uśmiechnąć się jak najcieplej, ale gdy patrzyłam ta tę chudzinę, łzy same napływały do oczu. Papieros wypalił się, wypuściłam go z palców, gdy poczułam żar na opuszkach.

— Sam tu jesteś?

— Sam. Przyszedłem, bo mam pusty brzusek.

Rozejrzałam się po peronie, nadal nikt się nie pojawił. Żaden domniemany opiekun, zwyczajnie byliśmy sami.

— A gdzie mieszkasz?

— Nie mogę ci powiedzieć, bo cię nie znam. Kupisz mi bułkę?

To dziecko było rozbijające. Gdybym mogła, zaprzytułałabym je, ukradła, zabrała do domu. Nagle przypomniało mi się, że muszę znaleźć sobie transport.

— Kochanie, ja zadzwonię tylko do swojego szefa, za chwilunię kupię ci bułkę.

Wygrzebałam z kieszeni komórkę, powiedziałam co musiałam. Nowak wpienił się niesamowicie.

— Tobie dałem ten artykuł, żeby nikt mi nie skaszał tematu! Co znaczy, kurwa, spóźniłam się na pociąg?!

— Korek był...

— Co mnie to obchodzi?

— Jeszcze PKSy sprawdzę.

— Nie ma żadnego PKS-u, do jasnej cholery, po to mówiłem ci wczoraj. Masz tam jechać, Makowski cię podwiezie.

— Panie Jurku...

— Co, panie Jurku, co? I tak dobrze, że Makowski jedzie do Lublina, ja muszę mieć ten wywiad. Muszę!

— Dobrze, Panie Jurku.

— Tyle chciałem usłyszeć.

Rozłączył się. Protest uwiązł w krtani. Gdy usłyszałam nazwisko Makowski, aż mi się wnętrzności skurczyły. Dlaczego właśnie on? Na litość boską, dlaczego? Nasz redakcyjny Casanova, z którym kiedyś połączyło mnie coś więcej niż praca. Zostały przykre wspomnienia i wcale nie chodziło o złamane serce. Unikałam go jak tylko mogłam, choć tak naprawdę nie miałam do niego żalu, zwyczajnie nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.

Popijałam kawę w McDonalddie, chłopiec w zawrotnym tempie pochłaniał jedzenie. Zastanawiałam się jak, do cholery, można zostawić tak małe dziecko bez opieki. Rozważałam telefon na policję, w końcu chyba tak powinno się postąpić. Ilekroć próbowałam podpytać o adres, odpowiadał w sposób dla mnie niezrozumiały, wskazując stronę dworca. Trudno dogadać się z czterolatkiem. Ogarnęło mnie przygnębienie, wiedziałam, że lada moment i ja będę musiała zostawić malucha na pastwę losu. Komórka zaburczała, odczytałam smsa z pytaniem: gdzie podjechać? Wolałabym, żeby to nie działo się naprawdę... Odpisałam, a za kilka minut czarny lśniący Jeep zaparkował przed restauracją. Podniosłam się z krzesła.

— Adasiu, ja już muszę jechać. Może zawiozę cię do domu samochodem?

— Postanowiłam nie dać za wygraną. Maluch pokręcił przecząco głową i znów niczego się nie dowiedziałam.

— Mam coś dla ciebie — powiedział i wyciągnął z kieszeni wielokrotnie złożoną kartkę — Ale później zobacz, teraz nie. Teraz nie można.

Skinęłam głową i przyjęłam podarunek. Dziecko pomachało brudną

rączką i z powrotem zajęło się jedzeniem.

— O Boże... — westchnęłam i zmusiłam się do zrobienia kilku kroków. Podeszłam do jednej z kasjerek i powiedziałam:

— Ten chłopiec, który siedzi przy oknie się zgubił. Proszę zadzwonić na policję i przypilnować, zanim nie przyjadą.

Dziewczyna przytaknęła i przechyliła się przez ladę, jakby chciała się upewnić, czy rzeczywiście przy oknie siedzi jakieś dziecko.

— Mroczkiewicz! — Darek stał w progu i machnął ponagląco ręką. Stalowszarskie oczy patrzyły z nieskrywaną ironią. — Ale mnie zaszczyt kopnął!

Westchnęłam na tyle głośno, by usłyszał. Nie miałam ochoty na żarty, przekomarzania, w ogóle nie miałam ochoty odzywać się do niego. Kiwnęłam tylko głową, wysilając się na zdawkowy uśmiech.

— Co taka nie w sosie?

— Nic... Mam fajny dzień, to wszystko.

Zerknął, jakby z niedowierzaniem. Dupek pewnie przyzwyczajony, że każda się do niego łąsi, wielce zdziwiony, że się nie umizguję. W pracy nawet panie sprzątaczkę wzdychają do Dareczka, a moje koleżanki, gdyby mogły, paradowały by po korytarzach w bikini. Nic nie poradzę, że jestem inna, ładna buźka i modna koszula to za mało, żebym mogła dla

kogoś stracić głowę.

Wsiadliśmy do auta, torbę i płaszcz rzuciłam niedbale na tylne siedzenie. Darek jednak wyczuł mój wisielczy nastrój, odezwał się dopiero gdy ruszyliśmy z parkingu.

— Jakaś heca z tym pociągiem. Wykoleił się, są ofiary... — Stanęliśmy na czerwonym świetle. Nikt nie przechodził, o tej porze miasto dopiero przecierało senne oczy. — W radiu mówili.

— Naprawdę? Nie wiem, nie słyszałam. — Wlepiłam wzrok w szybę. Myślałam ciągle o Adasiu, po raz kolejny analizując całą sytuację. Zauważyłam, że Darek przygląda mi się kątem oka.

— Na pewno wszystko w porządku?

— Tak... — Naprawdę nie miałam ochoty na rozmowę. Ludzie to dziwne stworzenia — im bardziej się kogoś ignoruje, tym bardziej wzbudza się w nim ciekawość. Na szczęście nie ciągnął tematu, skoncentrował się na prowadzeniu samochodu, ja natomiast czekałam, kiedy miniemy ten przeklęty dworzec. Chciałam koniecznie zobaczyć, czy kręcą się tam ludzie. Wspomnienie pustego, zamglonego dworca wywoływało nieprzyjemny dreszcz.

Wjechaliśmy na rondo, z którego doskonale widać było cały peron. Jestem krótkowidzem, zazwyczaj zgaduję numery na autobusach, a kiedy ktoś mi z daleka macha ręką, jak durna szczerzę się w uśmiechu, choć nie

mam pojęcia, kto to właściwie jest. Niemal wkleiłam twarz w szybę samochodu, ufając, że wzrok nie spląta mi głupich żartów. Peron był pusty. Tak jak niecałą godzinę temu.

I wtedy go dostrzegłam, wyszedł zza tablicy z rozkładem jazdy. Białowłosego chłopczyk, z którego chwilę temu zostawiłam w McDonalddie patrzył w naszym kierunku.

— Kalina, co ci jest? Kalina... — gdzieś jakby z daleka słyszałam głos Darka. — Co ci jest?!

— Zatrzymaj samochód, proszę. — Złapałam Darka za rękę. — Zostawiłam coś na peronie.

— O matko, Mroczkiewicz. Nie strasz mnie.

Darek zawrócił i stanął na parkingu pod pocztą. Kompletnie go ignorując wyskoczyłam z samochodu. Nieliczni ludzie w poczekalni patrzyli na mnie jak na wariatkę, mimo to biegłam tak szybko, jak mogłam, pokonałam strome schody na peron i zamarłam. Chłopca nie było. Nikogo nie było. Przeszył mnie dreszcz. Rozejrzałam się ostrożnie, czy maluch nie schował się za którymś z filarów, choć nie byłam pewna, czy chciałam go tam znaleźć. Zaczął prószyć śnieg, postanowiłam wracać. Raczej uciekać stamtąd.

Darek kręcił się po parkingu i wyglądał na zdenerwowanego.

— Przesadziłaś! Godzinę cię nie było, szukałem cię na dworcu i na

peronach. Wiesz, ile mamy w plecach, później ja dostanę opieprz!

— Szukałam portfela, musiał mi wypaść... – skłamałam automatycznie, zastanawiając się równocześnie, co on pieprzy, jaką godzinę?

Popatrzyłam na dworcowy zegar, czując jak kurczą mi się wnętrzności. Darek mówił prawdę.

Nie usłyszała ode mnie przeprosin. Bez słowa wsiadłam do samochodu. W radiu mówili coś o załamaniu pogody, ostrzegali przed zamiecią i opadami śniegu. Klimatyzacja działała dobrze. Wyciągnęłam z kieszeni kartkę od Adasia, rozłożyłam i zdziwiłam mocno. Nie była to ani laurka, nawet zwykły dziecięcy bohomas. Wyglądało to na amatorską mapę topograficzną — rozwidlenie dróg, dookoła ikonki drzewek, koślawy krzyżyk a przy nim słowo „maliny”. Dziwna mapka, wszystko było dziwne... zaczynając od koszmarnej nocy. Przypomniałam sobie sen i dziecięcy krzyk „nie jedź tam!”.

Poczułam się rozpaczliwie zmęczona. Przymknęłam tylko powieki i zasnęłam...

Obudziło mnie gwałtowne szarpnięcie, uderzyłam głową w boczną szybę. Darek mocował się z kierownicą, świat za oknami wirował. Rozumiałam tylko tyle, że samochód wpadł w poślizg. On krzyczał, ja krzyczałam, rzucało nami na wszystkie strony.

— Drzewo! — wrzasnął Darek.

Huknęło i szarpnęło, poduszka powietrzna wybuchła mi prosto w twarz. Zaczęłam odpychać ją od siebie, kątem oka dostrzegłam, że po stronie Darka nie ma wielkiej poduchy. Nie zadziało, a on stracił przytomność.

Byłam oszołomiona, serce huczało w piersi. Odepchnęłam poduchę i próbowałam odpiąć pasy. Zamarłam na chwilę, słysząc trzaski. Jakby coś iskrzyło. Momentalnie wpadłam w histerię, zaczęłam szarpać pasy, obiema rękami walczyłam z prostym mechanizmem. Udało się, podciągnęłam nogi na fotel, wyciągnęłam drążącą dłoń w stronę Darka i po chwili namysłu — szturchnęłam go. Nie zareagował, nawet nie drgnął. Łzy napłynęły mi do oczu.

— Darek... — Dotknęłam jego twarzy, pogłaskałam po policzku — Obudź się.

Głowa opadła na piersi, kaszlnął. Dopadły mnie mdłości, serce za nic nie chciało się uspokoić. W samochodzie śmierdziało benzyną. Trzaski powtarzały się coraz częściej, zaczęło coś syczeć. Poczułam swąd palonego plastiku. Rzuciłam się na klamkę, ale drzwi były zdeformowane, nie chciały się otworzyć. Sięgnęłam do tych po stronie Darka, dzięki Bogu, otworzyły się. Odpięłam jego pasy, a on bezwładnie osunął się na kierownicę, uruchamiając klakson. Pociągnęłam nosem, smród benzyny stawał się nie do zniesienia.

— Rusz się, tu się coś pali chyba — Zaczęłam płakać i szarpać go. Powoli jakby zaczął kontaktować, ale nie miałam czasu, by delikatnie go wybudzać. Popchnęłam go, wypadł przez otwarte drzwi, wrzasnął z bólu. Wyczołgałam się na kolanach przez oba fotele, wyskoczyłam z wozu

obok Darka.

— Rusz się, samochód się pali!

— Nie mogę — wychrypiał, z kącika ust również pociekła krew. — Boli, zostaw mnie.

— Rusz się, człowieku! — wrzasnęłam, walczyłam ze sobą, by nie rzucić się do ucieczki. Próbowałam go podnieść, bezradnie przebierałam nogami, wsparł się na moim ramieniu i aż przykucnęłam, taki był ciężki, z taką siłą uczeplił się mnie.

Najpierw pojawił się dym, gęstniał w zastraszającym tempie, ja płakałam jak dziecko. Wkrótce pokazały się języki ognia, a my ślamazarnie czołgaliśmy się jak najdalej od wraku. Darek co chwilę pluł krwią, powtarzał: zostaw mnie, boli... Nie dałam za wygraną. Gdy byliśmy już w bezpiecznej odległości, a w samochodzie hajcowało się na dobre, dopiero zorientowałam się, gdzie jesteśmy.

Dookoła był stary las. Leżeliśmy na ziemi pokrytej warstwą gnijących liści, Darek znów przymykał oczy i odpływał. Usiadłam, on położył mi głowę na kolanach, a ja z jakąś chorą fascynacją obserwowałam jak samochód płonie. Ani na moment nie przestałam płakać, choć od łkania bolało mnie gardło, miałam wrażenie, że po sam skurczony ze strachu żołądek. Wdychałam głęboko mokry zapach lasu. Właśnie przeżyłam coś, czego bałam się od dziecka... wyglądało to inaczej niż w wyobrażeniach, ale strach był ten sam. Strach przed śmiercią w potwornych męczarniach, w zamkniętej puszczy, z której nie ma wyjścia. A gdyby nam

połamało nogi? A gdybym straciła przytomność i ocknęła się w płomieniach, a gdyby... Patrzyłam na ogień i przeżywałam tę swoją wysnioną apokalipsę. Darek oddychał ciężko, czasem mruczał coś niezrozumiale. Obejmowałam go i przytulałam, nie było w tym momencie ważne kim byliśmy dla siebie wcześniej. Drżałam z zimna, siedziałam na gołej ziemi, materiał płaszcza przeszedł wilgocią, Darek też drżał. Już nie ciekła mu krew z nosa, wyciągnęłam z kieszeni kartkę od chłopczyka, zmięłam w kulkę i pośliniłam lekko. Wytarłam zasychające stróżki z jego twarzy, to wszystko, co mogłam zrobić. Tak mnie pochłonęło to zajęcie, że przestałam płakać. Jeszcze raz spojrzałam w ogień, myśląc, że odniosłam wielkie zwycięstwo. Nie umarłam ze strachu, nie uciekłam w panice. Uratowałam też Darka...

Poruszył się, przekręcił z boku na plecy. Patrzeliśmy na siebie w milczeniu, podejrzewam, że on też nie chciał się odezwać pierwszy. Jednak ktoś musiał zacząć. Nie wiedziałam gdzie jesteśmy. Niepokojące było to, że choć droga wyglądała zwyczajnie (z miejsca, w którym akurat się znajdowałam), nie minął nas ani jeden samochód. Sądząc po odcieniu nieba, było jeszcze wczesnie. Nie miałam zegarka, a telefon został w samochodzie. Jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że jesienne niebo od świtu do wczesnego wieczora potrafi być jednostajnie szare. Przypomniała mi się radiowa prognoza i jak na zawołanie — zaczął prószyć drobny śnieg.

W oczach Darka błyszczały łzy. Westchnął, odkaszlnął i ledwie słyszalnym szeptem powiedział:

— Kalina, ja chyba kogoś zabiłem – słowa te, wypowiedziane przez

Darka ledwie słyszalnym szeptem przeszły ciszę niewidzialnym ostrzem grozy. — Ty spałaś, a tam na drodze stał facet z jakimś dzieciakiem. Chciałem go wyminąć i ten cholerny śnieg... No i wpadliśmy w poślizg. A on stał mi na drodze, rozumiesz? Z dzieciakiem. To nie była moja wina, rozumiesz?!

Po plecach przebiegł mi okropny dreszcz. W milczeniu wstałam z ziemi, czując na sobie spojrzenie Darka. Spojrzenie pełne przerażenia i oczekiwania.

— Masz telefon? — tym pytaniem chyba chciałam odsunąć nieuniknione.
— Mój został w samochodzie.

— Mój też..

— Chodź, musimy sprawdzić – powiedziałam sucho.

Miało to zabrzmieć o wiele cieplej, ale dzięki Bogu, nie musiałam mu tłumaczyć, co mam na myśli.

Darek złapał głęboki, chrapliwy oddech i również wstał. Ciemność panująca wokół była przytłaczająca. Gęsta i wręcz lepka. Powoli wygrywała z nikłym blaskiem pogorzelska. Widok zwęglonego wraku paradoksalnie dawał nam odrobinę poczucia, że wszystko jest na swoim miejscu, sytuacja daje się kontrolować. I ta cisza. Trzask złamanej gałązki przypominał wystrzał. Wokół wszystko zamarło, jakby upiorne milczenie lasu miało nas przygotować do tego, co mieliśmy napotkać. Serce biło mi jak oszalałe, nie umiałam oswoić się z myślą, że szukam

zwłok. Bałam się, że mogę potknąć się w ciemności, wpaść w ich zimne objęcia.

Darek miał u paska breloczek z kluczami i maleńką latarką. Po przejściu kilkudziesięciu metrów w obie strony upewniliśmy się, że droga jest pusta.

I co dalej? Żadne z nas nie umiało odpowiedzieć na to pytanie. Byliśmy zmęczeni, przerażeni, głodni i zmarznięci. Nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy, która jest godzina, czy ktoś nas szuka. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Rozpalić przy dogasającym wraku ognisko i zasnąć przy nim, nie wiedząc, czy się obudzimy? Wtedy dostrzegłam coś jakby pochylony przydrożny słup z tablicą. Zatarty trochę napis składał się z jednego słowa, na widok którego poczułam, że dosłownie zamarło mi serce w piersiach.

Maliny.

Nie zwracając uwagi na towarzysza podbiegłam do tłących się resztek samochodu i wyciągnęłam z kieszeni kartkę od jasnowłosego chłopca. Wszystko się zgadzało, przerywana linia, na którą nie zwróciłam wcześniej uwagi zaczynała się przy znaku i ciągnęła wzdłuż szosy. Wiedziałam, że nic mnie nie powstrzyma przed pójściem w tamtą stronę. I nic nie mogłam powiedzieć Darkowi, bo wziąłby mnie za wariatkę i pomyślał, że sama to narysowałam, kiedy był nieprzytomny.

Zgodził się bez dyskusji, zresztą i tak nie mieliśmy większego wyboru. Nie pamiętał, dlaczego skręcił właśnie tu. Droga wyglądała na

nieuczęszczaną, brak było oświetlenia i jakichkolwiek znaków. Asfalt w wielu miejscach był popękany. Było okropnie zimno, na szczęście Darek odstąpił mi swój płaszcz, mój spalił się w samochodzie. Staralam się nie myśleć o całym moim bagażu, który był teraz jedynie garścią popiołu.

Droga wiła się w nieskończoność. Jaśniało powoli. Nie wiem jak długo szliśmy, jednak od początku naszej wędrówki oglądaliśmy jedynie las.

— Ale jestem głodny — wypalił nagle Darek.

— Nie żartuj. I nie waz się wymieniać, co byś teraz zjadł.

— Nie będę wspominał o karkówce z grilla, frytkach, pizzy.

— Oj, zamknij się – szturchnęłam kolegę, tłumiąc idiotyczny śmiech. O matko, zabiłbym za kawałek pizzy! – To wcale nie jest zabawne.

Chichotaliśmy jak dzieci. Na hasło „frytki” lub „kurczak” wybuchaliśmy śmiechem, jakbyśmy opowiadali sobie najzabawniejsze kawały na świecie. Czułam, że to początki hysterii i jeśli nic się nie zmieni, może być tylko gorzej.

W pewnym momencie asfaltowa droga po prostu się urwała, przeistaczając się w piaszczystą koleinę. Prowadziła w głąb lasu. Od czasu do czasu sprawdzałam dyskretnie plan, i wiedziałam, że należy iść właśnie tamtędy. Spojrzałam na Darka, modląc się w duchu, by w jego oczach nie dostrzec rezygnacji. Bo zamierzałam iść dalej, cokolwiek by postanowił.

Tuż pod stopami zauważyłam lśniącą, czarną plamę. Przyklęłam i dotknęłam jej końcami palców. Olej samochodowy.

— Ktoś tędy jechał, zobacz.

— Niemożliwe, minąłby nas.

— Jest świeża, śnieg by ją dawno zakrył.

— Nic nie rozumiem... — Nie wyglądał dobrze. Jego niebieskie oczy dziwnie błyszczały, zdradzały zmęczenie, strach i jakąś dziwną nieobecność, zupełnie jakby jego umysł żeglował po jakimś odległym oceanie. – Idziemy, Kalina. Idziemy tą drogą. Przecież musi dokądś prowadzić. Bo gdybyśmy chcieli wracać, to wiesz...

— Wiem.

Ruszyliśmy, po krótkim odpoczynku. Powoli, powłócząc nogami, które boleśnie domagały się dłuższego postoju. Darek, mimo że był chyba w gorszym stanie, nie marudził, nie mazał się. I miałam tylko jego. Choć wcześniej darzyłam go jedynie pogardą, teraz stawał się kimś bliskim. Ukazywał nowe oblicze, którego wcześniej nie umiałam dostrzec. Albo nie chciałam.

Stalowszarskie niebo nieubłagalnie przybierało coraz ciemniejszy odcień. Między drzewami zamajaczył jakiś kształt. Z początku pomyślałam, że to sterta ściętych pni, ale to było drewniane, symetryczne. Wyglądało jak altanka lub szopa. Miałam ochotę krzyknąć z radości.

— Widzisz to? – zapytałam Darka.

Nie usłyszałam odpowiedzi. Gorzej, Darka nie było obok mnie. Chyba nie zauważył, że się zatrzymałam. Wołałam go ze wszystkich sił, ale się nie pojawił.

Drewniana chatka okazała się zamknięta. Zauważyłam, że wyglądała całkiem solidnie, ściany z masywnych bali, brak okien i sztaba z solidną kłódką na drzwiach świadczyły, że komuś bardzo zależało, by nikt nie zaglądał do środka. Stała na sporej polanie, pnie drzew świadczyły, że zbudowano ją w wybranym wcześniej miejscu z tego, co było najbliżej.

Usłyszałam odgłos pękających gałązek.

Bez wątpienia ktoś szedł w moją stronę. Między drzewami zamajaczyła jakaś postać. Zmrużyłam oczy, chyba kobieta... Najwyraźniej mnie zauważyła.

I to nie była kobieta. Czarna sutanna zwiastowała wybawienie.

*

— No i ten ksiądz nas wyprowadził z lasu, przywiózł do szpitala. To wszystko – skończyłam właśnie opowiadać całą historię Patrycji, która pierwsza odwiedziła mnie w szpitalu.

Przyjaciółka była jedyną osobą, do jakiej zdecydowałam się zadzwonić. Rodziców wołałam poinformować później. Nie wiedzieli o mojej podróży,

więc mogłam trochę poczekać z telefonem do nich. Zaraz by chcieli przyjeżdżać, a mama faszerowałaby siebie i ojca nervosolem. Patrycja najwyraźniej gładko przełknęła bajkę, którą uzgodniliśmy z księdzem, obiecując zabrać prawdę do grobu. Pilnowałam się, żeby niczego nie pokręcić, a w razie nieścisłości z wersją Darka, wszystko dałoby się zwalić na przemęczenie.

— Kurczę, nie wiesz nawet co tu się działo. Mówię ci, najpierw Nowak stwierdził, że jesteście poza zasięgiem, zaczął się wściekać, po południu wywalił was na zbity pysk, później szukali was tu, bo wiesz... był ten karambol... — Patrycja trajkotała z wypiekami na twarzy, jakby chciała ukryć pytanie, które miała na końcu języka. Bezwiednie obracała swoją srebrna bransoletkę z wygrawerowanymi hieroglifami. — A jak Makowski?

— Nie byłaś u niego? Chyba dobrze, jest bardziej pokiereszowany ode mnie – odpowiedziałam tak obojętnie, na ile mogłam.

— Boże, jak się martwiliśmy o was. Przyniosłam, to o co prosiłaś. — Patrycja wskazała wielgachną reklamówkę ubrań i podręcznych przyborów toaletowych. I coś do czytania. Położyła mi na kolanach „Lustro” w lśniącej okładce. – Wybierz sobie jakąś fajną fryzurę, nie możesz tak wyglądać. — No jasne, musiała mi przypomnieć, że obcięto mi posklejane krwią i brudem strąki włosów, kiedy szyto mi ranę za uchem. — Aha, przyniosłam Ci krem do rąk. Chociaż te odmrożenia to...

— Tak, prawdopodobnie będą widoczne do końca życia — prychnęłam. Chyba zbyt ostro, choć na usta cisnęło mi się: Zamknij się, mam już cię

dość!

Patrycja spojrzała na mnie łagodnie. Znałyśmy się od urodzenia, razem przeszłyśmy przez wszystkie szkoły, egzaminy, pierwsze randki, babskie wieczory a teraz pracowałyśmy razem w tej zwariowanej redakcji. Wiedziałam, że często zdarza jej się palnąć coś bez zastanowienia, ona przymykała oko na moją mrukliwość. Na znak porozumienia mrugnęłyśmy do siebie.

— Ok, ok, zwijam się. — Znów mrugnęła, po czym wzięła się za poprawianie bluzki. Oczywiście wyglądała idealnie. Lśniące blond włosy, perfekcyjny makijaż podkreślający błękitne oczy. Idealnie dopasowane spodnie i jak zwykle nieprzyzwoicie wyeksponowany dekolt. — Może jeszcze zajrzę do Makowskiego.

— Aha — wyszło mi idealnie obojętnie. – Przyjdiesz jutro?

— Jasne skarbie, jak czegoś będziesz potrzebować to śmiało dzwoń.

Wymieniłyśmy obowiązkowe cmoknięcia w policzek, a po Patrycji został jedynie zapach perfum.

Do późnego popołudnia odwiedziło mnie jeszcze kilka osób z pracy. W tym sam redaktor naczelny. Był podejrzanie miły i zachowywał się prawie jak normalny człowiek. W niczym nie przypominał furiata, wrzeszczącego: To miało być na wczoraj, a nie za godzinę, kurwa jego mać!!!

— Słuchaj, Mroczkiewicz. Idźcie na pierwszą stronę. Ma być dużo strachu i jeszcze więcej krwi. Jesteś w stanie pisać? – Spojrzał na moje przemarznięte ręce, po czym skrzywił się, co miało zapewne oznaczać współczucie. — Maliniak napisze, przyślę go tu jutro.

— Ale...

— Wiem, że jesteś zmęczona. A Makowski wygląda jakby go pies wszamał a potem zwrócił. Ale nie ma zmiłuj. Te cioty z „Pogłosek” mieli relację z gali, my będziemy mieli to. Wielki karambol, zaginięcie znanych dziennikarzy i relacja naocznych świadków!

Znanych dziennikarzy? Pomyślałam, że na potrzeby naszego szmatławca, gotów był dowolnie przerobić tę historię. Ciekawe, czyje nazwisko będzie pod artykułem?

Gdy zostałam sama, leżałam z zamkniętymi oczyma, starając się nie myśleć o niczym. Już niemal odpłynęłam w krainę snów, kiedy drzwi sali otworzyły się z łoskotem. Pielęgniarka przywiozła na wózku inwalidzkim filigranową staruszkę. Kiedy pomagała jej położyć się na łóżku, dostrzegłam jak drobna jest to osoba. Ważyła może ze czterdzieści kilo. Białe włosy miała spięte w staranny kok. Jej twarz była łagodna, ale oczy mętne, zdradzające zmęczenie życiem. Przynajmniej nie będę tu sama. Wymieniłam z sąsiadką kilka uprzejmości, po czym pani Emilka zatopiła się w lekturze jakiegoś pisemka.

Listopadowe dni są strasznie krótkie. Za oknem zrobiło się całkiem ciemno, wiatr hulał między nielicznymi drzewami rosnącymi na

szpitalnym podwórzu. Zaczął prószyć śnieg. Zamarzlibyśmy – pomyślałam. Gdybyśmy się wrócili w stronę samochodu, nie odkrylibyśmy szopy. Zrobiło mi się zimno. Zerknęłam na reklamówkę, przyniesioną przez Patrycję. Miałam nadzieję znaleźć w niej jakiś sweter, a przynajmniej porządną piżamę. Tutejsza wyglądała jak poszewka na poduszkę. Powoli zsunęłam się z łóżka, bojąc się zawrotów głowy i wyszłam na korytarz. W łazience opłukałam się nieco i przebrałam. Kochana Patrycja! Przyniosła mi całkiem fajną piżamę, choć futrzane kapcie wywołały u mnie mniejszy entuzjazm. Kuferek pełen kosmetyków i przyborów toaletowych okazał się zbawieniem, kiedy próbowałam jakoś zamaskować ubytki we włosach. Prawie nie było widać. Wracając spytałam pielęgniarkę o salę Darka.

— Ten dziennikarz? — Błysk w jej oku mówił sam za siebie. — Leży w szesnastce.

To była izolatka. No jasne, ja bym musiała wpaść pod pociąg, żeby dali mi pojedynczą salę.

Miał opatrunek na czole, na parapecie i małym stoliku obok łóżka stały bukiety kwiatów w jakichś szpitalnych naczyniach. Mnie nikt nie przyniósł... Przestań idiotko, skarciłam się w duchu, kto miał ci dać kwiaty, naczelny?

— I jak? — głupszego pytania nie mogłam zadać.

— Ok, wszystko zgodnie z planem – odpowiedział oschle. Spod współprzymkniętych powiek obserwował okno.

— Aha... Dobra, nie przeszkadzam. W razie co dobranoc.

— Dobranoc.

Zrobiło mi się przykro, ale ja też miałam dosyć wszystkich gości, całego zamieszania i pytań. A może wrócił Darek sprzed wypadku, zarozumiały i kochający publiczkę, przed którą mógł się popisywać?

Odwróciłam się powoli, zmierzając ku drzwiom.

— Kalina...

— Tak?

— Wtedy w lesie... Nie wiem co się dokładnie stało, w pewnej chwili ktoś złapał mnie od tyłu, zatkał usta i... nie pamiętam więcej. — Ciągłe nie patrzył na mnie. — Przepraszam, ja bym cię nie zostawił... Może mi się przywidziało tylko, kiedy traciłem przytomność. Jak ocknąłem się ciebie już nie było. Wołałem, pamiętałem tylko mniej więcej, skąd przyszliśmy i pomyślałem, że tam wrócisz. A kiedy ten ksiądz wyprowadził cię na szosę, wyglądałaś jak upiór. — Daleki sygnał karetki narastał, stawał się głośniejszy, by urwać się nagle. — Gdy pytałem, co się stało, patrzyłaś na niego i mówiłaś, że nic, zablądziłaś, a on cię znalazł. Ale miałaś naderwany rękaw i brakowało guzików u płaszcza. Powiedz prawdę, jeśli zrobił ci coś...

Zamarłam. Boże, on myślał, że ten ksiądz mnie zgwałcił! Usiadłam na brzegu łóżka. Darek miał na twarzy kilka szwów, na skroni

wielobarwnego siniaka.

— Kiedy straciliśmy się z oczu, zobaczyłam jakąś szopę z grubych bali zamkniętą sztabą z wielką kłódką. Ktoś szedł w moim kierunku, jakaś na czarno ubrana postać, równocześnie wewnątrz szopy rozległ się płacz, potem jakiś łoskot i walenie w drzwi. Przestraszyłam się i zaczęłam uciekać na oślep. Dogonił mnie szybko, przewróciłam się, kiedy chwycił za płaszcz. Ukląkł obok, w pierwszej chwili pomyślałam o tym, co ty, ale to był właśnie ksiądz. Ujął moje dłonie i zaczął mówić. Skądś wiedział o naszym wypadku, powiedział, że zaprowadzi mnie do mojego kolegi. Resztę znasz.

— Trzyma tam kogoś...?

— Darek... ja majaczyłam. Wszystko mi się miesza. Zdawało mi się, że słyszę głos, ale to były przywidzenia. Albo prosiaka tam ktoś trzyma, one kwiczą jak... — Dotknęłam jego dłoni i wreszcie spojrzał na mnie. — Porozmawiamy jutro, muszę się przespać.

— Dobrze, ja chyba nie zasnę. — W jego oczach dostrzegłam ulgę. — Jak myślisz, dadzą mi tu coś na sen?

— Boże, na pewno. Zapytaj po prostu. Mi oczy się same zamykają.

Pocałowałam go w policzek i poczułam, jak twarz oblewa mi rumieniec. Wymamrotałam: dobranoc, i szurając futrzanymi kapciami od Patrycji zamknęłam za sobą drzwi. Na korytarzu złapałam głęboki oddech.

Wchodząc na salę, zauważyłam, że leżę pod trzynastką. Naprawdę, bardzo zabawne. Pani Emilka drzemała w najlepsze. Najwidoczniej zasnęła nad swoim pisemkiem, które upuściła na podłogę. Chciałam je podnieść, więc wykonałam jakieś dziwne akrobacje, byle uniknąć bólu przy schylaniu się. Kiedy kładłam kolorowy magazyn na szafce, pani Emilka otworzyła oczy. Było to tak niespodziewane, że serce podeszło mi do gardła, a z wrażenia usiadłam.

— Miała pani gościa — wyszeptała konspiracyjnie.

— Ja...?

— Powiedział, że jeszcze przyjdzie. Taki mały chłopiec. Jasne włosy, prawie białe...

Zamknęła oczy. Siedziałam na zimnej podłodze, jak zahipnotyzowana, obserwując spokojnie śpiącą staruszkę. Wreszcie z niemałym trudem spróbowałam się podnieść. Wpełzłam na łóżko, wciąż czując, jak mi wali serce. Za oknem płatki śniegu wirowały na tle granatowego nieba.

Chłopiec z peronu... Cholera, o co w tym wszystkim chodzi?! To wszystko musi mieć jakiś wspólny mianownik. Ksiądz tam trzymał jakiegoś dzieciaka. Może ten chłopiec... Nie, bzdura. Miałam wypadek i... wariuję. A może nie wszystko się zdarzyło naprawdę, część wspomnień to jakieś halucynacje. Zrobili mi tomografię po wypadku, niby wszystko w porządku. Ale... widziałam go przed wypadkiem. Może coś mi się robiło z głową, już wcześniej, czułam ten nieokreślony niepokój. I widywałam tego chłopca w snach. Lecz nigdy na jawie.

Łzy napłynęły mi do oczu, wszystko było nie tak. Co się ze mną dzieje?! Bałam się. Bałam się, że nie mogę ufać nawet własnym zmysłom, nie mogę słuchać swoich myśli. Przetarłam oczy, spojrzałam na śpiącą staruszkę. Niepotrzebnie mnie nastraszyła, niepotrzebnie przypominała...

Nie oddychała. Jej klatka piersiowa nie drgnęła nawet o centymetr. Zsunęłam się z łóżka, podeszłam do niej. Chciałam ją szturchnąć, ale wiedziałam, że to na nic. Poczułam obrzydzenie. Była taka sucha, koścista. Twarz pokryta siatką zmarszczek już wcale nie była łagodna ani sympatyczna. Była straszna. Drżącą ręką dotknęłam wychudłej dłoni i kolacja podeszła mi do gardła. Ręka była sztywna i zimna. Staralam się powstrzymać odruch wymiotny. Nacisnęłam znajdujący się na ścianie przycisk, przywołujący pielęgniarkę. Trzymałam się za szyję, a mdłości stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Nagle cała sala zaczęła wirować. Czułam ja bezwładnie opadam w mleczną mgłę...

— Pani Mroczkiewicz... — głos pielęgniarki docierał do mnie powoli, stłumiony przez jakąś niewidzialną barierę.

— Kiedy... Kiedy ona umarła?

— Lekarz mówił, że tuż po obchodzie. Nic nie czuła. — Pielęgniarka wyjęła strzykawkę. — Zemdląła pani. Już dobrze?

Nie było dobrze. Było wręcz fatalnie. Ona umarła tuż po wieczornym obchodzie lekarskim. Czyli około dziewiętnastej. Ja rozmawiałam z nią dwie godziny później.

Cała drżałam, nie mogłam utrzymać szklanki z wodą. Łzy płynęły z piekących oczu. Byłam przerażona, łkałam jak dziecko. Ukłucie w ramię. Nie zdążyłam zapytać, co to było, bo jakoś nagle zrobiło mi się wszystko jedno. Powieki zaciążyły, ubrana na biało postać rozplynęła się jak topniejący śniegowy bałwan...

Gdy otworzyłam oczy, wróciło znajome uczucie, że coś jest nie w porządku. Byłam otępiała, po dłuższej chwili odkryłam, że leżę w zupełnie innej sali. Sama. Drzwi wyglądały bardzo solidnie i miały małą klapkę. Chciałam przetrzeć powieki, ale nie udało mi się.

Ręce miałam skrępowane skórzanymi pasami.

Czemu mi to zrobili? Co się stało? Dlaczego... Zaczęłam wołać, krzyczałam, ile sił w płucach, ale nikt się nie pojawił. Mijały minuty, potem chyba godziny. Godziny patrzenia się w sufit. Godziny daremnych prób zawołania kogoś z personelu. Zmęczona płaczem i wołaniem o pomoc, zasypiałam i budziłam się po to tylko, by zobaczyć rozmazane postacie w białych kitlach, które coś ze mną robiły. Był też ktoś ubrany na czarno, coś mówił, ale chyba nie do mnie. Znów godziny, spoglądania w zakratowane okno. Czy okna w tamtej sali miały kraty? Czasem, gdy otwierałam oczy za szybą panował mrok. Godziny zmieniały się w dni...

Drzwi otworzyły się z hukiem. Do sali wparował Darek z jakimś lekarzem.

— Kalina? — Nachylił się nade mną, jakby sprawdzając, czy kontaktuję.

— Jesteś. Co tu się dzieje, dlaczego mi to zrobili...?

— Później ci wszystko wyjaśnię, a teraz zbieramy się.

Miałam wrażenie, że obserwuję tę scenę z jakiegoś miejsca oddalonego o kosmiczne mile od szpitalnej sali. Darek uwolnił mi ręce z pasów, posadził siłą na łóżku i zaczął mnie ubierać. Nie miałam pojęcia, dlaczego musiał mi w tym pomagać, ale czułam wtedy dziwną obojętność. Założył mi skarpetki, na szpitalną piżamę wciągnął bluzkę i spodnie Patrycji, również jej białe kozaki. To akurat wzbudziło moje zainteresowanie.

— Nie chcę takich butów. Są brzydkie.

Darek spojrzał na mnie. Najpierw z niedowierzaniem, później zaczął się śmiać.

— Mroczkiewicz, rozbrazasz mnie.

— To przez prochy. Będzie taka jeszcze kilka godzin – wtrącił młody lekarz i wykonał znaczący gest palcem przy skroni. Na jego nadgarstku zaśniła srebrna bransoletka.

— Ja wszystko widzę — fuknęłam, po czym stwierdziłam, że wcale nie chce mi się nigdzie iść.

— Kalina, później ci wszystko opowiem, ale proszę cię, chodźmy szybko. Zabiorę cię na pizzę, jak obiecałem wtedy w lesie. Chcesz? W ogóle zrobię wszystko, tylko pomóż mi trochę i rusz się.

Nie chciało mi się nic mówić, ale posłuchałam Darka i wstałam.

— Tędy. — Lekarz poprowadził nas długim korytarzem do windy dla personelu.

W kabinie niemal przysnęłam na stojąco, mężczyźni o czymś rozmawiali, ale nie docierał do mnie sens słów. Przed budynkiem stał jakiś samochód.

— Gdzie jedziemy?

— Do mnie. Dojdiesz do siebie, wszystko ci wytłumaczę.

Cuchy Patrycji wciągnięte byle jak uwierały mnie coraz mocniej.

— A gdzie moje ubranie?

— Podobno zginęło? — Darek spojrzał na lekarza.

— Zdarza się, nie takie rzeczy ginęły pacjentom.

Zdawało mi się, że wieki całe nie widziałam miasta. Nie padał już śnieg, ale niebo było szare, ciężkie, jakby lada moment miało eksplodować jakąś apokaliptyczną nawałnicą. Wiatr szalał po ulicach. Samochód zatrzymał się na głównym skrzyżowaniu, a ja obserwowałam posępne widoki zza szyby.

— Patrz, jaki bidulek – wskazałam palcem chłopca, stojącego przed

wystawą cukierni. – Widzisz? Ten dzieciak w białej czapce. Pewnie jest głodny.

Darek zerknął we wskazaną przeze mnie stronę.

— On nie ma czapki, tylko takie jasne włosy. Idź do okulisty, Kalina.

— No... — na tamten moment nic mnie nie obchodziło. Ani jakoś mojego wzroku, ani to, że właśnie uciekłam z wariatkowa.

Ani to, że znów zobaczyłam Adasia.

Zajechaliśmy na miejsce. Darek, jak się okazało mieszkał w bardzo ładnym mieszkaniu na nowym osiedlu. Nie pytałam o nic. Zdjęłam buty i poprosiłam o herbatę. Na stole leżały gazety, pożółkła książka bez okładki i paczka papierosów. Nie wiedziałam, że pali.

— Mogę?

— Śmiało, choć nie wiem, czy to ci dobrze zrobi.

Pierwszy od nie pamiętam kiedy papieros. Zakręciło mi się w głowie. Wypiłam herbatę, połknęłam jakieś pastylki od tego znajomego lekarza i powiedziałam, że chcę się położyć.

Obudziłam się wypoczęta i głodna. Przeżyłam mały szok, zorientowawszy się, że leżę w nie swoim łóżku, było jasno, elektroniczny zegar wskazywał jedenastą. Powoli przypominałam sobie wszystkie

zdarzenia i zrozumiałam, gdzie jestem. Z głębi mieszkania rozległ się gwizd czajnika. Sięgając po przewieszony na krześle szlafrok frotte, zauważyłam datę w kalendarzu.

— Jasna cholera! — krzyknęłam.

Od wypadku minęło dziesięć dni.

— Coś się stało? — zapytał Darek, pojawiając się w progu sypialni.

— Nie, po prostu obudziłam się – prychnęłam.

Zdejmując w łazience szlafrok, uświadomiłam sobie nagle, co mam pod spodem. A raczej, czego nie mam. Może Patrycja, pomyślałam, czując jak płoną mi policzki. Ale ona nie przebierała by mnie w męski podkoszulek... Nie powinien tego robić, ale tyle razem przeszliśmy, że... nie traktował mnie jak zwykłej koleżanki. Ale to i tak nic nie znaczy. Nic zupełnie...

Bardzo długi i bardzo gorący prysznic był tym, czego akurat najbardziej potrzebowałam. Kuferek z kosmetykami od przyjaciółki znów okazał się wybawieniem. Potem zrobiliśmy kawę i kanapki.

Zapytałam obojętnym tonem, czy ktoś wie, gdzie jestem.

— Nikomu nie mówiłem — Darek potwierdził moje przypuszczenia. — Jeśli chcesz kogoś...

— Czemu zorganizowaliście mi ucieczkę ze szpitala? — przerwałam prędko, żeby nie zorientował się w sensie poprzedniego pytania. Policzki znów mi płonęły.

— To trochę skomplikowane... Zupełnie przypadkiem spotkałem Bartka, tego lekarza, który mi pomagał. Jest synem ordynatora, a poza tym to mój dobry kumpel. Zaczepił mnie, bo słyszał o wypadku. Wyobraź sobie, że to się notorycznie powtarza. Ksiądz przywozi kogoś po wypadku... zamyka w izolatce i odprawia jakieś modły, czy coś, faszeruje prochami. Tylko, że do tej pory nikt tego nie przeżył.

Brzmiało jak stek bzdur. Nie ukrywałam irytacji, wcisnęłam się głęboko w fotel i splotłam ręce na piersi. Stopa sama wybijała nerwowy rytm o podłogę. Nie umiem powiedzieć, co chciałam usłyszeć, ale na pewno nie coś takiego.

— I to tak po prostu się dzieje? Tyle ludzi o tym wie i nikt nic z tym nie robi? — Czułam, że lada moment wpadnę w szal, nie mieściło mi się to wszystko w głowie — Nikt nie zawiadomi policji, jakiejś instytucji? Kto na to pozwala?

— Pozwól mi skończyć. Ksiądz ma umowę ze starym Bartką, płaci grube pieniądze za milczenie. Naprawdę grube. No ale Bartek jest generalnie temu przeciwny... wymyślił, że powie ojcu, że dostał forszę za to, żeby cię wypuścić. Kalina, oni srają kasą, stary się nie połapie. Bartek powiedział, że jakoś to załagodzi, tylko mamy się już nie wtrącać i nie mieszać się do tego.

— Czy ty siebie słyszysz? Jak mam się nie mieszać, powinnam z tym iść do sądu, a najlepiej... No Darek, na litość boską, przecież nie można tego tak zostawić.

— A co zrobisz? Artykuł napiszesz? To brzmi tak absurdalnie, że Nowak tego nie puści. Poza tym ze starym Bartka lepiej nie zadzierać. Mówi ci coś nazwisko Kowacz?

— Mówi. Cholera.

Dziwne, że dopiero teraz skojarzyłam. Ten facet to szycha jakich mało. Wszystko mu wolno i to w majestacie prawa. Wygłupiłam się, wspominając o policji, kieszeń Kowacza jest ponoć bardzo, bardzo głęboka. Ale to nie znaczy, że nic nie można zrobić.

— Sama widzisz, lepiej się nie mieszać. — Darek patrzył mi prosto w oczy, przemawiał łagodnie i jednocześnie stanowczo, jakby tłumaczył dziecku że nie wolno szperać w szufladach tatusia.

— Mnie uratowaliście po znajomości, ile jeszcze wypadków się zdarzy?

— Co cię to obchodzi, ważne że...

— To mnie obchodzi, że o wszystkim wiem — weszłam mu w słowo. Miałam dosyć tej głupiej rozmowy. Oczywiście, nie miałam żadnego pomysłu, najmniejszego, co mogę zrobić, ale słuchanie takich smętów podniosło mi ciśnienie do zenitu. Zaczęłam ubierać buty.

— A ty gdzie, Kalina?

— Do domu. Spokojnie pomyśleć. — rękawy kurtki złośliwie uciekały, musiałam wyglądać jak szamocząca się wariatka.

— Zachowujesz się jak dzieciuch!

— A ty jak tchórz.

Trzasnęłam drzwiami.

*

Udało mi się ściągnąć ze spółdzielni fachowca, który sprawnie wymienił zamek. Na szczęście zawsze mam sporo zaskórniaków na czarną godzinę, schowanych w encyklopedii. Zapłaciłam ślusarzowi, zrobiłam sobie pyszną kawę, po czym oklapłam wygodnie na mój ukochany fotel. I co teraz? Wypadałoby odezwać się do Nowaka, wypadałoby zadzwonić do Darka i przeprosić, wypadałoby odezwać się do Patrycji, bo jeśli tego nie zrobię, ona śmiertelnie się obrazi. Wypadałoby zaplanować wycieczkę do lasu, ale kartkę z planem miałam w spodniach, które podobno zginęły...

Brzozowy zegar wskazywał dwunastą. Włączyłam komputer i napisałam maila do redakcji wraz z załączonym artykułem. Miałam ich kilka na dysku, żeby w razie takiej awaryjnej sytuacji nie kombinować jak koń pod górę. Poszło.

Znów rozsiadłam się w fotelu, kiedy zadzwonił telefon.

— Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Kaliną? – zapytał niski głos.

— Tak, słucham.

— Ksiądz Przybylski się kłania. Chciałbym się spotkać z panią i porozmawiać.

— Ja... Ja niechęcę już do tego wracać. Rodzice wyciągnęli mnie ze szpitala i się mną opiekują — skłamałam. – Chciałabym o wszystkim zapomnieć.

— Zaszły pewne okoliczności... No to nie jest rozmowa na telefon. Zgadza się pani na spotkanie?

— A czemu ksiądz chce ze mną rozmawiać? — spytałam dla zyskania na czasie. Po tym, co usłyszałam od Darka miałam ochotę trzasnąć słuchawką. Ale to by niczego nie rozwiązało, ksiądz zdobył mój numer telefonu, łatwo mógł zdobyć adres. — Właśnie ze mną?

— Bo żyje pani.

Umówiliśmy się przy dworcu na osiemnastą. Nigdy nie byłam tak przerażona spotkaniem z jakąś osobą. Ani tak podekscytowana. Każda minuta zdawała się ciągnąć niemiłosiernie, kręciłam się po mieszkaniu, szukając sobie zajęcia, aż niespodziewanie usłyszałam dzwonek do drzwi. To była Patrycja. Jak zwykle odpicowana do perfekcji, ale tym razem na jej buzi nie sposób było znaleźć cienia uśmiechu.

— Cześć — powiedziała krótko, po czym nie zdejmując butów, rozsiadła się na kanapie. — W co się ubierasz na choinkę?

— O w mordę! — jęknęłam, patrząc przeproszająco na przyjaciółkę. — Zapomniałam.

— Co się z tobą dzieje, Kalina? Tyle razy ci przypominałam, z resztą jak można zapomnieć o takiej imprezie?

— Najwyraźniej jest to możliwe — burknęłam, zła na siebie, bo faktycznie Pati nadawała o przyjęciu niemal codziennie od października. — Poza tym dopiero wyszłam ze szpitala.

— Wiem. Spałaś u Darka.

— Aaaaa, tu cię boli.

— Żebyś wiedziała. Bo ja się z nim spotykam. I nie podoba mi się, że...

— Jezu, Pati, tylko nie mów, że coś sobie pomyślałaś. Nawet nie zaczynaj. Wiesz dobrze, że Makowski mi się nie podoba. A tak na marginesie, żadne z was nie raczyło mi powiedzieć, że coś was łączy. Ani ty, ani on. A spałam u niego, bo zasnąłam na siedząco, jak tylko wróciliśmy ze szpitala. Miałam jechać do ciebie! — Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam na nią krzyczeć.

Patrycja rozpromieniła się natychmiast i zaczęła opowiadać o Tak Niezwykłych Randkach Z Makowskim. Słuchałam, potakiwałam a w głębi

duży czułam się jak kompletna idiotka. Jak mogłam coś sobie wyobrazić... Jeszcze rano wydawało mi się, że on... Przecież zajął się mną bardziej niż należało, ten jego podkoszulek znaczył... coś zupełnie innego, niż próbowałam sobie wmówić. Cholera, nieważne.

Obiecałam Patrycji, że zjawię się na przyjęciu i w końcu wyszła. Dobra, pojawię się, walnę drinka, zmyję się po angielsku i będę miała spokój.

Wskazówki brzożowego zegara jakoś nie chciały nabrać wigoru, więc w końcu po prostu ubrałam się i wyszłam. Dużo wcześniej niż zamierzałam, ale to kolejne z moich dziwactw – na każde umówione spotkanie przychodzę dużo za wcześnie. Jest to głupie i niepraktyczne, ale nie umiem siedzieć i czekać beczynn timer.

Ku mojemu zdziwieniu, ksiądz już stał przed Dworcem. W żołądku wszystko mi się kotłowało z przejęcia, ciężko było mi nie okazywać zdenerwowania.

— Niech będzie pochwalony – przywitał się.

Ubrany był w ogromną puchową kurtkę, z której rękawów ledwo co widać było czubki palców.

— Dobry wieczór — Jakoś nie czułam potrzeby odpowiadania sakramentalnym pozdrowieniem. – Proszę księdza, skoro się spotkaliśmy, proszę od razu przejść do rzeczy.

Spojrzał na mnie łagodnie i niewymuszonym gestem ujął pod rękę.

— Przejdźmy się może, bo zamarzniemy. I jeśli pani pozwoli, opowiem wszystko od początku.

— No dobrze. Możemy się przejść.

Ksiądz wyciągnął spod kurtki pożąłką gazetę i pokazał mi nagłówek: *Makabryczne odkrycie w okolicach Malin.*

— W szopie, którą pani widziała znaleziono wiele lat temu ciała dwóch osób, kobiety i mężczyzny. Postanowili osiedlić się na odludziu, żyć w dziczy. Prosto, daleko od cywilizacji.

— Ksiądz wie, kto ich zamordował?

— Wiem. Zrobili to niemal wszyscy mieszkańcy Malin. Odkryli ich kryjówkę i urządzili im lincz. Wcześniej mieszkali tu. – Ksiądz wskazał obskurny budynek. Ten sam, o którym mówił Adaś.

— Widzi pani te zabite deskami okna na rogu? Tam dokładnie mieszkali, nikt nie wie, czemu odeszli. Od tamtego czasu nikt nie może się tam zadomowić. Lokatorzy zmieniali się tak często, że miejsce to zyskało złą opinię. Podejźmy tam, dobrze?

Ksiądz przystanął przed drzwiami dwupiętrowej kamienicy.

— Czuje coś pani?

— Ale co?

— Proszę się skoncentrować.

— Takie dziwne... Jakby ciepło czy mrowienie na karku. Nie wiem jak to nazwać.

— Muszę pani wyjaśnić kolejną sprawę. Od tego budynku, na zachód rozciąga się teren, zwany przez duchownych Labiryntem.

— Przez duchownych?

— O tym wie nawet Papież. Jest wiele takich miejsc na świecie. Kumulują się tu pewne siły, które wpływają na życie, postępowanie i psychikę ludzi. Tylko nieliczni potrafią wyczuć różnicę, ale pole Labiryntu mimo wszystko oddziałuje na wszystko, co żyje.

— Nie mogę uwierzyć, że opowiada mi ksiądz takie rzeczy tak spokojnie, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

— Wierzy mi pani?

— Po tym co widziałam, wierzę. Ale...

— Co niedzielę opowiadam setkom ludzi o człowieku, który wskrzeszał, chodził po wodzie i czynił cuda. Opowiadam z takim samym spokojem. Wierzę w to co mówię i ludzie, którzy mnie słuchają również w to wierzą. Ten świat nie jest tylko tym, co widzimy. I myślę, że pani doświadczyła tego, co niewidzialne. Mam rację?

Kiwnęłam głową. Ksiądz zamyślił się chwilę, po czym kontynuował opowieść.

— Rodzina, która została zamordowana, najwyraźniej uległa Pustyni. Najpierw żyli w tym domu, jedynym na terenie jej pola. Później postanowili zamieszkać w Labiryncie. Nie jest to zwykły las, co pewnie pani zauważyła. Są w nim miejsca urocze, jakby wyjęte z baśni, są też mroczne i posępne. Takie, w których czai się zło. Była pani kiedyś w Malinach?

— Nie, nie miałam okazji.

— Część wsi zachodzi na obszar Pustyni. Ludzie tracili tam zdrowie, zmysły, młodo umierali. Domy popadły w ruinę, a wieś zaczęła rozwijać się w przeciwnym kierunku. Droga, na której mieliście wypadek ciągnie się na tym kawałku przez obszar Pustyni. Jest zamknięta od wielu lat. Istnieje tam czarny punkt, gdzie zdarzają się po prostu bezsensowne wypadki. Ludzie wjeżdżają w drzewa samochodami i najczęściej giną. A jeśli uda im się przeżyć wypadek tracą zmysły. Prędzej czy później...

— Ale czemu ludzie tam w ogóle skręcają?

— Zjawy ich tam prowadzą. Duchy ludzi obciążonych klątwą podnoszą szlaban i wabią do siebie. Niech pani nie pyta, dlaczego...

— Dalej nie rozumiem. Ale zaraz, ksiądz był w szpitalu

— Mam umowę z ordynatorem. Do waszego szpitala jest stamtąd bliżej,

ofiary, jeśli jeszcze żyją, trafiają właśnie tam. Nie udało mi się jak dotąd pomóc nikomu, ale zawsze trzeba próbować. I modlić się.

— Ordynator o wszystkim wie?!

— Skądże, naprawdę niewiele osób zna prawdę.

— Czemu ksiądz mi to wszystko mówi...?

— Pani ma wyjątkowy dar. Rozmawiała pani z chłopcem, który snuje się po świecie jako zjawa od wielu lat.

— A inni go nie widzieli?

— Ależ widzieli. Ale przechodzili obojętnie obok niego. Zauważała pani, że niektórzy ludzie bardziej rzucają się w oczy od innych? Są też tacy, których nie zauważamy, są jakby szarzy, przeźroczyści.

— Ale... to wśród ludzi, których widuję na ulicach są również duchy?

— Zjawy. Są.

— O matko. Ja naprawdę muszę się z tym oswoić. Ja tak naprawdę to nie mogę uwierzyć. To znaczy nie wiem czemu, ale wierzę, tylko nie mogę sobie tego poukładać.

— Nie może pani zrozumieć?

— No właśnie.

— Może nie wszystkie miejsca na ziemi muszą należeć do nas? Nie wszędzie powinniśmy się pchać. Wracajmy już.

Powoli, powłócząc nogami, spacerowaliśmy po dziurawym chodniku. Śnieg skrzypiał pod nogami, z granatowego nieba znów zaczęły prószyć puchate śnieżynki.

— Dlaczego ksiądz zdecydował mi się o tym powiedzieć? Tylko po to, żeby mnie oświecić?

— Niezupełnie. Tylko chciałem to przemyśleć.

Zatrzymałam się. Spojrzałam mu prosto w oczy:

— Proszę nie trzymać mnie w niepewności. Ja wierzę we wszystko, co mi ksiądz powiedział. Jakbym wiedziała o tym wszystkim już od dawna, tylko zapomniała. To strasznie dziwne uczucie.

— Myślałem nad pewnym rytuałem. Moglibyśmy spróbować... Tak, właśnie spróbować, bo nie wiem czy to się uda. To coś w rodzaju egzorcyzmów. Potrzeba do nich dwóch osób, które wyczuwają Pustynię. Długo szukałem kogoś takiego, miałem nadzieję znaleźć wśród ofiar, które miały tam wypadek i przeżyły. Ale to byli zwykli ludzie zwabieni przez zjawy. Tak jak pani kolega. Gdyby się udało, moglibyśmy sprawić, żeby w okolicy chaty nie wydarzyło się już żadne nieszczęście.

Poczułam strach, przed tym, co miało nastąpić.

— Czy Darek...

— On jest już naznaczony, któraś ze zjaw zagnieździła się w jego duszy i powoli opanuje umysł. Pani go ochroniła na chwilę, ale nie osunęła nieuniknionego. Koniec może być tylko jeden.

— Na czym miałyby to polegać? — spytałam, choć wiedziałam, że cokolwiek powie, nie cofnę się.

— Coś w rodzaju modlitwy zapewniającej ochronę ludzi, przemierzających tę ziemię. I odesłanie potępionych dusz...

— Dokąd?

Ksiądz milczał, jego oczy zdawały się przenikać mnie na wylot.

— Kiedy zaczynamy?

*

Droga zdawała się nie mieć końca. Ksiądz prowadził swój rozklekotany samochód powoli, opowiadając przy okazji, jak został duchownym i jak poznał historię zamordowanej rodziny, która przygarnęła chłopca sierotę. Nie pytałam, w jaki sposób zginęli, on natomiast celowo omijał ten temat. Tak mi się wydawało.

Kiedy skręciliśmy w las, ciemny i przerażający, dreszcz przeszedł mi po plecach. Nagle między drzewami dostrzegłam jakiś ludzi.

— Kto to jest? Co oni tu robią po ciemku? Czy oni... — Skuliłam się w fotelu.

— Nie bój się. Nic ci nie grozi.

— Ale kto to?

— Przeklęte dusze, które nie mogą zaznać spokoju.

Z każdą chwilą dostrzegałam ich coraz więcej. Wszyscy w tej samej pozycji – ręce spuszczone wzdłuż ciała, wzrok wbity w ziemię. Zerwał się wiatr, a oni kołysali się wraz z każdym podmuchem. Widok był upiorny. Mężczyźni i kobiety, osoby starsze i młode. Nawet dzieci.

— Czy oni wszyscy ich zabili?!

— Tak. Dasz radę? — zapytał szorstko. – Czy wracamy?

— Jedziemy — odpowiedziałam stanowczo, choć mój strach zdawał się sięgać zenitu.

Przejechaliśmy przez las i zatrzymaliśmy się pod małym kościołem z brązowej cegły. Kiedy wyszliśmy z samochodu, omal nie przewrócił mnie podmuch wiatru.

Ksiądz Józef otworzył drzwi kaplicy i zapalił światło. Przebrał się w zakrystii w sutannę, po czym kiwnął ręką w stronę konfesjonału. Gdy już się wyspowiadałam, dał mi jakieś zawiniątko.

— Co to?

— Relikwie. Krzyż, woda święcona. I modlitewnik. Gotowa?

— Gotowa.

Spowiedź dodała mi otuchy. Po raz pierwszy od około pięciu lat, moje sumienie było krystalicznie czyste.

Wyruszyliśmy do lasu. Józef doskonale orientował się w terenie. Nie mam pojęcia, jak udawało mu się trzymać się ścieżki. Wiatr śmigał między drzewami, świszcząc i zawodząc. Wzrok przyzwyczyił się do mroku, ale nie rozglądałam się na boki. Bałam się zobaczyć te potępione dusze. Nagle usłyszałam głośny pisk. To był głos dziecka. Tuż obok mnie przebiegł jasnowłosy chłopiec. Potknął się, wstał, biegł dalej, klucząc między opasłymi pniami drzew.

— Nie przystawaj, idź dalej.

Poczułam ostry chłód, odmrożone dłonie zaczęły boleśnie kłuć. Usłyszałam za sobą kroki. Bałam się odwrócić, więc zacisnęłam ciasno ręce na piersi i nie odrywając wzroku od pleców Józka, powoli szłam za nim. Postać idąca za mną wyprzedziła mnie i rzuciła w pogoń za chłopcem. Za chwile pojawiły się następne.

— Nie bój się. Nic ci nie zrobią, pamiętaj – powtarzałam sobie pod nosem.

Kiedy minęły mnie ostatnie zjawy, dotarliśmy do szopy. Tłum zebrał się wokół niej. Dwóch mężczyzn zamykało drzwi na skobel z wielką kłódką. Ze środka dobiegł szloch kobiety. Tłum śmiał się. Krzyczeli, sypały się wyzwiska. Kilka osób opluło drzwi szopy, klnąc siarczyście. Do zbiegowiska podbiegł Adaś, krzycząc.

— Tato! Mamusiu! — chłopiec walił w deski maleńkimi piąstkami. Łzy parzyły mnie w twarz.

— No, otwórz drzwi rodzicom – wychrypiała jedna ze zjaw.

Tłum ryknął śmiechem, po czym jeden po drugim zaczęli niknąć między drzewami jakby rozpływali się w powietrzu.

— O matko – wydusiłam z siebie. – Oni...

— Tak, zrobili to. Zostawili ich w środku związanych jak zwierzęta na śmierć głodową. Wszyscy oprawcy zginęli w niedługi czas potem. Musimy zaczynać.

— Co mam robić?

— Uklęknij.

Wyjął okrągły opłatek i stanął przede mną. Czułam jak śnieg, topniejąc

obejmuje wilgocią moje kolana. Uniosłam głowę, ksiądz udzielił mi komunii i położył dłoń na czubku głowy. Mały kawałek Hostii rozpułynał się na języku. Nie zauważyłam, kiedy w ręku duchownego pojawił się złoty kielich. Przytknął mi do warg brzeg naczynia, wino spłynęło do gardła, rozchodzący się od środka żar zdawał się sprawiać, że powietrze wokół zafalowało. Zakręciło mi się w głowie. Odsunął kielich dopiero, gdy wypitałam wszystko. Kazał mi wstać.

Drzwi chaty uchylily się na oścież, padający ze środka blask rozświetlił polanę pomarańczową poświatą. Zza drzew wyłoniły się milczące postacie. Otoczenie zatraciło proporcje, bardziej obserwowałam wszystko niż uczestniczyłam. Lęk zamienił się niepostrzeżenie w poczucie jedności z uczestnikami ceremonii.

Zjawy otoczyły mnie ciasnym kręgiem i wyciągnęły ręce, błysnęły srebrne bransoletki. Na całym ciele czułam dotyk dłoni, które uniosły mnie nad ziemię. Nie byłam w stanie się poruszyć, słyszałam dźwięk dartego materiału i niecierpliwe szepty.

Postacie o nieruchomych twarzach cofnęły się, zostawiając mnie nagą i bosą na udeptanym dziesiątkami stóp śniegu. Nie czułam mrozu, wewnętrzne ciepło rozlewało się po całym ciele.

— Czas na rytuał oczyszczenia i ofiarę — słowa księdza dobiegały zewsząd, słyszałam je w środku głowy.

W drzwiach domku pojawiła się kobieca postać. Patrycja w srebrzystej sukni do ziemi prezentowała się jeszcze piękniej, niż zwykle. Nie

docierało do mnie poczucie miejsca i czasu, wiedziałam tylko, że coś ma się stać. Coś co odmieni życie, sprawi, że nic nie będzie już takie samo.

Ksiądz ujął mą dłoń i poprowadził w stronę chaty.

Środek izby zajmował prosty stół z sękatych desek, wokół płonęły dziesiątki świec. Na małym ołtarzyku w rogu, pod wizerunkiem mężczyzny o wyrazistych rysach, którego twarz w chybottliwym blasku zdawała się drgać, nieustannie zmieniając wyraz, płonął oliwny kaganek. Zamknęli drzwi i ułożyli mnie na plecach, na kostkach nóg i nadgarstkach zapięli łańcuchy przytwierdzone do rogów stołu. Leżałam rozkrzyżowana na nieheblowanych deskach, ksiądz stanął przede mną. Patrycja błyszczącym ostrzem przeciągnęła mi po nadgarstku, cicho liczyła krople krwi kapiące do złotego kielicha. Podała naczynie swemu mistrzowi. Uniósł kielich nad głowę, chwilę trwał z zamkniętymi oczyma i wreszcie zaczął pić. Otwierał coraz szerzej powieki, spojrzenie nabierało blasku i hipnotyzującej mocy. Rozpięła mu sutannę i ściągnęła z ramion, czarny materiał spłynął na ziemię. Zbliżył się krawędzi, jego wzrok przesuwiał się po moim ciele, zdawał się wypalać na skórze piętno, którego już zawsze będę świadoma. Patrycja włożyła mi w usta kłęb materiału i przewięzała opaską, następnie podeszła w stronę ołtarzyka i po chwili pojawiła się z boku, trzymając nade mną oliwny kaganek. Przechyliła go, płonące krople kapały mi na skórę, gasnąc w oparach bólu. Szarpałam łańcuchy, z zakneblowanego gardła dobywały się tylko jęki.

— Musisz być przytomna i czuć wszystko! — Mocniej przechyliła naczynie, wrzące strumyki rozlały mi się na piersi. Fale bólu przenikały

na wskroś, gdy kolejne krople spadły na brzuch i łono. — Nasz pan żąda najwyższej ofiary!

Ksiądz pochylał się coraz mocniej, dotknął ustami palących ran, legł na mnie całym ciałem, naparł biodrami. Wyprężyłam się konwulsyjnie i poczułam go w środku. Patrycja powoli spuszczała płonące krople na jego plecy, a on jęczał w takt odmierzanej rytmicznie tortury i pchał głębiej, coraz mocniej.

Kapłanka uklękła i złożyła pocałunek na moim czole. Usłyszałam cichy szept:

— Długo czekałam na ten moment, tak strasznie długo. Ale wiedziałam, że w końcu nadejdzie... — Ksiądz zwolnił, jakby też chciał posłuchać. A może tylko pragnął przedłużyć upiorny rytuał. — Zawsze pragnęłaś być lepsza, udawałaś przyjaźń, by móc przywłaszczać sobie wszystko, co miało dla nie wartość. W szkole podrzucałaś mi ściągawki, ale z jakimś malutkim błędem, żeby tylko mieć lepszy stopień, choćby to miały być plusik zaledwie. Wyciągałaś mi z tornistra pamiętnik, kiedy pani wzywała mnie do tablicy, żeby poznać moje myśli i najskrytsze marzenia. — Nie czułam już bólu, zamknęłam powieki, lecz Patrycja nie pozwoliła mi odpłynąć. Płomieniem świecy dotknęła mojego boku. — Myślałaś, że nie wiedziałam? Kiedy zakochałam się w Darku, byłam gotowa oddać mu wszystko i pozwolić na wszystko... Właśnie jemu i tylko jemu! Ty jedna wiedziałaś, że byłby pierwszy, że nigdy nie miałam mężczyzny, bo wierzyłam, że to będzie właśnie on. W liceum biegałam na randki, ale nikt nie wiedział, że to Darek śni mi się po nocach, że gotowa jestem na jeden jego gest, na jedno skinienie palca... Nawet on nie wiedział, tylko

mój pamiętnik. I ty! Więc go uwiodłaś i zostawiłaś. Tylko po to, żeby być pierwsza, żebym nie mogła ofiarować mu całej siebie.

Szarpnęłam łańcuchami, chciałam krzyknąć, że to nie było tak, że się myli! Wypiliśmy za dużo wina, ktoś wyjął te błękitne pastylki, nie wiem kto, może właśnie Darek, świat rozplynął się, i wtedy to się stało...

— Nic do niego nie czułaś, miał tylko potwierdzić, że jesteś lepsza. Ale nie przewidziałaś, że to się może skończyć inaczej, niż sobie zaplanowałaś. Długo zwlekałaś, aż było za późno na usunięcie ciąży. Dużo za późno. Urodziłaś to dziecko. Ale stało się nieszczęście i umarło. Przynajmniej tak ci powiedziano. To był chłopiec, prawda? — Ksiądz przestał na chwilę, jakby zbierając siły przed ostatecznym spełnieniem. Czułam, że przytomnieję, choć najbardziej na świecie pragnęłam umrzeć. Każde jej słowo paliło bardziej niż poparzona skóra. — Miał jasne włosy, inne niż ty i Darek. Nie mogłam pozwolić, żebyś zabrała mi Darka, łapiąc go na dziecko. Myślałaś, że nie wiem? Że zwierzysz mi się kiedyś, tak przypadkowo, udając pijaną, gdy już zdobędę go dla siebie, żeby bardziej bolało? Ale ja wiedziałam o wszystkim, bo też potrafię kraść pamiętniki... I potrafię być cierpliwa. Chciałam rzucić się pod pociąg. Tylko że to by niczego nie rozwiązało, uroniłabyś łzę nad moim grobem i poszukała sobie innej ofiary, która ci zaufa. Ale już mi nie zależało na niczym, poszłam na dworzec... Kiedy pociąg zbliżał się, kiedy tylko krok dzielił mnie od zapomnienia, czyjeś ręce odciągnęły mnie, wyrwały z objęć śmierci. To był Józef. Zwierzyłam mu się i czekałam potępienia, wytartych słów o przebaczeniu bliźniemu. Ale on mnie nie potępił, wskazał drogę ku Panu, który nikogo nie zostawia samotnym. Trzeba mu tylko powierzyć duszę i bez wahania wypełniać jego wolę. Gdy nadchodzi

czas, bracia budują w lesie prostą chatę z bali i zdejmują szlaban u wjazdu na tamtą zapomnianą drogę. Wysyłamy chłopca i czekamy, aż Pan wskaże mu tego, kogo wybrał na kolejną ofiarę. A Pan nigdy nie każe długo czekać. Zagubiony chłopiec prosi o podwiezienie, pokazuje narysowany niewprawną rączką plan okolicy, któż nie pomoże zmarzniętemu, głodnemu dziecku, któż mu się oprze? Wreszcie nadeszła twoja kolej. A po tobie będą następni...

Józef zawył chrapliwie i ostatni raz naparł biodrami. Dyszał jak pies, jego cuchnący oddech dusił niczym smród gnijących odpadków. Zsunął się ze mnie i zaczął wdziewać sutannę. Niektóre świece zdążyły się dopalić, pomarańczowe płomyki gasły, puszczając stróżki dymu.

— Nie sprzeciwiaj się woli Pana córko, bo on cię wybrał. — Józef zaczął rozpinać mi obręcze na rękach. — Uwolnię cię, żebyś mogła oddać mu hołd, nim dopełni się rytuał. Klęknij przed ołtarzem proś o przyjęcie ofiary z twojego grzesznego ciała.

Patrycja bez słowa wyjęła lśniący sztylet i położyła przed wizerunkiem szatana. Zamknęli za sobą drzwi, sztaba opadła z głuchym łoskotem.

Przekręciłam się na bok, poczułam zimno i ból poparzonej skóry. Musieli mieć wszystko dobrze obliczone, narkotyk przestawał działać w momencie, który uznali za najwłaściwszy. Zza ściany dochodziły niewyraźne głosy, leżałam wstrząsana drgawkami, przed oczyma przesuwwały się kolejne obrazy. *Płaczące niemowlę o jasnych włosach... blady chłopiec wołający: mamó... Darek, którego wyciągam z wraku samochodu, choć niczego bardziej nie*

pragnę, niż zostawić go tam... Samotna chata w lesie, za drzew wychyla się postać, którą biorę początkowo za kobietę... Myślę, że ksiądz niesie wybawienie, ale on powala mnie na ziemię, zdiera ubranie i brutalnie gwałci. Potem nakazuje milczenie, bo i tak nikt nie uwierzy, a on mnie znajdzie... Najlepiej, jeśli zapomnę na zawsze. Więc zapominam, nauczyłam się tego, musiałam... Tak jak o tylu innych rzeczach...

Czasem tylko wracają w snach...

W chacie zrobiło się duszno i gorąco. Przez szpary w ścianach sączyły się zrazu ledwie dostrzegalne, potem coraz gęstsze smugi szarego dymu. Gasły kolejne świece. Zwlokłam się ze stołu, ale zdrętwiałe ciało odmawiało posłuszeństwa, upadłam na klepisko i na czworakach popęzłam w stronę drzwi. Waliłam pięściami, o szpary między deskami zdarłam do krwi paznokcie. Trzask płomieni stawał się coraz wyraźniejszy. Wstałam jakoś, dymu było coraz więcej, w półmroku macałam rozpaczliwie ściany w poszukiwaniu okna.

Ale chata nie miała okien.

Coś błysnęło na ołtarzu, ujęłam sztylet. Przyłożyłam lśniące ostrze do nadgarstka. Na skórze pojawiły się czarne krople...

Zgrzytnęła sztaba, drzwi rozwarły się z jęklwym skrzypieniem.

Chłopiec o jasnych włosach podbiegł i chwycił mnie za rękę.

— Mamusiu chodź, oni niedługo skończą modlitwę i wrócą.

Biegłam boso po śniegu, trzymając się maleńkiej dłoni, gałęzie raniły do krwi, chłuszcząc skórę jak różgi. Brakowało mi już tchu, kiedy wypadliśmy z lasu. Niedaleko na tle rozgwieżdżonego nieba zamajaczyła sylwetka wiejskiego kościołka. Pamiętałam, gdzie ksiądz zostawił samochód, kluczyki tkwiły w stacyjce. Szok jeszcze nie minął, nie byłam w stanie myśleć o niczym innym niż ucieczka, byle dalej stamtąd, byle zostawić koszmar za sobą. Chłopiec już wskoczył na tylne siedzenie, kiedy wsuwałam się za kierownicę. Silnik krztusił się i dławił, ale w końcu zaskoczył. Nigdy nie próbowałam prowadzić boso, ale nie zastanawiałam się nad tym, przemrożone stopy wymacały jakoś pedały, wyjechałam z kościelnego podwórza zapamiętaną wcześniej drogą.

Wnętrze pojazdu rozgrzewało się powoli, rany na całym ciele piekły coraz mocniej. Miałam nadzieję, że zdołam dojechać jakoś do domu, klucze od mieszkania zostały w ubraniu, ale był najmniejszy z moich problemów. Gubiłam je już tyle razy, że nauczona ostatnim doświadczeniem i kilkoma wymuszonymi noclegami u sąsiadki, owinęłam w folię drugi komplet i zagrzebałam pod warstwą ziemi w doniczce na klatce schodowej. Przejeżdżając obok dworca, zsunęłam się najniżej jak mogłam, zdawało mi się, że latarnie rozświetlają wnętrze samochodu niczym reflektory na scenie. Lecz ulice były puste. Podjazd pod mój blok tarasowała hałda zgarniętego śniegu, nie było siły, żeby bliżej przejechać. W żadnym z okien nie paliło się światło. Pokazałam chłopcu wejście do właściwej klatki schodowej i wyszeptałam kod domofonu. Podbiegł tam i czekał, przytrzymując uchylone drzwi. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, a nie było co zwlekać, aż ktoś

postanowi wyprowadzić psa na spacer i zainteresuje się małym sierotą. Wzięłam głęboki oddech i wysiadłam z samochodu. Pewnie nie jestem normalna, ale miałam sprawdzony sposób na sytuacje, w których inni chcieliby zapaść się pod ziemię ze wstydu. Po prostu reaguję odwrotnie niżby ktokolwiek się spodziewał. Kilkadziesiąt metrów pokonałam truchtem, dławiąc histeryczny chichot na myśl, że wracałam już do domu w najróżniejszym stanie, ale nigdy kompletnie nago. Zerkałam w ciemne okna, wyobrażając sobie, jak pomacham ręką, jeśli w którymś zabłyśnie światło. Czyste wariactwo, ale przynajmniej działało.

Nie zapalałam światła, między drugim a trzecim piętrem wyjęłam zawiniątko z doniczki i prędko pokonałam ostatnie stopnie. Za sobą słyszałam ciche kroki chłopca. Gdy po omacku wsuwałam klucz w zamek, piętro wyżej skrzypnęły drzwi i klatka schodowa rozbłysła światłem. Kroki na górze zaczęły się zbliżać, przekręciłam klucz i wpadłam do mieszkania. Chłopiec cicho zamknął drzwi.

Leżąc w wannie powoli dochodziłam do siebie. A raczej próbowałam. Powracające krążenie napełniało odmrożone stopy trudnym do wyobrażenia bólem, poparzona skóra piekła jakby ktoś posypywał rany solą. Pragnęłam zwinąć się w kłębek i znów o wszystkim zapomnieć. Ale nie mogłam, nie tym razem. Bo Józef wiedział, gdzie mieszkam i miał moje klucze. On na pewno nie zapomni.

I był ze mną chłopiec.

Włożyłam szlafrok, pokuśtykałam do drzwi i zamknęłam na łańcuch. Adaś spał na sofie, nie zdjął nawet cienkiej kurtki i butów. Przykryłam go

kocem. Wiedziałam, że jeśli pójdę do glin, zabiorą mi chłopca. A on przecież nie jest sierotą, jego mama i tata żyją, tylko... nie są rodziną. Mogłabym opowiedzieć wszystko Darkowi, może by zrozumiał, ale czy by zaakceptował? Powiem mu, muszę, bo to jedyna szansa. Dla nas, a przede wszystkim dla Adasia. Tak, powiem, lecz jeszcze nie teraz. Najpierw muszę sprawdzić, upewnić się, że... A na to potrzeba paru tygodni.

Nalałam do wysokiej szklanki ginu, nie przesadzając z tonikiem i usiadłam przed komputerem. Drink pomógł zebrać myśli i odsunąć wizję zapalenia płuc. Opisałam najlepiej jak umiałam wszystkie wydarzenia. Kiedy skończyłam, świt wsączał się przez okno, przemarznięte wróble stukały w parapet, wydziobując resztki okruchów. Pozostało wysłać kilka wiadomości. Znałam nazwisko ordynatora szpitala, więc łatwo znalazłam adres mailowy jego syna, namiary Patrycji miałam w skrzynce, kontaktu do księdza nie musiałam szukać, ona mu wszystko przekaże. Napisałam, że z mojej strony nic im nie grozi tak długo, jak długo nikt z ich sekty nie pojawi się w pobliżu albo nie dowiem się z gazet o nowym wypadku w tamtej okolicy. Będę milczeć, obciążę sumienie, poprzestając na modlitwie za dusze ich ofiar, ale coś za coś – Adaś zostaje u mnie. Opis miejsc i całej historii wraz z jej głównymi aktorami wysyłam do kilku zaufanych osób, które mają ją rozpowszechnić, jeśli cokolwiek mi się stanie. Policja znajdzie w lesie dość dowodów.

Komputer zaczął zamulać, jakby maszynie nie podobało się, co właśnie robię. Zdążyłam wysłać wszystkie wiadomości, ekran zamigotał i zgasł. Swoje zrobiłam, musiałam odpocząć, ochłonać... jakimś cudem zasnąć.

Wzdrygnęłam na dźwięk telefonu. Spojrzałam tylko na wyświetlacz, by sprawdzić numer. Dzwonił Darek. Na pewno martwił się po tej szopce, którą odstawiłam. Niechętnie, bo niechętnie ale odebrałam.

— Nie wiesz może, gdzie jest Patrycja? Miała być na imprezie, a nie odbiera telefonu...

— Nie wiem, Darek. Też nie mogę się z nią skontaktować. — skłamałam gładko, choć z oczu popłynęły łzy.

— A ty nie przychodzisz? Chodź, fajnie jest...

— Nie, nie przyjdę.

— Wszystko w porządku?

— Żyję. Sorry za tego focha, rano. I jeszcze jedno, powiadom mnie, kiedy zjawi się Blondyna, co? Nie musi dzwonić, tylko daj mi znać.

Darek już nie zadzwonił tego wieczoru. Ani nazajutrz, ani przez następny tydzień. Patrycja zniknęła, słuch o niej zaginął.

*

Ranek przywitał miasto zadymką, płatki śniegu wirowały za oknem, oblepiając szyby delikatną firanką z mikroskopijnych, kunsztownie ułożonych kryształków lodu. Adaś spał jeszcze. Siedziałam na wysokim krześle w kuchni i patrzyłam na podłużny plastikowy przedmiot z

prostokątnym okienkiem. Test ciążowy wyglądał niepozornie, kosztował raptem parę złotych. Obok leżał telefon z wbitym numerem Darka. Wyobraziłam sobie, jak dotykam przycisku z zieloną słuchawką. Coś mu dźwięczy przy łóżku, przeciera zaspane oczy, spogląda na wyświetlacz i na twarzy pojawia mu się ten zniewalający uśmiech. Słyszę ciepłe, przeznaczone tylko dla mnie powitanie...

Od paru minut znałam wynik testu. Sięgnęłam po aparat i wcisnęłam czerwoną słuchawkę.

Wyspa

Nigdy nie wiem, kiedy nadejdzie ten moment, ale czuję jego zbliżanie się. To nic uchwytnego, gorszy sen i brak apetytu, niepokój bez wyraźnego powodu. I któregoś dnia czuję, że już nie ma odwrotu, trzeba uciec. Od świata, telefonów i życzliwych przyjaciół. Wyciągam z szafy mały plecak, nieodmiennie okazuje się, że mam nawet trochę zapasów – parę puszek, suchary i zupki w proszku – choć nie potrafię przypomnieć sobie, żebym je kupował.

Wychodzę o świcie z domu, uśpione jeszcze miasto zdaje się nie zauważać mnie wcale. Ruch na wylotówce niewielki, siadam na przydrożnym słupku i czekam na okazję. Nie macham na pierwsze lepsze auto, choć nie potrafię dokładnie powiedzieć, czym się kieruję. Ale samochody, jak ludzie, mają swój styl, w jakiś przedziwny sposób, po ich wyglądzie i zachowaniu na szosie, można wyczuć, kto siedzi w środku...

Ciemny combiak przeciętnej klasy zbliżał się dość wolno, zdążyło wyminąć go kilka samochodów, nim w ogóle zwróciłem na niego uwagę. Nie uniosłem ręki, prowadziłem go tylko wzrokiem, a on zwalniał wyraźnie. Stanął w końcu trochę dalej, jakby dając mi czas do namysłu.

Albo sobie.

Chwyciłem plecak w jedną rękę, w drugą śpiwór i namiot, i przygotowany w duchu na jakiś numer, w stylu nagłego pisku opon i

wysuwającej się przez okno dłoni z uniesionym środkowym palcem, podszedłem bliżej. Bryka wciąż stała. Tylne drzwiczki odemknęły się odrobinę, więc zwyczajnie uchyliłem je i wsiałem, rzucając klamoty na siedzenie. Wóz ruszył płynnie.

Kobieta za kierownicą nie spytała, dokąd jadę, w ogóle nie powiedziała słowa, jakby nie zauważyła nawet, że ma pasażera. Nie odzywałem się i ja, bo jakoś nie potrafiłem zmusić się do uprzejmej konwersacji, na której wyraźnie jej nie zależało. No i w zasadzie było mi obojętne, gdzie mnie zostawi. Omijałem wzrokiem drogowskazy, trochę z przekory, a trochę dlatego, żeby ucieczka nabrała większego sensu. Ułożyłem lepiej swoje rzeczy, zsunąłem się na fotelu, opierając głowę o zagłówek. Ona dalej nic nie mówiła, przymknąłem oczy...

W jakiś sposób dotarło do mnie, że zwalniamy, odemknąłem powieki. Zatrzymała się na skraju lasu, przez sekundę widziałem jej oczy we wstecznym lusterku, zawahała się jakby i odemknęła drzwiczki. Nie oglądając się, przekroczyła pobocze i zagłębiła się między drzewa. Położyłem rękę na plecaku i popatrzyłem w tamtą stronę. Mijały minuty, a ona nie wracała, zauważyłem, że zabrała kluczyki. Wysiałem i zapaliłem szluga. Za plecami słychać było od czasu do czasu narastający warkot, który cichł prędko. Zdeptałem peta i ruszyłem w las, trochę w bok od miejsca, gdzie poszła kobieta. Nie pytała, gdzie mnie zwieść, a ja na to przystałem, więc i nie zdziwi się, kiedy wróci do pustego samochodu. Ludzie zadają tyle niepotrzebnych pytań, zapominając, iż rzeczy ważne kryją się głębiej.

Szedłem przed siebie, nie pilnując kierunku, ciesząc się w duchu brakiem

ludzkich śladów. Nie wiedziałem, gdzie jestem oraz która jest godzina i było mi to zupełnie obojętne. Wyobraziłem sobie, że drzewa stają się nieco rzadsze, w prześwicie widać odbijające się od tafli wody promienie słońca. Ale to by pewnie było zbyt piękne, zadowoliliby mnie polana z miejscem na małe ognisko, które nie przyciągnie nikogo. Jednak las stawał się coraz gęstszy.

Parę razy zdawało mi się, że gdzieś między drzewami mignął cień, może płochliwa sarna kryła się na mój widok, a może to było tylko złudzenie, bo nie słyszałem nawet trzaśnięcia gałązki. Usiadłem, żeby zapalić papierosa. Cień pojawił się znowu, zdawało mi się, że dostrzegam w nim zarys ludzkiej sylwetki. Gdy nie poruszałem się dłuższą chwilę, kształt stał się wyraźniejszy...

Kobieta z samochodu czekała, aż podejmę wędrówkę. A raczej chciała, żebym szedł za nią.

Nie przyszedł mi do głowy powód, bym tego nie zrobił, więc podążyłem jej śladem, przypominając sobie, jak była ubrana. Dziwne, ale raz wydawało mi się, że miała na sobie džinsy i zwykłą bawełnianą koszulkę, to znów, że jakąś prostą sukienkę, jakby jej wizerunek zacierały przywoływane z pamięci postaci dawnych znajomych.

*

Ach, czaj się za tymi drzewami, nic mi nie zrobisz. Cokolwiek planujesz, cokolwiek myślisz, nic mnie to nie obchodzi. Jestem u siebie.

Nieczęsto tu przyjeżdżam, po prostu raz na jakiś czas przychodzi ten moment — gorszy sen i brak apetytu, niepokój bez wyraźnego powodu... to coś zupełnie nieuchwytnego. Biorę szmacianą torbę na ramię, odkrywam w niej jakieś zapasy (choć naprawdę nie mogę sobie przypomnieć, kiedy je kupiłam) i po prostu wsiadam do samochodu. Zostawiam wszystko i odpalam silnik, staram się nie myśleć dokąd jadę. Gdziekolwiek, byle jak najdalej od tego pieprzonego miasta i ludzi. Ledwie świt wstaje, a mnie już nie ma. Jadę sobie powoli, palę w samochodzie papierosy, staram się wzrokiem omijać drogowskazy, ale dobrze wiem, gdzie się zatrzymam.

Idziesz za mną, pal cię sześć. Nie boję się, zresztą nie wyglądasz, jakbyś miał złe zamiary. Milczysz, niezwykle mi się to podoba. Niewielu jest takich, którzy chcą lub potrafią milczeć.

Chodź, zobaczymy, co zrobisz.

Idę dobrze sobie znanym szlakiem, pozornie gęsty las odstrasza biwakowiczów. To nie jest zwykły las... Kawałeczek dalej czeka na mnie łódka. Poczekam na ciebie.

Bezbłędnie odnajduję dziką plażę. Moja łódka zacumowana jest przy pochyłej kładce. Wiatr jest dość silny, fale głośno pluskają, rozbijając się o zbutwiały szkielet maleńkiego pomostu. Kłódka jest zardzewiała, ściskam w dłoni klucz, czekam na ciebie. Trzask łamanych gałązek, nadchodzisz. Zdejmuję buty, podwijam nogawki. Ty stoisz, nonszalancko oparty o pień płaczącej wierzby i przyglądasz się mi spojrzeniem, które nie wyraża absolutnie niczego. Totalna obojętność.

Podwijam nogawki dzinsów i wchodzę na zbutwiały mostek. Trochę niezgrabnie wchodzę na pokład łódki, jeszcze nie odemknęłam zamka. Siedzę, plecami do ciebie, odpalam papierosa. Wiatr kołysze, a ja podrzucam w dłoni klucz. Trzciny mi się kłaniają, fale kołyszą łódką. Liczę do trzech... wsiadasz albo wracasz. Raz.. Dwa...

*

Cień kobiety skrył się w gęstwinie. Szedłem w tamtą stronę, starając się, nie wiedzieć czemu, żeby najdrobniejsza gałązka nie pękła pod stopą jakbym podchodził dzikie zwierze. Sądziłem, że zniknęła na dobre, gdy obudzę się rano, to nawet nie będę pewien, czy nie przywiodła mnie tu sarna. Trochę ciekawa intruza, ale nie na tyle, żeby pozwolić mu podejść blisko.

Okrażyłem ścianę leszczyny, za którą zupełnie niespodziewanie ukazała się wolna przestrzeń. Butwiejący pomost zdawał się kołysać nad wodą jak most linowy, przycumowana z boku łódka nie wyglądała lepiej. Oparłem się o pień wierzby i zapaliłem papierosa. Mógłbym tu zostać, rozbić namiot na dzikiej plaży, wysokie trzciny skryją go przed wścibskimi oczyma. Nikt tu nie trafi, a ona zaraz odpłynie...

Deski zajęczały, nie odwróciła głowy, zajęta otwieraniem przerdzewiałej kłódki. Łódź zakołysała się mocno, kiedy usiadłem z tyłu, zebrana na dnie łajby woda spłynęła w moją stronę, wlewając mi się do butów. Kobieta odepchnęła się od pomostu, gdyby nie kołysanie, mogłoby się wydawać, że stoimy w miejscu, a brzeg oddala się majestatycznie. Dobrze radziła sobie z wiosłami, nie proponowałem pomocy, zresztą nie

uczyniła najmniejszego gestu, wskazującego, by tego oczekiwała. No i nie wiedziałbym, dokąd płynąć.

Brzeg był coraz dalej, pomost ledwie wyglądał spośród trzcin. Płynęliśmy w stronę porośniętej gęstwiną brudnej zieleni wyspy. Z jakichś powodów wiedziałem, że to jest wyspa, a nie, powiedzmy, wrzynająca się w jezioro połać lasu. A może po prostu bardzo pragnąłem, żeby to była wyspa. Z której niełatwo będzie wrócić, bo...

Łódź nabierała coraz więcej wody.

Kobieta siedziała tyłem do kierunku, w jakim płynęła nasza skorupa. Ani razu nie obejrzała się, nie patrzyła też na mnie. Niegościnnie wyglądający stromy brzeg rósł w oczach. Kilka ruchów lewym wiosłem obróciło łódź, rufa zaryła się w splątanych zaroślach. Złapałem klamoty i wylazłem na grząski grunt. Moja przewodniczka w milczeniu zarzuciła na ramię płócienną torbę, przełożyła nogi przez burzę i zwyczajnie zeskoczyła do wody. Toń sięgała jej powyżej pasa. Nie przejmują się tym, z całej siły odepchnęła łajbę, która zrazu niechętnie, potem coraz płynniej oddaliła się od wyspy. Odprowadziła ją wzrokiem, potem wyszła na brzeg, strzepnęła ze spodni trochę wodorostów i ociekająca wodą niczym odratowany topielec zaczęła wspinać się zarośniętym urwiskiem. Czując chlupanie w butach, poszedłem jej śladem.

Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć u celu, nie zastanawiałem się nad tym, zajęty dokładaniem starań, by nie poślizgnąć się i nie runąć w dół, łamiąc kości, ale na pewno nie widoku, jaki roztoczył się, gdy pokonałem wreszcie stromiznę.

Na otoczonej wianuszkami potarganych wiatrem i burzami karłowatych drzew łące stał dom. Nie, nie to, co zwykle określa się tym mianem. To była najprawdziwsza okaleczona wiekiem rudera bez okien i drzwi, z zapadniętym dachem i pochyłającymi się ścianami z poczerniałych desek. Wydawało się, że wystarczy silniejszy wichur, żeby runęła, zmieniając się w stos bezużytecznego drewna, ale jakimś cudem wciąż trwała, opierając się czasowi i żywiołom.

Słońce stało wysoko, wiatr sprawiał, że upał nie doskwierał zbyt mocno. Odpoczywałem, siedząc w wysokiej trawie i paląc papierosa. Zdjąłem mokre trampki. Czułem się, jakbym był tam zupełnie sam. Czasem ma się takie wrażenie, będąc z kimś realnym i nie ma ono niczego wspólnego z obcością ani obojętnością. Przeciwnie. To nienazwana, niewymagająca słów bliskość, której przyczyny się nie szuka, nie uzasadnia. Byliśmy tu sami, choć nie samotni.

Położyłem się na plecach i zapatrzyłem w poprzetykany pierzastymi obłokami błękit nad głową. Rozbiję namiot, potem nazbieram chrustu na wieczorne ognisko. Ale to potem. Tu czas będzie płynął po swojemu. Wypaliłem następnego papierosa, dym rozwiewał się jak ulotne wspomnienia spraw, które właśnie przestały być istotne.

Słońce przesunęło się kawałek na niebie. Poszedłem boso w stronę domu. W trawie leżały jej buty, kawałek dalej nasiąknięte wodą dzinsy, bluzka i reszta. Nieznajoma kobieta przywiodła mnie w to miejsce, ale i ona zachowywała się jakby była tu sama.

Jedno z nas było tylko zjawą i nie miało znaczenia, które...

*

Nie czuję potrzeby nawiązania dialogu. On chyba też nie. Śmiesznie, on w ogóle mi nie przeszkadza, zupełnie jakby go nie było. Czuję na sobie jego wzrok, kiedy przebieram się w kostium kąpielowy. Charakterystyczne mrowienie na plecach znika niemal tak szybko jak się pojawia. Coś takiego, gentleman, nie do wiary... Doprawdy, bawi mnie myśl, że pozwalam tu komuś przebywać, nigdy wcześniej nie przyprowadziłam na moją Bezludną Wyspę nikogo, bo nikt na to nie zasługiwał. A on, przypadkowy pasażer, zachowuje się, jakby doskonale wiedział jakie panują tu zasady. Może dlatego coś podkusiło mnie, żeby zaprosić go do samochodu. Innych moje milczenie odstraszało, kazali się zatrzymać tak szybko, jak tylko zrozumieli, że nie reaguję na zaczepki. Ludziom naprawdę w głowie się nie mieści, że czasem słowa są zbędne.

Zaglądam przez okno, widzę jak organizuje sobie miejsce nad samym brzegiem. Nie śpieszy mu się, i słusznie, bo tu nie ma zegara. Nie ma zasięgu dla komórek, nie ma internetu. Tylko my i magia Bezludnej Wyspy.

Chcę w jakiś sposób pokazać mu, że jego obecność nie jest mi obojętna, bo nagle zaczęłam się tym cieszyć. Wyciągam z dziewiętnastowiecznej, zniszczonej szafy dwie wędki. Mam ich więcej, do wyboru do koloru, ale wybieram dwa teleskopowe składaki. Zamykam szafę na klucz, z przyzwyczajenia. Mam tu klucze do wszystkiego, choć wiem, że nie ma takiego śmiałka, który odważyłby się grzebać w moim domu.

Podchodzę do niego i uśmiecham się ciepło. Odbiera wędkę. Może mi się

tylko wydaje, ale jakaś wesoła iskierka mignęła w dotychczas beznamiętnym spojrzeniu.

*

Zaskoczyła mnie. I ona i dom. Niby rudera, a musiały być w środku jakieś pomieszczenia zdatne do użytku, bo wędki na pewno nie leżały w kurzu. Ale w kostium przebrała się na dworze, niepomna mojej obecności. A raczej doskonale świadoma, że skoro dotarłem aż tutaj, słowem nie komentując pozbycia się łodzi, to moje postrzeganie świata dalekie jest od tego, co zwykło się określać normalnym. Wziąłem jedną wędkę, a ona swoim zwyczajem odwróciła się i w poszła przed siebie, nie czekając, co zrobię. Nie poszedłem za nią. Nie musiałem i było mi z tym dobrze. Jej pewnie też.

Rozbicie namiotu trwało tyle co nic, wybrałem nieco wzniesione miejsce i prędko ustawiłem konstrukcję. Ciemnozielona barwa płótna stapiała się z otoczeniem, wyglądał jakby stał tu od miesięcy. Zdjąłem z siebie pachnące cywilizacją ciuchy, spodnie z mokrymi nogawkami ułożyłem na wierzchu, zamiast nich wciągnąłem na gołe ciało stare szorty. Konserwa zagryziona sucharami smakowała jakbym od tygodnia nie miał niczego w ustach. Rozciągnięty na trawie przymknąłem oczy, nawet nie żeby się zdrzemnąć, bardziej by pooddychać miejscem, poczuć je innymi zmysłami. Po chwili, która równie dobrze mogła trwać pięć minut, co godzinę zakopałem puszkę w płytkim dołku, przypaliłem papierosa i popatrzyłem na wędkę. Nie miałem przynęty, ale nieznajoma również poszła z pustymi rękoma. Nie widziałem jej nigdzie, więc podążyłem w kierunku, w którym się oddaliła.

Brzeg nie był tak urwisty, dało się łatwo zejść do samej wody. Jej wędka tkwiła obok zwałonego pnia oparta na widełkach z gałęzi. Ślady bosych stóp wiodły gdzieś w bok i ginęły między dzikimi paprociami. Coś plusnęło w zaczepionej przy brzegu siatce. Kilka wyrwanych i odwróconych kęp trawy powiedziało, skąd wzięła przynętę. Dzwoneczek drgnął lekko, żyłka napięła się, lecz zaraz zwiotczała. Naśladowując nieznaną, wygrzebałem robaka z korzeni zielska, uzbroiłem wędzisko i zarzuciłem.

Po pół godzinie dorzuciłem do siatki dwa piękne leszcze. Ryby przestały brać, więc poszedłem za śladami stóp. Wyprowadziły mnie na skrawek piaszczystego brzegu. Zawało mi się, że na dobre znikają w wodzie, lecz kiedy się rozejrzałem, dostrzegłem je w innym miejscu, jakby na ledwie widocznej ścieżce pnącej się w górę. Tam zniknęły na dobre, ale szedłem dalej, bo nie chciało mi się wracać po własnych śladach. Wyspa była większa, niż mi się wydawało. Pokonałem jakieś gęstsze krzewy i wydostałem się niespodziewanie na polanę.

Opalała się nago, leżąc na brzuchu, z głową opartą na zgiętych w łokciach dłoniach jakby przyglądała się owadom buszującym wśród roślin. Łąkę porastały w tym miejscu drobne kwiatki o białych i błękitnych płatkach. Może mnie nawet nie usłyszała, ale z jakichś powodów byłem pewien, że zwyczajnie poddaje się niepisanim zasadom panującym na jej wyspie. A ja byłem jej częścią, przynajmniej póki się im nie sprzeciwię. Nie zamierzałem tego robić.

Usiadłem i oparłem się o pień brzozy. Ptak zaśpiewał w gałęziach, popatrzyła w tamtą stronę, potem wstała jakby na umówiony sygnał.

Idąc przez łąkę, schyliła się dwa razy, by podnieść części kostiumu, ale go nie założyła. Nie musiała, bo przecież była tu sama. Po chwili jej sylwetka rozplynęła się wśród zieleni. Zostałem tam jeszcze z godzinę lub dwie. Bo nic mnie nie wołało.

Odnalazłem miejsce połowów, oskrobałem wszystkie ryby i wypatroszyłem scyzorykiem. Opłukałem dłonie, ściągnąłem szorty i wszedłem do jeziora. Popłynąłem przed siebie, gdy zabrakło mi sił, położyłem się na plecach, pozwalając się nieść wodzie. Powtórzyłem to parę razy. Do brzegu był spory kawał drogi, lecz pokonałem go bez odpoczynku. Na zwalonym pniu nie było wędek, zniknęły też wypatroszone ryby i moje szorty. Dopiero po chwili zorientowałem się, że wylądowałem w zupełnie innym miejscu, które tylko przypominało tamto. Nie chciało mi się go szukać i nie musiałem przecież, bo takie było jedno z praw wyspy.

Nie zastanawiając się, poszedłem w kierunku, który wydawał mi się najodpowiedniejszy.

*

Dosyć długo go nie ma. Za długo. Wbrew pozorom da się stąd wydostać bez większego problemu, na zachodnim brzegu czeka druga łódź... cóż z tego, że ja mam klucz do kłódki, tak naprawdę można ją otworzyć byle jakim sposobem. Wystarczy, że spróbuje.

Ściemnia się. W domu rozpałam dziesiątki świec, dopiero w ich blasku mój dom pięknieje. Nie wiem, kim byli ludzie, którzy go zbudowali, wiele

razy zastanawiałam się jakim sposobem przywieźli tu cegły, nie mówiąc już o meblach. Meble są piękne, pamiętają całe sto pięćdziesiąt lat i wszystkie dusze, którym zdawało się, że wyspa i dom to ich własność. Na ceglanych ścianach ktoś dawno temu przymocował naftowe lampy, je też zapalam i wychodzę na zewnątrz. Robi się co raz chłodniej. Za domem jest składzik na drewno i chrust, postanawiam rozpalić na brzegu ognisko, upiekę na ruszcie ryby... zapach powinien posłużyć mu za drogowskaz.

Jest całkiem ciemno. Dorzucam kawałek drewna do mizernego ogniska, beznamiętnie wsuwam kawałki pieczonej ryby do ust. Nie czuję smaku... nie czuję niczego prócz niepokoju. Patrzą na szorty i pudełko papierosów, które znalazłam na brzegu obok wędek. Położyłam wszystko przed namiotem, choć równie dobrze mogłam tam je zostawić. Tu nie ma złodziei.

Stara płomykówka obserwuje mnie z dachu. Mam wrażenie, że patrzemy sobie w oczy. Czy ptaki też mogą mieć złe przeczucia...? Mogło mu się coś stać. Przyroda mało kiedy jest łaskawa dla intruzów, ale przecież on jest tu gościem. Mogło zdarzyć się jednak coś, co prędzej czy później, nieważne kiedy, ale będzie musiało się wydarzyć. Niepokój nagle przeistacza się w lęk.

— Proszę... — szepczę do rozgwieżdżonego nieba. — Proszę, żeby nie odnalazł cmentarzyka. Proszę...

*

Ścieżka w zaroślach, którą bardziej sobie wyobrażałem niż widziałem, była długa i kręta, niekiedy zdawało mi się, że wracam po własnych śladach. Ale słabo widoczne gdzieś tam odciski bosych stóp, były drobniejsze i płytsze od moich. Na ziemi leżało coraz więcej uschniętych liści, choć nie powinno ich tu być o tej porze roku, pajęczyny lepiły mi się do ciała, chłodny wiatr wywoływał gęsią skórkę. A może nie wiatr, tylko przecucie czegoś... Już miałem zawrócić, gdy zarośla stały się rzadsze, pomarańczowa kula zachodzącego słońca sprawiła, że zmrużyłem oczy.

Wyszedłem na otoczony spróchniałymi pniami kawałek odsłoniętego terenu. Cztery zarośnięte chwastami wzgórki nie zwróciłyby uwagi, gdyby nie wieńczące je granitowe kamienie z mocno już zatartymi napisami. Nazwiska i daty z początku ubiegłego wieku...

Mieszkańcy ukrytego na wyspie domu, tak pokochali to miejsce, że pragnęli tu zostać nawet po śmierci.

Kawałek dalej zobaczyłem kolejne wzniesienia. Nie większe niż bruzdy na zaoranym polu, dużo młodsze od mogił z kamieniami. Mogły mieć najwyżej kilka lat, na ostatnim dopiero kiełkowały chwasty. Liście pod stopami zdawały się szeptać różnymi głosami, kiedy przymknąłem oczy, pod powiekami pojawiły się obrazy...

...mężczyzna odjął od ust butelkę piwa i rzucił z rozmachem a krzaki. Z domu wyszła kobieta, która mnie tu przywiodła. Nie patrząc w jego stronę, zrywała polne kwiaty. Podeszedł od tyłu, pchnął ją na ławkę i obrócił na plecy. Nie krzyknęła, kiedy rozrywał jej sukienkę na piersiach. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła w niebo, kiedy podwinął materiał, rozchylił jej nogi i wcisnął tam swoje biodra.

Zagryzła mocno usta, na wargach pojawiły się czerwone krople. Po wszystkim zostawił ją i wrócił do namiotu. Miał jeszcze dużo piwa. Podobało jej się, pomyślał, sama chciała, napraszała się, inaczej by go nie wzięła do samochodu a potem nie zaciągnęła na tę zasraną wyspę. Baby lubią silnych facetów, teraz sama do niego przyjdzie...

Przyszła w nocy. Spał mocno, lecz obudził się, gdy odwinęła się poła namiotu, wpuszczając światło Księżyca, poczuł obok jej obecność. Oblizął usta i uśmiechnął się obleśnie, kiedy drobna dłoń dotknęła jego piersi. Trzymane w drugiej dłoni ostrze błysnęło srebrem, w następnej chwili z przeciętego głęboko gardła dobyło się rżenie...

Otworzyłem oczy. Słońce stało niżej, wiatr ucichł. Podszedłem do najświeższego grobu i znów przymknąłem powieki.

...facet czuł się nieswojo w tym miejscu. Sam nie wiedział, czemu poszedł za milczącą kobietą, która wzięła go do samochodu, a potem zatrzymała się w lesie. No, była ładna, ale i... niepokojąca. Przyплыnęli na wyspę ze starym domem, ruiną właściwie, ona zniknęła natychmiast w środku. Nie wiedział, czy iść w jej ślady, czy czekać. Albo zwać stąd gdzie pieprz rośnie. Pewnie nie zaciągnęła go tu bez powodu, dla zwykłego kaprysu... A może właśnie, dla kaprysu?

Podszedł do okna, reszt szkła z wybitej szyby zachręściły pod stopami. W półmroku zobaczył kilka wiekowych mebli i kobietę. Musiała go usłyszeć, lecz nie odwróciła głowy. Zsunęła ramiączka sukienki, odsłaniając plecy. Więc to tak?

Przynajmniej nie udaje niedostępnej...

Stare deski skrzypiały żałośnie, kiedy się zbliżał. Objął ją, chwytając mocno za piersi, ugryzł w kark i przesunął ręce niżej, aż znalazły się między jej udami. Pociągnął ją na podłogę i położył się na niej. Nie wydała dźwięku, nie broniła się. Po wszystkim legł na plecach, przymknął powieki, czekając aż jego oddech uspokoi się...

Usłyszał tylko delikatny szelest, nim kawał szkła przeciął mu ciało od krocza po szyję, odsłaniając wnętrze...

Stałem nago wśród grobów, powoli zapadał zmrok. Nie byłem pierwszym, którego przywiodła tu tajemnicza kobieta... Lecz nie bałem się, bo czułem w jakiś sposób, że jestem częścią wyspy, a nie ledwie intruzem, jak oni. Coś zamigotało w oddali, skierowałem się w tamtą stronę.

W oknach starej chałupy paliły się dziesiątki świec. Obok mojego namiotu siedziała nieznajoma, wpatrując się w płomienie ogniska.

*

Nie zauważam, kiedy podchodzi, pojawia się jakby znikąd w kręgu światła z ogniska. Ale nadszedł z tamtej strony...

Omija mnie wzrokiem, łapczywie wygrzebuje z papierosa z wymiętej paczki. Niepokój wisi w powietrzu, następne godziny zadecydują o

wszystkim... Albo minuty.

Wstaje i odwraca się do mnie, zaciąga się. Kręci głową jakby chciał powiedzieć: Nie jestem taki jak oni.

Kiwam głową na znak, że jestem takiego samego zdania. Nie muszę nic więcej mówić, jestem pewna, że doskonale zrozumiał. Jesteś teraz u siebie, pomyślałam. W miejscu, gdzie królową jest wolność. Nie musisz niczego robić, ani nigdzie iść. Tak samo jak ja. Jeśli będziemy mieli ochotę, będziemy rozmawiać. Jeśli będziesz miał ochotę, możesz spać przez cały dzień, a nocą liczyć nietoperze. Jest tylko jedna, jedyna zasada, która tu panuje — wolność jest święta. A za złamanie prawa każdego czeka nieunikniona kara. Dotyczy to nas obojga. Nie mam wątpliwości, że to wszystko wiesz.

Kiedy ubiera się, spoglądam w stronę domu z dogasającymi świecami w oknach. Rachityczne płomyki, znikające jeden po drugim, przypominają niespełnione marzenia.

*

Kiwnęła głową jakby czytała mi w myślach i odwróciła głowę w stronę domu. Papieros pomógł, lecz byłem potwornie głodny. Nad żarem ogniska umieściła w dwóch uchwytach z patyków rożen, na którym tkwiło jeszcze kilka ryb. Jadłem palcami, bez soli i chleba, a i tak nigdy nic mi bardziej nie smakowało.

Wstała, gdy byłem w połowie posiłku, poszła w stronę chałupy. Wolno

stawiała kroki, może dlatego, że była boso, a może po prostu nie spieszyło jej się. Podobnie jak wtedy w lesie, kiedy szedłem za nią, nie oglądała się na mnie, zatrzymała się tylko na chwilę w progu i zniknęła. I tak wiedziała, że przyjdę. Bardzo chciało mi się pić.

Ale nie teraz, miałem trochę wody w plecaku i czułem zmęczenie. A ona nie ucieknie nigdzie. Ani ja.

Ocknąłem się, gdy przez połę namiotu zaglądała szarówka. Gdybym nie pamiętał, kiedy się kładłem, mógłbym pomyśleć, że to zmierzch nadciąga. Rosa chłodziła stopy, pierwsze promienie słońca próbowały przebić się przez gałęzie drzew. Dom zdawał się na mnie patrzeć, czekać, zapraszać do wejścia. Podobnie, jak do połowy uchylone drzwi...

Proste meble w izbie na dole musiały pamiętać dawnych właścicieli. Obraz na ścianie, w popękanych ramach, mógł przedstawiać nieznaną, gdyby nie był tak stary... Nie było jej tam, wszedłem na skrzypiące schody. Prowadziły wprost do pokoju z łóżkiem zbitym z desek, komódką i podłużnym lustrem na ścianie. Przez okienko można było widzieć wschód słońca. Dotknąłem pościeli. Była jeszcze ciepła.

Zapaliłem papierosa. Nie tylko ja lubiłem wstawać o świcie...

*

Zawsze wyczuwam moment, kiedy powinnam opuścić wyspę. Zewnętrzny świat upomina się o mnie, a ja nie mogę tego dłużej ignorować. Wstaję wcześniej niż zwykle, wyruszam na przechadzkę,

odwiedzam cmentarzyk i przeklinam potępieńców, których tu pochowałam. Później wyruszam na brzeg, zobaczyć, czy łódka wróciła. Zawsze wraca, kiedy na mnie czas. Nie muszę podchodzić do samego brzegu, by ją zobaczyć, ale tym razem coś wydaje mi się niepokojące. Coś lśni na pokładzie. Kilka pustych puszek po tanim piwie kołysze wraz z łódką, ciche pobrzękiwanie brzmi nienaturalnie i nie na miejscu. Rozglądam się czujnie, wypatrując intruza. Albo intruzów.

Przyroda milknie jak na zawołanie, zza ściany drzew słyszę męskie głosy. Nawet nie podchodzę w tamtą stronę. Wycofuję się najciszej jak potrafię. Muszę uciekać. Muszę tylko zabrać torbę, w której są kluczyki do samochodu. Mój gość zaopiekuje się wyspą, a ja nie zamierzam po raz kolejny nakarmić tej ziemi krwią... Zawsze dochodzi to rozlewu krwi, nie mam wpływu na prawa które tu obowiązują. I nie chcę mieć, ale milczący mężczyzna nie pojawił się tu przecież na darmo...

Zostawiam klucze do spiżarni i reszty pomieszczeń przed wejściem do namiotu, zarzucam torbę na ramię i odchodzę w stronę łodzi. Potrzeba powrotu narasta we mnie z każdym krokiem, tym samym znana dobrze trasa zdaje się wydłużać.

*

Usłyszałem głosy. Przykleiłem się do ściany i wyjrzałem oknem. Paru młodych facetów wyszło na otwartą przestrzeń. Zrazu czuli się niepewnie, rozglądali uważnie i trzymali razem, ale prędko poprawili sobie nastrój z pomocą rozpitej pod papierosa flachy. Jeden podkradł się do mojego namiociku, zajrzał ostrożnie, po chwili wyciągnął ze środka

mój plecach i wysypał na ziemię mizerną zawartość. Najwyraźniej nie spełniła ich oczekiwań, bo lekko chwiejnym krokiem skierowali się w stronę domu. Zszedłem na dół i wydostałem się oknem na tył chałupy. Poprzez szpary w starych deskach słyszałem odgłosy myszkowania w domu. Uwadze intruzów nie mogło ujść, że jest zamieszkały. Mogli narobić trochę szkód, ale nie to było najważniejsze. Poznali to miejsce. I na pewno wrócą. Prędzej czy później odkryją cmentarz...

Zszedłem na brzeg poszukać nieznajomej i ostrzec ją, że tajemnica wyspy nie utrzyma się długo. A inną będzie nam bardzo trudno znaleźć. O ile to w ogóle możliwe. Nie było jej w miejscu, gdzie łowiliśmy ryby, gdy dotarłem tam, gdzie wylądowaliśmy, ujrzałem na wodzie łódkę. Była już daleko. Wszedłem po pas do jeziora i zamachałem rękoma. Nieznajoma przestała poruszać wiosłami, ale łódka płynęła dalej...

Męskie, podbite głosy kazały mi wyskoczyć na brzeg i skryć się w zaroślach. Nie chciałem, żeby ją zobaczyli, więc zawołałem w ich stronę, nie pokazując się. Skonsternowane pokrzykiwania zaczęły się przybliżać. Podpełzłem kawałek dalej i znów zawołałem wysokim głosem, który jako tako naśladował kobiecy. Śmiechy i parę wulgarnych epitetów sugerowało, że dali się nabrać. Tylko nie bardzo wiedziałem, co mi z tego przyjdzie.

Ale przynajmniej nieznajoma była bezpieczna...

*

Ich kilku, a on sam, jeden. Sytuacja wygląda groźnie. Woda niesie głosy

mężczyzn znad brzegu, wszystko wskazuje na to, że intruzi mają ochotę na niezłą rozróbę. Jak to intruzi. Słyszę krzyki, wulgarne słowa i dźwięk tłuczonego szkła.

Czuję się podle, siedząc w łódce tak daleko i tak bezpiecznie. To już nie jest moja wyspa, to nasza wyspa — myślę, zdejmując buty i ubranie. Nie zasłużył na miejsce w cmentarzyku. Może jestem tylko słabą kobietą, ale zawsze decydowałam tu o wszystkim. Nie chcę mieć go na sumieniu.

Gdy wskakuję do wody, ogłusza mnie fala wybuchu. Przez chwilę mam wrażenie, że tonę. Jestem pełna wody, czuję jak dusi, wypełnia usta, chlupocze w krtani, zalewa płuca. Wypływam na wierzch i usiłuję złapać oddech. Przez krótki moment czuję tylko swąd spalenizny. Przez ten bardzo krótki moment widzę mój płonący dom. Chcę wrzeszczeć, ale z moich ust wydobywa się jedynie gardłowe gulgotanie. Znów pod wodę i znów na wierzch. Tłące się fragmenty namiotu wpadają do wody, jeden ląduje mi na policzku. Znów pod wodę i wydaje mi się, że to już na zawsze. Kolejny huk. Miałam dwie butle gazowe, to musiało tak się skończyć. Niech intruzi idą do piekła. Ostatkiem sił wypływam na powierzchnię, zauważam moją łódkę, która oddala się...

*

Musiała słyszeć wybuch i zobaczyć pożar. Namiot spłonął, z domu zostały tylko gruz i deski. Może dałoby się zbudować z tego jakieś schronienie, a może nawet nie będzie trzeba, była jeszcze piwnica. Jakoś się ją przystosuje do zamieszkania. Zajmiemy się tym, kiedy nieznajoma wróci...

Zszedłem na brzeg. Łódka dryfowała coraz dalej. Rzuciłem się wpław w jej kierunku. Niemal przeliczyłem się z siłami, zdawało mi się, że w ogóle się nie przybliży. Tylko wyspa była coraz dalej. Wreszcie dotknąłem burty i wgramoliłem się do środka. Niewiele brakowało. Na dnie łajby leżało jej ubranie, napoczęta paczka fajek. I kluczyki od samochodu.

Zapaliłem i spojrzałem w stronę majaczącej we mgle wyspy. Naga, oblepiona wodorostami postać wyczołgała się na brzeg. Więc wróciła, zostawiając tu wszystko, co łączyło ją ze światem...

Chwyciłem wiosła i popłynąłem, oddalając się od wyspy.

Przycumowałem do rozpadającego się pomostu. Kamieniem wybiłem wielką dziurę w dnie łodzi, potem odepchnąłem ją mocno. Odpływała majestatycznie, nabierając coraz więcej wody.

Droga przez las była istną męczarnią. Boso, w mokrych szortach, zarośnięty i potargany brnąłem w kierunku szosy, modląc się, by nie spotkać nikogo, kto zainteresowałby się dziwnym widokiem. Musiałem wyglądać jak rozbitek. I tak się czułem. Wreszcie dotarłem do jej samochodu. Mimo parodniowego postoju na odludziu wyglądał jakby kierowca oddalił się tylko na chwilę, miał nawet całe szyby. Przekręciłem kluczyk, wskaźniki na desce rozdzielczej ożyły.

Pierwsza leśna przecinka okazała się ślepa, podobnie następna. Trzecia zaprowadziła mnie na sam brzeg jeziora. Odkręciłem wszystkie szyby. Oparłem dłonie na klapie bagażnika i pchnąłem z całej siły, zapierając się stopami w grząskim gruncie. Wóz wtoczył się powoli do wody.

Popychałem dalej, aż na powierzchni widać było tylko bąbelki powietrza.

Wróciłem skrajem jeziora do starego pomostu. Oderwałem długą deskę. Obejmując ją rękoma podryfowałem w stronę wyspy. Na brzegu czekała nieznajoma. Obejmowała dłońmi kolana. Nawet nie zdjęła wodorostów z ramion i włosów. Była piękna i wiedziałem, że jej uroda nigdy nie przeminie.

Bo umarli się nie starzeją. Taka będzie zawsze do mnie wracała.

Zaniosłem ją na cmentarzyk. Gdy ułożyłem ciało w wykopany wczoraj dole, poprawiając włosy i ułożenie rąk, wydawało się, że zasnęła, zmęczona i ukojona ciszą. Czarna, wilgotna ziemia otulała ją coraz mocniej, aż tylko nierówny wzgórek był jedynym śladem naszej tajemnicy.

Nigdy nie wiem, kiedy nadejdzie ten moment...

Jadę przed siebie, bez planu i celu, ale zawsze docieram w to samo miejsce. Dmuchany ponton jest lepszy od starej spróchniałej łodzi. Można go wciągnąć na brzeg wyspy i schować.

Docieram na cmentarzyk, staję nad rozkopanym grobem. Zawsze wygląda tak świeżo, jakby dosłownie przed chwilą ktoś się przebudził i wy dostał spod warstwy ziemi. Na dnie widać odcisk ciała i trochę wodorostów...

Strona redakcyjna

Copyright © by Katarzyna Szewczyk and Jacek Skowroński

Redakcja i korekta: Paweł Dembowski
Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

ISBN 978-83-937597-8-1

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>